



Adler
Elizabeth

Zaproszenie do Prowansji



RS

Anabelle i Ericowi

*To, co przeżyłem, nie należy już do mnie;
Pierzchły ulotne chwile,
Jak sny dane nam na krótko,
Które potem zachowuje
Tylko pamięć.*

John Wilmot, hrabia Rochester
Love and Life (1680)



Prolog

Niewiele zmieniło się w miasteczku Marten de Provence. W ogródku kafejki zamiast metalowych krzeseł ustawiono plastikowe, a zielona markiza zastąpiła starą, niebieską. Ale Cafe des Colombes jest zawsze taka sama. Wciąż należy do rodziny Jarre, już od pół wieku, a proste dania w karcie nie zmieniły się od trzydziestu lat. Pod łukiem arkady, gdzie nadal jest sklepik Alliera, świeże owoce i warzywa leżą starannie poukładane w drewnianych skrzynkach, z cenami wypisanymi kredą na tabliczkach. Z fontanny z kamiennym korytkiem leniwie sączy się woda. Dwa psy wylegają się w cieniu obok starszych panów w beretach, którzy siedzą na drewnianych ławkach i, ścisnąc laski w sękatych dłoniach, przyglądają się, jak wokół toczy się ich niewielki świat. Drzwi do małego kościółka pokrytego łuszczącą się różową farbą są otwarte; po stopniach wchodzi kobieta w letniej żółtej sukience, z nęcącym barwnych kwiatów. I jak zawsze pachnie tu kawą, pieczonymi kurczętami, tymiankiem, dojrzałymi melonami i koźmi.

Długi mur z omszałego kamienia otaczający *chateau* biegnie wzdłuż drogi obok skweru, skąd brukowane uliczki z małymi domkami wspinają się na pobliskie skaliste zbocza. Na szczycie najwyższego, wyniosłego wzgórza rozsiadło się Saint Sylvestre, *village perche*, małe miasteczko, stara twierdza wkuła głęboko w skałę. Dziś jest rajem artystów i turystów, którzy przyjeżdżają na coroczny letni festiwal muzyczny do dawnego klasztoru stojącego wśród pól lawendy. Wielki brązowy dzwon wciąż swym biciem przypomina o upływie czasu.

Drogę wzdłuż *chateau* okalają topole. Gałęzie tworzą zielony szpaler, przez który błyski słońca migoczą jak rozsypane złote monety. U wjazdu wciąż stoją ogromne filary; rzeźbione kamienne gryfy na szczycie mają rysy zatarte przez wiejący od stuleci mistral. Tuż za nimi, za wielką żelazną bramą zaczyna się długi, wysadzony cyprysami podjazd, który prowadzi prosto do Chateau des Roses Sauvages.

Po lewej stronie ciągną się trawniki z pojedynczymi drzewami, a spoza nich połyskuje w słońcu srebrna tafla jeziora, i wreszcie ukazuje się *chateau*, jak delikatny, stary fresk na tle skalistych fioletowych wzgórz.

W późnym, popołudniowym słońcu dom płonie żółtawą ochrą; linia dachu opada łagodnie. Melodyjnie szmerze woda fontanny na kwiatowym tarasie ogrodu, a kasztany roztaczają zachęcający cień. Latem wielkie drzwi są zawsze otwarte, by wpuścić do domu podmuchy wiatru i, od czasu do czasu, mile witanych gości.

Rafaella Marten stoi samotnie w rozświetlonym słońcem holu. Gdzieś na zewnątrz odzywa się ptak, a potem wszystko cichnie. Wsparta na ławce, wpatruje się w czarowny obraz - aleję stuletnich kasztanów wiodącą do jeziora i bajkowego japońskiego mostku, którym jeszcze jej pradziad połączył łódź z maleńką wyspką. Kiedy była młoda, przechodziła tamte dy w gorące, letnie noce, by spać nago w altance, z dala od wścibskich spojrzeń, gdzie tylko delikatna bryza owiewała jej rozgrzane ciało.

Ach... młodość, myśli Rafaella i uśmiecha się do wspomnień. Tak dawno... kiedy wszystko wydawało się możliwe.

Dzień jest gorący, ale deski starego parkietu przyjemnie chłodzią bosc stopy. Rafaella do dziś lubi chodzić boso. Kiedy idzie, czerwona cygańska spódnica wiruje wokół kostek - to ta, którą miała na sobie w dniu, gdy spotkała mężczyznę swojego życia; oczywiście nie był to jej mąż.

Smętnie przygląda się sobie w złoconych, rokokowych lustrach wiszących na ścianach holu: burza srebrzystych włosów i jakby na przekór - pełne, miękkie usta. Tylko oczy pozostały te same pod ciężkimi powiekami, niebieskie jak Morze Śródziemne, nie tak dalekie przecież. Dawno temu, w piękne letnie dni pływała w nim codziennie.

Teraz Rafaella mieszka w *chateau* sama; troszczy się tu o nią tylko Haigh, angielski kamerdyner, najbliższy przyjaciel i towarzysz. Haigh jest niewysoki i zadziorny jak kogut, ma patykowate nogi i mizerną twarz cwaniaczka z londyńskiego przedmieścia. Od przeszło pięćdziesięciu lat pracuje u Martenów i jest niemal tak stary, jak Rafaella.

Wie o niej wszystko. Znał ją młodą i pełną życia, rządzącą swym małym królestwem i winnicami. Był tu w dobrych i złych czasach. Rafaella nie ma przed nim tajemnic.

Kiedyś dom rozbrzmiewał śmiechem dzieci, z basenu dochodziły pluski i krzyki, na ceglastym korcie stukały piłki tenisowe, a w koktajlowych szklaneczkach podzwaniały kostki lodu. Ogniste słońce zachodziło nad białymi, skalistymi wzgórzami. Teraz drzwi pozamykano, w pokojach spuszczone żaluzje, a piękne stare meble przykryto pokrowcami. Rodzina już dawno się rozjechała, rozsypała po świecie, rozbita po

skandalach wywołanych przez pieniądze, kobiety i pewną tajemniczą śmierć.

Rafaella, wsparta na lasce, wsłuchuje się w dźwięki przeszłości. Tyka zegar dziadka. Brzęczy pszczoła uwięziona w oknie. W powietrzu unosi się zapach dzikich róż, od których *chateau* wziął swoją nazwę. I z każdego kąta wзира samotność.

Rafaelli zdaje się, że dom umiera. Potrzebna mu młodość, energia, miłość, śmiech. I rodzina, która przewycięży duchy przeszłości i przywróci go do życia.

Rafaella podejmuje decyzję i zawraca w głąb domu. Gwizdaniem przywołuje psy. Pędzą, drapiąc pazurami po chłodnym parkiecie: potężny, brązowo-biały owczarek berneński, którego nazwała Louis, bo obwisłe uszy i smętne spojrzenie upodobały go do dawnych francuskich królów; i Mimi, czarna, miniaturowa pudliczka. Stara się za nim nadażyć; przy Louisie wygląda jak drobinka. Przeliczając na ludzkie lata, oba psy są niemal tak stare jak Rafaella.

- Idziemy, dzieci - mówi do nich z uśmiechem, bo traktuje zwierzęta jak najbliższe istoty, a one odpłacają jej miłością, jakiej nigdy nie zaznała ze strony własnego potomstwa. - Pora wziąć się do roboty.

Wchodzi do swego pokoju i siada przy biurku. Louis, dysząc, pada z łoskotem obok. Mimi, zaintrygowana frywolnie polakierowanymi na czerwono paznokciami stóp swojej pani, zaczyna lizać jej palce. Rafaella wyjmuje z szuflady duże, prostokątne karty kremowego papieru z ciemnoniebieskim napisem CHATEAU DES ROSES SAUVAGES, MARTEN DE PROVENCE, sięga po pióro i nieco drżącą już dłonią zaczyna pisać.

Część 1

Zaproszenia

Namiętność to choroba. To ciemność.

Stajesz się zazdrosny o wszystko.

I nie ma jasności ani harmonii.

George Simenon

Rozdział 1

Franny Marten nawet nie zauważyła zaproszenia, które miało zmienić jej życie. Kiedy pojawiło się w skrzynce na listy na zadrzewionej Santa Monica Street w ostatnim dniu lipca, była zbyt zaabsorbowana Marcusem, swoim chłopakiem, który dojeżdżał do niej z daleka. Umówili się na wieczór. Powiedział, że „muszą porozmawiać”.

- No to słucham - rzuciła pogodnie do słuchawki, ale Marcus stwierdził, że to nie jest dobry moment, a poza tym musi się z nią zobaczyć. Zastanawiała się z niepokojem, czy jego słowa nie wróżą czegoś niedobrego.

Zamykając za sobą szklane drzwi kliniki weterynaryjnej, w której pracowała, jak zawsze odwróciła głowę, tylko po to, by sprawdzić, czy jej nazwisko wciąż jest na tabliczce. Za każdym razem, kiedy patrzyła na zdobyty ciężką pracą dopisek mówiący, że jest lekarzem weterynarii, specjalistą chirurgiem, czuła satysfakcję, a jednocześnie ukłucie żalu, że ojciec nie może tego zobaczyć. Byłby taki dumny, widząc, jak radzi sobie po jego śmierci, gdy w wieku siedemnastu lat została sama na świecie. Dumny z jej walki o ukończenie college'u i studiów medycznych. Podejmowała się różnych zajęć, żeby związać koniec z końcem - bywała sprzątaczką, opiekunką do dzieci, kelnerką - tak naprawdę nigdy niepewna, czy się uda.

Franny wyglądała jak typowa, jasnowłosa Kalifornijka, ale w głębi serca wciąż była dziewczyną z małego miasteczka w Oregonie. Minęło dziesięć lat od dnia, kiedy w poszukiwaniu nowego życia przyjechała tu wzdłuż wybrzeża starym gruchotem, ze świeżutkim dyplomem lekarza weterynarii w pustej kieszeni. To wymarzone życie miało oznaczać sukces zawodowy, oczywiście miłość i małżeństwo, a potem dzieci i rodzinę. Zwłaszcza rodzinę, bo nigdy jej nie miała. Westchnęła na myśl o swoich marzeniach. Na razie spełniło się tylko to o karierze. A z drugiej strony, jedna rzecz na cztery to już i tak nieźle.

Otworzyła drzwi zakurzonego explorera sport i natychmiast cofnęła się, gdy z wnętrza buchnęła fala nagrzanego powietrza. Zawyla klimatyzacja, ryknęło radio, Franny uruchomiła silnik i ruszyła w stronę Main Street. Korki były okropne, ale do tego już przywykła. Stojąc na światłach, opuściła lusterko i popatrzyła na siebie. Zgrzana, nieumalowana, z włosami byle jak splecionymi w gruby warkocz. Pod podłużnymi, wąskimi oczami, niebieskimi jak woda, bo odziedziczonymi po matce Norweżce, widniały sine smugi zmęczenia. Wyglądała okropnie. Wiedziała, że Marcus to zauważy i skomentuje, bo taki właśnie jest - zawsze wynajduje jej słabe punkty.

Właściwie poza jasnoniebieskimi oczami, blond włosami i imieniem - matka była entuzjastyczną wielbicelką J.D. Salinger'a - Franny niewiele jej zawdzięczała. Matka po prostu ich zostawiła, kiedy Franny miała trzy lata, bo trafiła jej się „lepsza okazja”. Zmarła kilka lat później i wtedy mała, samotna Franny nie poczuła nic; dopiero gdy trochę podrosła, przyszło poczucie winy za obojętność. Ale nigdy nie знаła matki, a ta z kolei nigdy nie chciała poznać córki.

Inaczej było, gdy umarł ojciec. Franny załamała się. Był przyjacielem, wsparciem, opoką, na której składała cały ciężar swego życia; i nagle, w wypadku samochodowym, straciła wszystko. Jakoś znalazła siły, by iść dalej drogą, którą razem zaplanowali, bo tego oczekiwali od niej ojciec. Miła, jasnowłosa pani weterynarz z małego miasteczka mogła zwieść wielu ludzi delikatną powierchownością, pod którą kryła się silna, stalowa osobowość, zahartowana w ciężkich czasach. Konieczna, żeby przetrwać w wielkim, bezwzględny świat.

Westchnęła i pomyślała o pięknym owczarku niemieckim, którego życie - zacisnęła kciuki: Boże, proszę cię, proszę cię o niego - dziś ratowała. A potem musiała jeszcze doprowadzić do równowagi zestresowaną właścicielkę psa, długonogą dziewczynę z Los Angeles, w opiętych, szarych spodenkach cyklistki i kusej podkoszulce, odsłaniającej złoty kolczyk w pępku.

- To był moment. - Dziewczyna chlupała. - Pobiegł za piłką, a samochód wyrzucił go w powietrze... i nawet się nie zatrzymał... Mam tylko jego.

Franny wytarła jej łzy chusteczką, na pociechę zrobiła gorącą kawę i mocno objęła. Ciepła, delikatna i wrażliwa, zawsze gotowa była słuchać i spieszyć z pomocą, poświęcając swój wolny czas, którego jej już nie starczało na własne sprawy. To znaczy oczywiście, że mimo narzekań Marcusa, po kolacji na pewno wróci do kliniki, żeby sprawdzić, co z psem. Jeśli będzie trzeba, przesiedzi tam całą noc. Po prostu taka jest.

Zirytowana zółwim tempem ruchu na zakorkowanej ulicy, skręciła wreszcie w prawo, potem w lewo, w zadrzewioną, boczną uliczkę i stanęła przed małym, urokliwym domkiem z lat trzydziestych. Jej dom. Pierwszy prawdziwy dom. No, powiedzmy, jej i banku, ale chociaż mały, wydawał się pałacem. Wcześniej, w trakcie studiów, mieszkała w obskurnych pokojach, w ponurych i szarych dzielnicach, bo tylko na tyle mogła sobie pozwolić.

Dom stał nieco odsunięty od ulicy, a prowadził do niego wąski chodnik, obrośnięty kępami trawy. Ściany pomalowano na zielono, wykończenia na jasny brąz. Cztery stopnie prowadziły na uroczą, niewielką werandę, która aż prosiła się o fotel na biegunach, z otworem na szklanczkę w oparciu na ręce i podnóżkiem, ale Franny nigdy nie starczało pieniędzy, by pozwolić sobie na taki zakup.

Znalazła miejsce do zaparkowania, wyskoczyła z auta i zatrzymała się przy skrzynce na listy po zwykłą porcję rachunków, reklam i katalogów. Nie zwróciła nawet uwagi na kremową, prostokątną kopertę z francuskimi znaczkami. Przeskakując po parę stopni, wbiegła na ganek, potem dwoma susami pokonała odległość do drzwi wejściowych, gdzie jak zawsze, zahaczyła nogą o obłuzowaną deskę, którą już wieki temu miała przybić. Pomyślała, że to naprawdę niebezpieczne i coś trzeba z tym zrobić w najbliższy weekend.

Niestety, choć kochała zwierzęta, nie witał jej własny pies ani kot, bo tacy domownicy wymagają czasu, a tego właśnie Franny nie miała. Bez przyjaznych poszczekiwań i pomruków dom wydawał się zbyt cichy. Cisnęła korespondencję na kuchenny blat, już i tak zawalony pustymi opakowaniami po gotowych daniach i bukietami wędnących kwiatów w glinianych dzbankach. Przez sześć dni w tygodniu w domu panował chaos. Siódmego dnia, w niedzielę (bo kiedyżby?) Franny robiła porządki. Dziś była dopiero środa, więc zawartość powyciąganych szuflad i opróżnianych szafek piętrzyła się wraz z kubkami po kawie na stosach nieprzeczytanych pism i książek. Rozrzucone ubrania tworzyły ścieżkę do łazienki, dokąd właśnie zmierzała Franny, dodając po drodze do tej kolekcji następne części garderoby. Nie była fletuchem - rzecz sprowadzała się raczej do właściwego wykorzystania czasu, którego Franny zawsze brakowało.

Ledwie zdążyła wziąć prysznic, wciągnąć dżinsy i biały top bez rękawów. Złapała szydełkowy, niebieski szal na wypadek chłodnej nocy nad oceanem, wsunęła stopy w turkusowe klapki i przypięła długie klipsy ze sztucznymi turkusami, które wyszperała kiedyś w sklepiku. Wtedy wydały jej się niezwykle seksowne, choć dziś nie seks był jej w głowie. Niepokoiło ją wieczorne spotkanie z Marcusem.

Stanęła na moment, żeby rzucić okiem w lustro. Obciągnęła top w nadziei, że Marcus nie obdarzy jej chłodnym, krytycznym spojrzeniem, którym bez słów potrafił powiedzieć, że w biegu narzuciła na siebie ciuchy, jakie tylko miała pod ręką. Co zresztą nie miałyoby się z prawdą. Rozpuściła włosy, bardzo jasne i gęste, i prysnęła porządną dawkę egzotycznych perfum. Policzki zarumieniły jej się z pośpiechu; wyglądała w tej chwili na dziewiętnastoletnią, a nie na trzydzieści pięć lat.

Przed wyjściem błyskawicznie doprowadziła do porządku meble - każdą z innej parafii, a wszystkie kupione na targu staroci - poprawiła poduszki i rzuciła stare gazety na jeden stos, bo Marcus, z którym zwykle potem wracała, nie znosił tej, jak mówił, „nędzy” i tanio urządzonego, różnorodnego wnętrza.

Wsiadła do explorera i ruszyła w kierunku Pacific Coast Highway. Po lewej stronie jak opalizująca, cynowa misa lśnił ocean; po ścieżkach wzdłuż plaży biegali miłośnicy joggingu, z psami u boku, a dzieci radośnie pluskały się w wodzie, najwyraźniej nie zamierzając jeszcze kończyć dnia.

Doskonale pamiętała wieczór, kiedy pierwszy raz zobaczyła Marcusa - wysokiego i przystojnego bruneta z nieśmiałym uśmiechem i beczelnym spojrzeniem. Było to przed rokiem na urodzinowej kolacji kogoś z przyjaciół; Marcus przyszedł ze śliczną dziewczyną, której zresztą nie poświęcał zbyt wiele uwagi. Patrzył za to na Franny, jakby nie mógł odebrać od niej wzroku. Franny popijała wino, usiłując zachować spokój; od czasu do czasu rzucała na niego okiem znad krawędzi kieliszka i zastanawiała się, czy właściwie odczytuje komunikat zawarty w jego wzroku. Nie myliła się, ponieważ później podszedł do niej i powiedział: „Wiesz, masz nieprawdopodobnie czarodziejskie oczy. Wydawało mi się, że się w nich zagubiłem. Czuję, jakbyśmy znali się od dawna. Może już spotkałiśmy się w jakimś innym życiu”.

Nikt w ten sposób nigdy do niej nie mówił. Nic dziwnego, że była oszołomiona i kiedy Marcus poprosił o numer telefonu, podała go natychmiast. Kiedy wróciła do domu, czekała na nią wiadomość na automatycznej sekretarce. Ciągle o tobie myślę. Proszę, zgódź się zjeść ze mną jutro kolację.

Franny nie mogła się oprzeć. Był jak kocimiętka - raz powąchasz i koniec. Ale Marcus mieszkał w Atlancie, gdzie zajmował się nieruchomościami i budował apartamenty dla samotnych. Do Los Angeles przyjeżdżał dwa razy w miesiącu, obiecał jednak wpadać częściej. Pierwsze miesiące były zupełnie szalone. Kochali się cały czas - w każdym razie cały czas kiedy byli razem. Przesyłał jej kwiaty, często dzwonił, żeby powiedzieć

dobranoc. Później jednak miał dużo pracy i nie mógł tak często wyskakiwać do Los Angeles, zresztą robił wrażenie nieobecnego, jakby myślami przebywał zupełnie gdzie indziej.

Franny wciąż jeszcze nie chciała spojrzeć prawdzie w oczy, ale w głębi serca wiedziała, że na murze już pojawia się złowrogi napis, i zastanawiała się, czy nie lepiej skończyć z tym od razu, żeby choć ocalić godność. Zdawała sobie sprawę, że Marcus zachowuje się okropnie, a ona sama głupio się na to godzi, ale był jak nałóg, od którego trudno się uwolnić. Ciągle miała nadzieję, że jednak ją kocha.

Była tak pochłonięta myślami o Marcusie, że omal nie wjechała w tył hondy civic. Żołądek ścisnął się jej jeszcze mocniej: Przynajmniej jedna rzecz była pewna - jak zawsze, z braku czasu nie zjadła lunchu i teraz czuła głód. Może Marcus nie będzie miał jej za złe wilczego apetytu. A jeśli nawet, do diabła, powie mu, żeby spadał. Prawie przegapiła skręt. Przecięła podwójną linię i przy wtórze ryczących klaksonów wjechała na Channel Drive. Gwałtownie zahamowała przed restauracją U Giorgia.

Chwyliła starą, brązową torbę, zbyt późno uświadamiając sobie, że zamierzała wziąć zamiast niej coś mniejszego i bardziej eleganckiego, przygładziła rozwiane wiatrem włosy, zostawiła samochód chłopakowi odprowadzającemu auta na parking i weszła do środka, na spotkanie przeznaczenia.

Rozdział 2

We włoskiej restauracji było tłoczno i przytulnie; salę wypełniał gwar rozmów, brzęk kieliszków z winem, miły zapach sosów i perfum.

- Pan Marks rezerwował tu stolik - zwróciła się Franny do uśmiechniętej hostessy.

Dziewczyna sprawdziła listę.

- Pan Marks jeszcze nie przyszedł. Zaczeka pani?

Franny powiedziała, że owszem, i precyzyjnie się między gęsto ustawionymi stołami na miejsce w rogu sali. Zamówiła kieliszek chianti i usiadła, rozglądając się wokół. Nie bywała U Giorgia zbyt często, a lubiła przyjrzeć się eleganckiej klienteli, która wpadała tu z najbliższej okolicy. Z zazdrością popatrzyła na rodzinę przy sąsiednim stoliku. Wspaniali, piękni ludzie, na do datek szczęśliwi, z dwoma małymi synkami i najwyraźniej trzecim dzieckiem w drodze. Przykład tego, do czego powinien

dążyć każdy młody człowiek, podczas gdy ona... cóż, tkwi w stanie zawieszania.

Przeglądała kartę, popijając wino i dziękując Bogu, że przynajmniej raz to nie ona się spóźnia. I wtedy podeszła do niej hostessa, prowadząc przesłoniczną smukłą kobietę, w eleganckiej czarnej sukni, z ciemnymi włosami ściągniętymi z tyłu i lśnącymi jak u kota.

- Pani Marten? - spytała kobieta. Franny kiwnęła głową, zdziwiona, ale uśmiechnięta. - Jestem Clare Marks - powiedziała, a Franny poczuła gorący dreszcz na plecach. - Żona Marcusa - dodała spokojnie. - Marcus uważa, że pora, byśmy się poznały.

Franny odpłynęła krew z twarzy.

- Była żona - zdołała w końcu wydusić, uciekając przed prawdą.

- Żona, proszę pani.

Popatrzyły na siebie. Clare Marks miała oczy piwne i zacięte, Franny - pociemniałe z wrażeń.

Niemożliwe, myślała. To nie mogło mnie spotkać. Zaledwie parę godzin wcześniej, w lecznicy, to ona panowała nad sytuacją, była silna, pocieszała i dodawała odwagi. Teraz sprowadzono ją do zera. Nie znajdowała słów. W ułamku sekundy romans z Marcusem stał się niczym. Popatrzyła na swoją dłoń, w której ścisnęła kieliszek tak mocno, że szkło mogło lada chwila pęknąć; nie była w stanie podnieść oczu na panią Marks.

Clare usiadła naprzeciwko. Skinęła na kelnera, poprosiła o kieliszek pinot grigio i znów popatrzyła na Franny.

- Marcus oczywiście nie powiedział pani, że jest żonaty - stwierdziła po prostu. - Nigdy nie mówi. Mnie zostawia to zadanie. Zachowuje się jak gówniarz, ale... - Wzruszyła ramionami. - Mężczyźni prawie zawsze tacy są, prawda?

Franny podniosła wzrok. Czekała, czy Clare rozwrzeszczy się i głośno oskarży ją przed całą salą, że jest „tą trzecią”. Niespokojnie rozejrzała się w poszukiwaniu drogi ucieczki, ale stoliki ustawiono zbyt ciasno, by o tym myśleć. Dla odwagi trzema wielkimi łykami opróżniła kieliszek.

Kelner wrócił, żeby przyjąć zamówienie.

- Myślę, że tak czy inaczej możemy coś zjeść. - Clare zerknęła w menu i poprosiła o langustę z fettucini.

Kelner uśmiechnął się z aprobatą - wybrała specjalność lokalu. Odwrócił się wyczekująco w stronę drugiej klientki. Franny wzięła głęboki oddech. Nie może przecież tak tu po prostu jeść kolacji z żoną Marcusa. To niemożliwe. Wstanie i wyjdzie. Natychmiast. Ale nagle pojawił się gniew. Nie, do cholery! Nie da się upokorzyć tej suce.

- Proszę gnocci z ziemniaków z sosem pomidorowym - powiedziała cicho przez ściśnięte gardło. Ledwie rozpoznawała własny głos. - I jeszcze raz chianti. - Pozwoliła sobie na nieco brawury.

Clare Marks oparła łokcie na stole, dłonie splotła pod brodą i patrzyła na nią w milczeniu. Radosny szmer rozmów wirował wokół głowy Franny jak confetti na przyjęciu weselnym. Bolało ją coś w piersi. No jasne, tam przecież jest serce. Czy też bolały, od patrzenia na żonę swojego kochanka. Idealne rysy, lśniące, czarne włosy zaczesane do tyłu, żeby podkreślić piękny profil, absolutnie doskonała, kosztowna mała czarna i perły w uszach. I jeszcze platynowe kółeczko wysadzone brylantami na serdecznym palcu.

Franny nagle przeszedł dreszcz, otuliła się niebieskim, szydełkowym szalem. Poczucia się nietaktowna, bez klasy i bez szans. Jeszcze raz łyknęła wino; długie klipsy, które tak jej się podobały, zadzwoniły głośno, uderzając o szkło.

- Świetne klipsy - oceniła Clare.

Franny spojrzała na rywalkę. Jasne, że Clare wie, że są tanie, i wcale nie zamierzała powiedzieć komplementu. Franny smętnie zastanowiła się przez chwilę, po co Marcus w ogóle zwracał sobie nią głowę, mając tak piękną żonę.

- Patrzy pani na mnie i myśli, czemu to zrobił, prawda? - spytała Clare.

- Jestem wcieleniem Miss Ameryki, tak? Rzeczywiście, wygrałam konkurs piękności. W Georgii. Tak naprawdę byłam raczej małomiasteczkową gęsią, niewiniątkiem jak pani, kiedy go poznałam. Pobraliśmy się siedem lat temu. A pani jest siódmą kobietą, której muszę mówić w jego imieniu do widzenia. Tak między nami, co pani na to?

Franny siedziała w milczeniu, sztywna jak trup, świadoma, że kobieta przygląda się jej z litością. Clare opróżniła kieliszek.

- Do diabła z tym wszystkim - powiedziała. - Weźmy butelkę. W końcu świętujemy coś w rodzaju uroczystości. Wolność dla ciebie i dla mnie też. Odeszłam od Marcusa. Tym razem na zawsze. Ani chwili nie zostanę z sukinsynem, który mnie zdradził siedem razy. I jeszcze coś, droga Franny, mam zamiar wyciągnąć z niego wszystko co do centa, a wierz mi, skarbie, dużo tego będzie. - Uśmiech rozjaśnił jej śliczną twarz. Piwne oczy zabłyśły; wyglądała teraz jak mała, figlarna dziewczynka.

- Marcus naprawdę wysłał panią do mnie?

- Oczywiście. Ten drań nigdy nie umiał sam załatwiać swoich brudnych spraw, ale od tej pory będzie musiał. Pani jest moim ostatnim zleceniem.

Franny pociągnęła porządny łyk wina.

- Dobra, pieprzyć Marcusa - powiedziała trochę za głośno, bo siedzące obok młode małżeństwo z dziećmi obróciło się i spojrzało na nią znacząco.

Clare nabijała na widelec fettucini jak wygłodniały futbolista po ciężkim meczu.

- Wcinaj - zachęciła. - Miłość albo jej brak dodaje kobiecie apetytu. Franny spróbowała gnocci. Były pyszne.

- Może i racja, pani Marks - przyznała, krztusząc się przy nazwisku.

- Proszę popić - poradziła Clare. - Oczywiście, że mam rację.

Clare nie całkiem dokładnie przedstawiła Franny swoją przeszłość. Prawdę mówiąc, nie za bardzo chciała ją wspominać. Franny nie jest tak głupia jak ja, pomyślała. Ma zawód, pracę, wykształcenie, pasję, odniosła sukces. A Clare musiała poduczać się, powiedzmy, pracując.

Nachyliła się i zjrzała w oczy Franny.

- Prawie wcale się nie znamy - stwierdziła. - Ale mam wrażenie, jakbym znała cię od dawna.

- O Boże - szepnęła Franny, zszokowana. - Właśnie to powiedział Marcus, kiedy się pierwszy raz spotkaliśmy.

- Założę się, że dodał: może już spotkaliśmy się w jakimś innym życiu - oznajmiła Clare.

Franny spojrzała na byłą Miss Georgii:

- Och, tak.

- Mnie mówił to samo. - Clare roześmiała się. - To jego typowy chwyt. Marcus jest dość przewidywalny. - Delikatnie rozdzieliła langustę, pochłonęła ją w całości i oblizała palce. - Więc co masz zamiar teraz zrobić? Rozmawiać z nim? Marcus tego nienawidzi. Dlatego mnie wysyła na takie rozmowy. Będzie przed tobą uciekał.

Na rzęsach Franny wisiły łzy.

- Dlaczego z nim byłaś, skoro wiedziałaś, co się dzieje?

- Z tego samego powodu, z jakiego miliony innych kobiet, skarbie. Czasem nazywa się to miłością, czasem zauroczeniem. Mężczyzna może być jak nieuleczalna choroba. - Clare popatrzyła Franny w oczy i uśmiechnęła się smutno. - Przykro mi, moja droga.

- Nienawidzę Marcusa. - Franny znów łknęła wina. - Za to, że mnie oszukał, nabrał. Za to, że jest kłamcą i krętaczem. - Odezwała się żelazna natura Franny; otwarcie stawiała czoło prawdzie. - Właściwie wiedziałam - dodała. - W głębi serca czułam, że to koniec.

Clare patrzyła na nią ze zdziwieniem.

- No, no, brawo, Franny. Myślałam, że dajesz sobą pomiatać. Najwyraźniej się myliłam.

Franny otarła łyzy palcem; nagle poczuła się lepiej.

- Chyba mam ochotę na tiramisu - stwierdziła zdecydowanie.
- Jasne, coś słodkiego; bardzo dobre na złamane serce - przyznała Clare.
- Choć, uwierz mi, Marcus nie jest w stanie złamać serca, może je tylko trochę zranić. Żeby złamać serce, trzeba mieć duszę, a tego akurat Marcus na pewno nie ma. - Westchnęła. - Ja zresztą chyba też nie, bo jakoś nikomu do tej pory nie zламаłam serca.

Franny gwałtownie wbiła łyżeczkę w śmietankowe tiramisu, wyobrażając sobie, że to oczy Marcusa.

- No, ja na pewno mam duszę i nie zamierzam jej stracić.
- Hm. Powodzenia. Uważaj na nią. W końcu to wszystko, co człowiek ma.

W milczeniu kończyły deser, a kelner dolewał im do kieliszków wina.

- Dziękuję za to, co zrobiłaś - odezwała się Franny, starając się zachować resztkę godności. - Naprawdę nie spodziewałam się, że będę tu siedzieć z żoną Marcusa. - Popatrzyła zamyślona w głąb kieliszka. - Dziwne... jesteś uczciwa, prostolinijna i bardzo miła dla mnie. Podobasz mi się, Clare. W innych okolicznościach pewnie byśmy się polubiły.

Clare doskonale wiedziała, co Franny chce powiedzieć.

- Skarbie, to po prostu przez kontrast z tym, co ci ostatnio serwował Marcus; wiecznie wystawiał cię na próbę, robił wyrzuty, że się spóźniasz albo nie wyglądasz jak trzeba. - Podniosła dłoń, kiedy Franny otworzyła usta ze zdziwienia. - Tak jest z każdą kobietą. To element jego chorobliwej potrzeby panowania nad drugim człowiekiem, zabawy w kotka i myszkę. Najpierw powiemy dziewczynie, że jest wspaniała, piękna, seksowna, dowcipna... a potem damy po łapach i sprowadzimy do parteru. Na sam dół, żeby to on był górą. Bo lubi mieć przewagę. - Wzruszyła ramionami. - Wtedy oczywiście zabawa się kończy i pora szukać nowej ofiary.
- Wzrok Clare złagodniał, kiedy spotkała zranione spojrzenie Franny. Ucisnęła jej dłoń przez stół. - Nie obwiniaj się, kochanie. Ze mną było tak samo. To po prostu zły facet, a ty, śliczna Franny, potrzebujesz porządnego człowieka, kogoś, kto o ciebie zadba i komu będzie zależało na twoim szczęściu. I kto cię nigdy nie oszuka. Szczerze mówiąc, ja też kogoś takiego potrzebuję. - Westchnęła. - Tylko gdzie się takich znajduje.

- Bóg raczy wiedzieć. - Franny popatrzyła na szczęśliwą parę z dziećmi przy sąsiednim stoliku, która szykowała się już do wyjścia. - Gdzieś jednak muszą być - dodała tęsknie.

* Clare spojrzała na nią z ulgą.

- Bałam się, że czeka mnie koszmar, ale przyjęłaś to całkiem dobrze. Wiesz co, Franny? Obie jesteśmy w głębi duszy niewinnymi panienkami

z małego miasteczka, nie sądzisz? - Pod stołem skrzyżowała palce. Nie była to całkiem prawda, choć rzeczywiście od tego się wszystko zaczęło.

Franny też poczuła ulgę. Uśmiechnęła się. Odchyliła do tyłu głowę i opróżniła kieliszek.

- Podwożę cię do domu - zaproponowała Clare. Wiedziała, że Franny wypija niemało i wciąż jest zdenerwowana. - Szofer czeka.

Franny nie przypominała sobie, kiedy ostatni raz jechała limuzyną. Chyba na uroczystość zakończenia szkoły średniej. No, ale ma się tę godność. Nie pozwoli, żeby żona Marcusa transportowała ją do domu.

- Nie, dziękuję, mam tu samochód - odparła.

- Tak, wiem, ale obie trochę popiłyśmy. Zabierz kluczyki i powiedz, że jutro odbierzesz swoje auto.

Franny nagle poczuła się zbyt zmęczona, by dyskutować. Grzebała w torbie w poszukiwaniu karty, ale Clare była szybsza.

- Na konto Marcusa - powiedziała i obie zachichotały, kiedy składała jego zamaszty podpis. A potem, ramię w ramię, z niezliczonymi *ciao* i *grazie* pomaszerowały do wyjścia.

Rozdział 3

Limuzyna zatrzymała się przy krawężniku. Franny jak zwykle zapomniała zostawić w środku włączone światło i teraz dom wydał jej się bardzo mały i ponury.

- Mój domek - powiedziała tonem usprawiedliwienia. - Zdaniem niektórych bardziej pasuje do Oregonu niż do Los Angeles. Może dlatego, że ja sama wciąż jestem bardziej z Oregonu niż stąd.

- Świetny - stwierdziła Clare, poprawiając szminkę bez lusterka.

- A ty gdzie właściwie mieszkasz? - spytała Franny.

- W tej chwili na walizkach, kochanie. - Clare wskazała na stos bagażu upchniętego w limuzynie. Nie pozwoliła kierowcy włożyć rzeczy do bagażnika, żeby ani na chwilę nie tracić z oczu swojego dobytku; w końcu było tam wszystko, co miała. - Chyba przenocuję w Shutters Hotel, a jutro pomyślę, co dalej.

Franny nagle uświadomiła sobie, że Clare po rozstaniu z Marcusem jest chwilowo bezdomna. Okazała się tak miła i wyrozumiała, że nie byłoby w porządku puszczać ją samą w noc. Obie mają za sobą podobne przeżycia, obie też muszą na nowo spojrzeć w przyszłość.

- Może wejdiesz na herbatką z rumianku - zaproponowała.
- Czemu nie. Młoda godzina, a my całkiem same - zacytowała błędnie Clare, z wdziękiem wystawiając z samochodu swoje długie nogi. - Choć wolałabym kawę - dodała. Stała przez chwilę, przyglądając się pustej werandzie. - Zawsze marzyłam o małym domku z bujanym fotelem na werandzie od frontu - wyznała z cieniem smutku.

- A ja zawsze marzyłam o małym domku z mężem w środku - powiedziała Franny i obie spojrzały sobie w oczy, i rozchichotały się, kiedy Franny usiłowała trafić kluczem do dziurki. W końcu zdołała otworzyć drzwi. Ostrożnie przekraczając obluzowaną, trzeszczącą deskę, weszły do domu.

Clare natychmiast poczuła się jak u siebie; wydawała okrzyki zachwytu na widok różnokolorowych dywaników ze szmatek, stolika do kawy z lat pięćdziesiątych i antycznej francuskiej szafy. Obejrzała zdjęcia w ramach, powąchała pachnące świeczki, włączyła CD i podkręciła głośniki. W ogóle nie zwracała uwagi na ogólny chaos.

Franny zaparzyła bezkofeinową kawę. Wynalazła w spiżarni torbę ciasteczek i pospiesznie opłukała dwa niebieskie ceramiczne kubki.

- Podano kawę - oznajmiła. Postawiła plastikową tacę w kwiaty na obitym czerwonym aksamitem podnóżku obok gołych stóp Clare, która wyciągnęła się na kanapie. Bez butów na szpilkach, z zamkniętymi oczami, kobieta wyglądała, jakby wreszcie znalazła się na swoim miejscu. Palcami stóp kiwała w takt *You Go to My Head* Roda Stewarta.

- „Jak bąbelki w kieliszku szampana” - Clare wtórowała piosenkarzowi niskim, zmysłowym głosem, uśmiechając się do siebie.

Franny też uśmiechnęła się na ten widok. Clare była całkiem inna niż znane jej kobiety. Nie tylko ołśniewająca, aż zazdrość brała, nie tylko elegancka, ale również zwyczajna i prostolinijna.

Clare usiadła i patrzyła, jak Franny nalewa kawę.

- To jest właśnie to, co dziewczyny lubią najbardziej. - Uśmiechnęła się. - Zwinąć się w kłębek, pić dobrą kawę i słuchać Roda Stewarta. - Spojrzała na stosik poczty przyniesionej przez Franny. Zauważyła kopertę z francuskim znaczkiem. - O, a kto do ciebie pisze z Francji? - Podniosła dłoń, roześmiana. - Kolejny żonaty kochanek, o którym nie chcę słyszeć.

Franny ze zdumieniem oglądała dużą, prostokątną kremową kopertę. Nie znała nikogo we Francji. Rozerwała papier i głośno przeczytała nagłówek.

- „Chateau des Roses Sauvages, Marten-de-Provence”. Mój pradziadek Marten pochodził z Francji - powiedziała zaskoczona. - Ale nigdy

Ale nigdy nie wiedziałam dokładnie, skąd. Przyjechał tutaj po jakimś rodzinnym konflikcie. Zdaje się, że nigdy już nie odezwał się do bliskich.

- To czytaj. Może się dowiesz, dlaczego - poradziła Clare, ale Franny już przebiegała wzrokiem list.

Droga Frannie!

Chciałabym zaprosić Cię do siebie na spotkanie rodziny Martenów.

Nie znasz mnie, oczywiście, ale każda z osób, do których kieruję to zaproszenie, jest ze mną spokrewniona. Jesteście kuzynami, czasem bardzo dalekimi, ale nawet mimo dużej różnicy pokoleń stanowicie rodzinę.

Proponuję, żebyś przyjechała 20 września i została tu trzy tygodnie. Skontaktuje się z Tobą przedstawiciel biura podróży, który załatwi formalności.

Z przyjemnością pokażę Ci chateau Twoich przodków i mam nadzieję, że będzie Wam wszystkim miło poznać się nawzajem, choć pochodzicie z bardzo odległych zakątków świata. Płynie w Was jednak ta sama krew, a ja zawsze wierzę, że to się liczy.

Jestem starą kobietą i chciałabym znów połączyć tych, którzy pozostali z naszej rodziny. Nie zawieźdź mnie, proszę.

Podpis, złożony pewną ręką, brzmiał: RAFAELLA MARTEN DES SAUVAGES.

Franny przeczytała list ponownie. I jeszcze raz.

- Och - westchnęła w końcu. - O, nie! Nie wierzę. To śmieszne. Oczywiście, że nie pojedę.

Clare pokiwała palcami stóp i ziewnęła.

- Dokąd?

- Do *chdteau* w Prowansji na spotkanie z rodziną, o której istnieniu nie miałam pojęcia. Posłuchaj tylko. - Przczytała zaproszenie na głos. - Nigdy w życiu nie słyszałam o żadnej Rafaelli Marten. Ona twierdzi, że jest moją ciotką. O Martenach wiem tylko tyle, że dziadek ich nienawidził, a ojciec uważał, że całkiem słusznie. Tata nigdy nie jeździł do Prowansji na rodzinne spotkania, więc czemu ja mam jechać?

- Czemu? - Clare usiadła wyprostowana. - Jak to czemu? Dla przygody, to jasne. Chryste, ja na twoim miejscu poleciałabym tam natychmiast.

- Naprawdę? - Franny z powątpiewaniem znów przyjrzała się zaproszeniu. - Rafaella Marten jest starą kobietą. Chce tylko znów zebrać rodzinę w *chdteau*, „domu przodków”, jak pisze.

Franny klapnęła na kanapę; przed oczyma przemknęło jej całe życie. Nikogo nie mam, myślała trzeźwo. Tylko zwierzęta, ale nawet one nie należą do mnie. Marcus odszedł i w miłości też mi się nie układa. Nigdy nie miałam rodziny - zawsze był tylko tata i ja. Zawsze zabiegana, nie

zdawałam sobie sprawy, że jestem samotna. Czy rzeczywiście? Czy dlatego pozwoliłam, by Marcus wziął w ręce moje życie i zrobił z nim, co chce?

Usadowiła się obok Clare, wciąż ściskając w rękę zaproszenie i patrząc tępo przed siebie. Kim właściwie jestem? Miła, młoda pani doktor z miejscowej kliniki dla zwierząt, ktoś, na kogo można liczyć, że weźmie dodatkowe godziny albo przyjdzie do pracy w niedzielę. Nie martwcie się, Franny się tym zajmie, mówią. I tak jest.

Zawsze chciała mieć rodzinę, choć nigdy nie przypuszczała, że krewni dadzą o sobie znać z tak daleka. Ni stąd, ni zowąd nagle okazało się, że ma ciotkę, a nawet kuzynów. I wszyscy się spotkają w starym, romantycznym *chdteau* w Prowansji, krainie słońca, wina i oliwek. Dom rodzinny, pomyślała tęsknie. *Chdteau*, w którym Martenowie mieszkali przez wieki.

Popatrzyła na Clare. Śliczna dziewczyna. Siedzi na brzeжку sofa, z wyrazem wyczekiwania w oczach. Jakbym znała ją od zawsze, dużo dłużej niż tego cholernego sukinsyna Marcusa.

- Dobra, może i pojedę - mruknęła niepewnie.

- A co masz do stracenia? - spytała Clare z uśmiechem. - W końcu praca i tak będzie na ciebie czekać po powrocie.

- Ale Marcus nie - odparła krótko.

- Do diabła z nim, niech nie czeka, kochanie, i dziękuj za to losowi! - Clare lekko przekrzywiła głowę i zamyślona popatrzyła na Franny. - Jedź - doradziła. - Taka okazja trafia się raz w życiu.

Franny rozpromieniła się, szczęśliwa, że ktoś inny za nią podjął decyzję.

- Pojadę - oznajmiła i z jakiegoś powodu natychmiast poczuła się bardzo samotna. - Hej. - Odwróciła się gwałtownie do Clare. - Przecież możesz zostać tu na noc. Sofa jest wygodna, a ja zaraz zrobię jeszcze kawę. - Popatrzyła z nadzieją, ale Clare zmarszczyła nos.

- Bez kofeiny?

Franny parsknęła śmiechem.

- Jutro z samego rana pójść do sklepu - obiecała.

- Załatwione. Pod jednym warunkiem. Żadnych rozmów na temat Marcusa.

Franny znów się roześmiała.

- Zgoda. - Poszła nastawić wodę na kawę i poszukać koca i poduszki.

Rozdział 4

Jake Bronson wszedł do baru w hotelu Four Seasons na Manhattanie. Stał na chwilę i ogarnął wzrokiem wnętrze. Kilka kobiet odwróciło głowy w jego stronę, zastanawiając się, kto to taki. Wysoki, przystojny mężczyzna, dobrze zbudowany, w dżinsach i starej, wełnianej kurtce włożonej na niebieską koszulę. Na twarzy miał wypisane niejedno doświadczenie życiowe. Tylko kowbojskie buty stanowiły ustępstwo na rzecz hołubionego od lat chłopięcych marzenia o własnym ranczu; natomiast gęste, ciemne włosy były zbyt długie tylko dlatego, że przycinanie ich uważał za stratę czasu. Odruchowo przeczesywał je palcami dużej dłoni, która potrafiła równie dobrze zadać cios, jak i uspokoić narowistego konia.

Zmrużył jasne oczy i z uśmiechem pozdrowił kogoś ze znajomych na drugim końcu sali. Usiadł przy barze i zamówił budweisera. Wymyślne drinki w szklaneczkach nie były w jego stylu.

- Dobrze schłodzone proszę - dodał. Miał taki kaprys; lubił piwo z zamrażalnika.

Wyjął z kieszeni zaproszenie i przeczytał je raz jeszcze. Ma teraz czterdzieści cztery lata, a ostatni raz widział Rafaellę Marten, kiedy był szesnastolatkiem. Kochał się w niej na zabój. Uważał ją za ideał dojrzałej kobiety - piękna, czarująca, inteligentna, zmysłowa, pełna radości życia. A poza tym była kochanką jego ojca.

Jake spędził dzieciństwo na ojcowskiej hacjendzie w Argentynie, gdzie rósł dziko, bez żadnej kontroli. Ojciec, Lucas Bronson, był znanym graczem w polo - i playboyem - który z racji swojej profesji podróżował po całym świecie. Matka Jake'a, amerykańska piękność z dobrej, nowojorskiej rodziny, zmarła, kiedy był dzieckiem. Wtedy ojciec zabrał go na hacjendę. Wychowywała go staruszka, którą nazywał Abuelita albo Babunia (choć nie należała do rodziny i mówiła wyłącznie po hiszpańsku). Za towarzyszy miał jedynie kowbojów, *gauchos*, z którymi ujeżdżał konie sprowadzone z pampasów. Małe, szybkie koniki, wykorzystywane przy pędzeniu bydła, potrafiły zawracać w miejscu i wprost idealne nadawały się do gry w polo. Jake jeździł konno, zanim jeszcze nauczył się chodzić, i zawsze marzył o własnym ranczu. Życie jednak potoczyło się inaczej.

Kiedy miał szesnaście lat, ojciec wezwał go nagle do Prowansji i od tamtej pory wszystko się zmieniło. Przyjechał do *chateau* jako młody prostak z jedną walizką, w której miał kilka znoszonych koszul i jed-

ną parę butów. Ale Rafaella potrafiła zrozumieć samotnego dojrzewającego chłopca. Nauczyła go ogłady i poruszania się w kulturalnym towarzystwie, przyjęła do rodziny i traktowała jak matka. Przez rok życie wydawało się doskonałe, choć ojciec tak naprawdę nigdy nie życzył sobie jego przyjazdu. W końcu Jake musiał samotnie szukać sobie miejsca na świecie. Utrzymywał jednak kontakt z Rafaellą, przez lata pisywał do niej o ukończeniu szkoły w Annapolis, o przydziale do wywiadu marynarki wojennej, o młodzieńczym małżeństwie „ze śliczną dziewczyną, zbyt piękną, by dało się ją opisać, i zapewne zbyt młodą, by wiązała się z oficerem marynarki, który będzie zawsze daleko od domu”. W prezencie ślubnym Rafaella posłała im ciężki, srebrny kandelabr, należącym do rodziny od blisko dwustu lat. Jake zawsze się nim zachwycał.

Parę lat później, kiedy wydarzyło się nieszczęście, napisała do Jake'a z propozycją, by schronił się w jej *chdteau*, ale odmówił. Stwierdził, że nie nadaje się do kontaktów z ludźmi i sam musi sobie poradzić. „Zawsze taki byłeś”, zauważyła wtedy Rafaella.

Życie toczyło się dalej. Każdego roku przychodziła kartka na Boże Narodzenie, subtelny znak, że jest ktoś, kto pamięta, ale Jake nigdy już nie wrócił do *chdteau*, który przez krótki, szczęśliwy czas nazywał swoim domem.

Po dramatycznych przeżyciach odszedł z marynarki i wywiadu. Po roku tułania się po barach i topienia smutków, otworzył własną firmę. To, co kiedyś było po prostu biurem prywatnego detektywa - obecnie, w dobie komputerów, baz danych i młodych ludzi z dyplomami nauk ścisłych i ekonomicznych zastępujących gliniarza z pistoletem - nazywało się agencją zarządzania ryzykiem. Ku własnemu zdumieniu odniósł sukces. Teraz kierował zespołem siedmiuset osób rozsianych po całym świecie. Był dobry w swojej branży. Może nie o tym dokładnie marzył, ale praca wypełniała lukę w jego życiu i za to należało być wdzięcznym losowi.

Mieszkał w przestronnym, ponurym mieszkaniu w dawnych magazynach w Soho. Lokum zupełnie nie odzwierciedlało osobowości Jake'a, ale też bywał tu rzadko. Zazwyczaj przemierzał świat w interesach, podobnie zresztą, jak ojciec. Od czasu do czasu, gdy zew dzikiej natury stawał się zbyt silny, uciekał w góry, gdzie własnymi rękami zbudował prostą chatę z bali - dwie izby i ganek od frontu, z balustradą, żeby było na czym oprzeć nogi w butach, kiedy patrzy się przez strzeliste konary na nienickną czerwoną poświatę zachodu słońca.

Słychać tam tylko wieczorne nawoływanie ptaków wracających do gniazd i szum wiatru w wysokich drzewach, a jedyną wartościową rzeczą w domku jest srebrny, osiemnastowieczny kandelabr, prezent ślubny od

Rafaelli, stojący ni przypiął, ni przyłatał na zwykłym kuchennym blacie z desek. Dla Jake'a raj na ziemi znajdował się właśnie tu, na kilku hektarach odludzia, piętnaście kilometrów od najbliższego miasteczka z barem i całe lata świetlne od stresów świata biznesu.

Jezdził ubłoconym terenowym wozem rocznik dziewięćdziesiąt siedem, z napędem na cztery koła, który kiedyś był zielony, ale teraz przybrał kolor rdzy. Miał jeszcze psa znalezionego na szosie i nazwanego Zbir z racji różnych jego haniebnych uczynków oraz myszatego wałacha o imieniu Brudny Harry, którego nikt nie chciał. Kiedy Jake wyruszał w podróż, koń i pies mieszkali w stajni na przedmieściu małego miasteczka. Zwierzęta wołały oczywiście, gdy był na miejscu, ale godziły się z takim obrotem spraw i witały jego powroty radośnie, jak wizyty Świętego Mikołaja na Boże Narodzenie.

Zdaniem Jake'a uczucie, jakie żywił do Zbira, nieprawdopodobnie kudłatego, dalekiego kuzyna retrievera, było chyba najbliższe prawdziwej miłości, na jaką w tej chwili mógł się zdobyć. Czego nie można powiedzieć o jego bliższych kontaktach z kobietami, przelotnych, bo nie miał czasu na trwały związek. Pies zawsze będzie czekał na człowieka. Kobieta nie.

Spojrzał na zegarek. Dokładnie cztery godziny temu zadzwonił do Rafaelli, powiedzieć, że przyjedzie. Zmienił plany na czas wizyty i przekazał ważne sprawy z września swoim podwładnym. Będzie w *chateau* bez względu na wszystko. Mógłby się założyć, że jego życie znów zupełnie się odmieni. Rafaella zawsze tak na niego działała.

Tymczasem musi wybrać się do Los Angeles. Za dziesięć minut podjedzie samochód, który zabierze go na lotnisko Teterboro w New Jersey, gdzie czeka jego prywatny samolot. Nie zachwycała go perspektywa tej podróży, ale biznes to biznes.

Pociągnął budweisera. Był lodowaty. Jake uśmiechnął się z wdzięcznością do barmana. Przeglądał listę zaproszonych gości, dołączoną przez Rafaellę do listu. Jediną nieznaną mu osobą była Franny Marten. Rafaella na pewno też niewiele o niej wie, poza tym, że to wnuczka Paula Martena, jedynego brata ojca Rafaelli. Co oznacza, że pani Franny Marten może się nagle okazać dziedziczką *chateau* i całego majątku.

W agencji Jake'a w kilka godzin udało się ustalić pewne fakty z życia Franny. Ze skromnych strzępków informacji wynikało, że ewentualna dziedziczka Chateau des Roses Sauvages jest osobą samotną, pracuje jako lekarz weterynarii w Santa Monica i z wielkim zapałem ratuje tam zwierzęta.

Mógł ją sobie wyobrazić: przesadnie miła panienka z Oregonu, odrobinię gapowata, trochę prowincjonalna, niezmiennie w dżinsach, spranych

bluzkach i szydełkowych szalach, coś w rodzaju Ali McGraw z *Love Story*; śnieżnobiały uśmiech i smętne spojrzenie. Głowę by dał, że jest nieco roztartagniona, krzywo zapina guziki, popija herbatę z rumianku i lekko pachnie koźmi oraz środkami dezynfekującymi z nutką cytrusowych perfum.

Pracownik Jake'a odkrył też, że Franny ma przyjaciela. Marcus Marks mieszka w Atlancie i jest żonaty. Jake przez chwilę zastanawiał się, jak to się dzieje, że inteligentne kobiety pakują się w takie sytuacje. A ponieważ i tak wybierał się do L.A., postanowił, że osobiście sprawdzi, kim jest Franny Marten, zanim dojdzie do spotkania z Rafaellą. Miła wiejska panienka, czy nie, ale wizja dziedziczenia *chdteau* i fortuny może każdą kobietę zmienić w sępa.

Rozdział 5

Następnego dnia Jake zaparkował wynajętego srebrnego mustanga przed zwyczajnym, pudełkowatym budynkiem przy uliczce w pobliżu Main Street w Venice Beach. Na szklanych drzwiach wielkie, złote litery głosiły: PRZYCHODNIA WETERYNARYJNA I KLINIKA DLA ZWIERZĄT. Poniżej widniały trzy nazwiska wypisane już nieco mniejszymi, ale też złotymi literami. Franny Marten była na końcu. Jake domyślił się, że dołączyła jako ostatnia do praktykujących wcześniej lekarzy. Pokręcił głową i pomyślał, że zapewne jest z tego ogromnie dumna. Osiągnęła naprawdę niemało, jeśli uwzględnić przeszkody, które musiała pokonać - w wieku siedemnastu lat została przecież całkiem sama, bez żadnego finansowego oparcia. Może więc jest coś warta, choć głowy by jeszcze za to nie dał. Zdarza się, że nawet najprzyzwoitsi ludzie robią dziwne rzeczy, kiedy pojawia się perspektywa dużego spadku.

Wewnątrz, na ustawionych rzędem krzesłach czekali właściciele mocno przestraszonych, trzymanyh w przenośnych klatkach kotów i zaniepokojonych psów, które obwąchiwały się i niepewnie powarkiwały, trochę onieśmielone na nieznanym terytorium. Młoda kobieta w recepcji nazywała się Lindsey, jak informowała plakietka przypięta do zielonej koszulki polo. Recepcjonistka uśmiechnęła się miło i zapytała, w czym mogłaby pomóc.

Jake powiedział, że niedawno zamieszkał w sąsiedztwie i słyszał wiele dobrego o pani doktor Marten. Ma psa, do którego jest bardzo przywiązany,

chciałby więc przedstawić się i nawiązać kontakt z lekarzem. Żeby mieć pewność, że dobrze się zrozumiemy - tak to sformułował, a Lindsey uśmiechnęła się i wyjaśniła, że pani doktor Marten jest teraz zajęta nagłym przypadkiem, ale niedługo skończy i na pewno chętnie z nim porozmawia.

Jake usiadł na krzeselku obok sapiącego buldoga z przekrwionymi oczyma. Kartkował magazyn dla miłośników kotów, zastanawiając się, co właściwie łączy prezentowanego na zdjęciu, rozpieszczonego persa ze zdziczałymi czarnymi kocurami myszkującymi po jego chacie w poszukiwaniu pożywienia. Zapewne ich drogi ewolucji gdzieś się zetknęły, ale patrząc na puszystego zwycięzcę kociego konkursu piękności, nie bardzo umiał sobie wyobrazić, kiedy i w jaki sposób.

- Bardzo proszę, panie Bronson - powiedziała Lindsey, wprowadzając go do małego pokoiku z metalowym stołem i sprzętem medycznym. - Doktor Marten za chwilę przyjdzie.

Jake czekał, oparty o stół, z rękami założonymi na piersiach. Przez otwarte drzwi widział w sąsiednim pomieszczeniu olbrzymiego rudego kota i jego równie potężnego, monstrualnie otyłego właściciela.

- Proszę spojrzeć. - Głos pani doktor Marten brzmiał surowo. - Uządlenie w język jest bardzo groźne dla każdego zwierzęcia, a zwłaszcza dla kota. Język Marmolady spuchł. Omal się nie udusiła. Na szczęście pomógł środek antyhistaminowy, no i tlen. Obrzęk jest mniejszy. Marmolada może już samodzielnie oddychać. Teraz jest jeszcze przygnębiona i zestresowana, ale wychęptała parę łyków wody, a to bardzo dobry znak.

Miała miły, głęboki głos. Jake przesunął się bliżej, aby lepiej słyszeć, co pani doktor mówi. Widział teraz z tyłu jej sylwetkę i uśmiechnął się triumfalnie. Trafnie się domyślał - była wysoka, długonoga i wyglądała trochę niezgrabnie w białym lekarskim fartuchu i dżinsach, ale jej włosy były jasnoblonde, a nie czarne jak u Ali MacGraw. Splotła je z tyłu w grubej warkocz, jak zaplata się grzywę kucyków na pokazach; na szyi miała cienki, srebrny łańcuszek z turkusami. Mógłby się założyć, że pija herbatę z rumianku.

Wciąż jeszcze się uśmiechał, gdy Franny odwróciła się i spojrzała na niego.

Zaskoczona, też odpowiedziała uśmiechem.

- Przyjdę za chwilę! - zawołała i znów zajęła się pacjentem i jego właścicielem.

- Problem w tym - mówiła teraz ostrzejszym tonem - że i pan, i kot powinniście przez jakiś czas ograniczyć jedzenie. Oboje macie wystarczające zapasy tłuszczu, więc nic się wam nie stanie, ale trzeba pamiętać

o wodzie. Marmolada musi zostać u nas, póki nie uznam, że w pełni wróciła do zdrowia.

- Oczywiście - pokornie zgodził się właściciel. - Proszę robić to, co dla niej najlepsze.

- Dobrze - obiecała. - Ale i pan powinien pomyśleć o swoim zdrowiu. Tak dalej być nie może, panie Ronnie. Trzeba wziąć się w garść, zadbać o swoją wagę, zdecydować się na dietę, pójść na siłownię. W przeciwnym razie Marmolada już niedługo będzie musiała szukać nowego właściciela. Poklepała grubasa po ramieniu i cofnęła się o krok. - Proszę zadzwonić za parę godzin, a powiem panu, jak się ma nasz pacjent.

Jake uniósł brwi ze zdziwienia. Doktor Marten nie bała się mówić prawdy prosto w oczy.

Weszła do pokoju szybkim krokiem.

- Przepraszam, że musiał pan czekać. - Obdarzyła go miłym dziewczęcym uśmiechem. - Czym mogę służyć, panie... - rzuciła okiem na kartę, którą dostała od Lindsey - Bronson? - Patrzyła na niego podłużnymi oczami, których kolor kojarzył się z olśniewającym błękitem wody norweskich fiordów u progu lata. Było to spojrzenie tak otwarte i zaskakująco szczere, że Jake na moment osłupiał.

- Sprowadziłem się tutaj niedawno. Chciałem panią poznać, aby mieć pewność, że mój pies będzie pod dobrą opieką. Jak pani wie, różnie to bywa.

Kiwnęła głową, marszcząc poważnie czoło.

- Oczywiście. Naprawdę cieszyłabym się, gdyby więcej ludzi chciało poznać weterynarza, zanim potrzebna będzie nagła pomoc. Tak jest lepiej i dla ludzi, i dla zwierząt. Pewnie widział pan scenę z sąsiedniego pokoju. - Roześmiała się i potrząsnęła głową, aby odrzucić z karku warkocz. - Odrobina szczerości można czasem sporo osiągnąć. Mam nadzieję, że klient nie poczuł się urażony. Jak pan sądzi? - Jasne oczy zamrugały się; Franny najwyraźniej nie chciała ranić niczyich uczuć.

- Zrobiła pani to, co należało - upewnił ją pośpiesznie. - Prawdopodobnie uratowała pani życie nie tylko kotu, ale i właścicielowi.

Franny Marten przyjrzała mu się uważniej, już jako kobieta, a nie tylko „sympatyczna pani doktor”. Był przystojny, interesujący, niepodobny do przeciętnych kalifornijskich facetów, na dodatek patrzył na nią tak uważnie, że nagle poczuła dreszcz.

- To nie należy do moich obowiązków - wyjaśniła szybko. - Ale Ronnie jest sympatycznym człowiekiem i nie mogę patrzeć, jak się zaniedbuje. Poza tym wiem, że bardzo kocha Marmoladę. Dobrze, proszę teraz opowiedzieć o swoim psie, panie Bronson.

- Jake - dorzucił szybko.
- Tak go pan nazwał? Ładne imię. - Oparła się o stalowy stół, założyła ręce i słuchała z uwagą.
- Hm, pies nazywa się Zbir. Jake to ja.
Była zaszokowana.
- Nazwał pan psa Zbir? Okropne.
, - Bo pani go nie zna, a to do niego pasuje - tłumaczył. - Ale Zbir jest najlepszym psem pod słońcem. Sam nie wiem, co bym bez niego zrobił.
Franny położyła mu dłoń na ramieniu i delikatnie ucisnęła. Patrzyła mu szczerze w oczy.
- Szkoda, że nie każdy tak się odnosi do swojego zwierzaka.
- Zbir to mój najlepszy przyjaciel - powiedział Jake i zastanowił się, czy aby nagle nie zwariował. Nie miał zwyczaju ujawniać swoich uczuć, tym bardziej przed kobietami.
- Rozumiem - powiedziała ciepło. - Gdyby zaszła taka potrzeba, chętnie przyjmę pana i Zbira, choć nadal uważam, że nie zasłużył sobie na takie imię.
Posłała Jake'owi promienny uśmiech grzecznej dziewczynki i podała mu rękę.
- Proszę przyprowadzić go na szczepienie, panie Bronson. Trzeba przestrzegać terminów. I niech się pan nie martwi, będzie pod dobrą opieką. - Przyjaźnie pomachała dłonią i odeszła.
Jake poczuł jeszcze słodkawy imbirowy zapach. Cóż, jest po prostu facetem szukającym weterynarza dla psa, a ona lekarką weterynarii wykonującą swoje obowiązki. Tak przynajmniej tłumaczył sobie, siedząc już w samochodzie i wspominając dotyk jej nieco szorstkiej dłoni, delikatną woń perfum, zapach imbirowego kwiatu i zdecydowany głos, jakim kazała grubasowi wziąć się w garść. Rozbawiła go ta scena.
Uznał, że pani doktor Marten nie budzi zastrzeżeń. Nie wygląda na dziewczynę, która ugania się za majątkiem albo szuka frajera. Jest naturalną i sympatyczną kobietą z niezwykłymi oczami, które - nie miał wątpliwości - potrafią przeszyć ofiarę na wylot, kiedy jest na kogoś wściekła.

Rozdział 6

Jake zatrzymał się w hotelu Peninsula. Podobało mu się tutaj, przede wszystkim ze względu na ogród z szemrzącymi fontannami, stąd cho-

dziło się do domków wąskimi, krętymi ścieżkami, jak przez dżunglę. Gdyby zamknął oczy i zapomniał o monotonnym szumie ulic Los Angeles, mógłby sobie wyobrazić, że jest na wsi, a nie w samym środku Beverly Hills.

Ominął kryte kąpielisko, ulubione miejsce spotkań młodych hollywoodzkich agentów i wschodzących gwiazdek. Wszedł do baru wyłożonego boazerią i zamówił budweisera. Było tu cicho, a Jake chciał się spokojnie zastanowić. Właściciel dobrze go znał i jak zawsze sięgnął od razu do zamrażalnika.

- Jak interesy? - zapytał Jake'a.

- Całkiem nieźle, dziękuję. - Z piwem w garści zagłębił się w skórzanym, klubowym fotelu. Wyobrażał sobie, jak Rafaella zareaguje na spotkanie z krewniaczką. Przy tym tak sympatyczną. Dobrze by było, gdyby pobyt Franny przynajmniej trochę wynagrodził Rafaelli rozczarowanie z powodu bardzo prawdopodobnej nieobecności jej własnych, niezbyt udanych synów. Jake pomyślał, że może powinien odwiedzić Feliksa i jakoś mu wytłumaczyć, żeby przyjechał do domu i pogodził się z matką. A potem poszukać Alaina, choć ten zawsze był niezwykle tajemniczy; nikt nigdy nie wiedział, co się z nim dzieje. Nie obchodziło to Feliksa, który szczerze nienawidził brata, a trzeba przyznać, że i Jake wcale nie kwapił się go za to potępiać.

Wypił łyk piwa. Gdzieś poza hotelem szumiała ulica, śpiewały ptaki, dzwoniły telefony. Woń ogromnego bukietu kwiatów w holu przypomniała Jake'owi zapach perfum Franny Marten. Przytapał się na rozmyślanie, jak wyglądałaby z rozpuszczonymi włosami. Był ciekaw, jak ona żyje, gdzie mieszka, z kim się przyjaźni i czy jej najbliższym przyjacielem jest pies. Zastanawiał się także, czy Franny wie, że wdała się w romans z żonatym mężczyzną.

Przypomniał sobie delikatny dotyk jej ręki na swoim ramieniu i niekłamną troskę w pięknych oczach. Wiedział już, że nie jest dziewczyną, która łokciami torowałaby sobie drogę przez życie, ani kandydatką na gwiazdkę filmową. Nie szuka bogatego męża i nie będzie za wszelką cenę polowała na spadek. Jest po prostu sobą, kimś zupełnie niepodobnym do kobiet, które znał.

Spojrzał na swój stalowy zegarek. Nie lubił szpanerskich zegarków, tak samo jak nie nosił ekstrawaganckich cocktailli podawanych w wymyślnych szklaneczkach. Dochodziła piąta. Trochę za późno, żeby zapraszać kobietę na kolację do restauracji, ale w końcu czemu nie miałyby zaryzykować? Uśmiechając się do siebie, wybrał numer kliniki weterynaryjnej i poprosił o połączenie z panią doktor Marten.

- Słucham, Marten - usłyszał pogodny głos, który wydał mu się dobrze znany, choć spotkali się tylko raz i to na parę minut.

- Mówi Jake Bronson - powiedziała. - Byłem u pani dzisiaj w sprawie mojego psa.

- Zbira. Pamiętam. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało. - W jej głosie znów brzmiała nuta autentycznej troski.

- Ależ skąd, wszystko w porządku. Ja tylko, pani doktor... no tak, wprawdzie wiem, że kobieta taka, jak pani na pewno już ma zajęty wieczór, ale pomyślałem sobie, że mimo wszystko zadzwonię i zapytam, czy nie chciałyby pani wybrać się ze mną na kolację. - Sam był zdziwiony, że w jego głosie było aż tyle nadziei.

- Och... tak... hm... kolacja... - Niemal słyszał, jak obracają się trybiki w jej mózgu, kiedy próbowała szybko przemyśleć sytuację: całkiem obcy, zjawił się z ulicy, nawet nie przyprowadził psa.

- Proszę się nie niepokoić, nie będę natarczywy - dodał. - Może wpadlibyśmy do Joego w Venice? Lokal tuż koło pani. Zjedlibyśmy coś na patio. Tam zawsze jest pełno ludzi. Nie ma pani powodów do obaw.

- Skąd pan wie, o czym myślałam?

- Przecież tak pomyśli każda kobieta, którą nieznajomy zaprasza do restauracji.

- W porządku, dziękuję, chętnie spotkam się z panem wieczorem - zgodziła się nagle, jakby w obawie, że za chwilę sama zmieni zdanie. - To naprawdę miło z pańskiej strony. Koło ósmej, dobrze?

- Tak jest, o ósmej - potwierdził. Uśmiechał się, odkładając słuchawkę.

Jake brał właśnie zimny prysznic, kiedy zdał sobie sprawę, że w jego planie na dzisiejszy wieczór jest pewien feler. Poznał Franny Marten pod zmyślnym pretekstem; nie mógł zdradzić, że chciał ją sprawdzić, ani też ujawnić, że i on będzie na rodzinnym spotkaniu w Prowansji. To miało pozostać sekretem Rafaelli. Wyszedł spod prysznica i wciąż jeszcze ociekając wodą, złapał za słuchawkę. Postanowił, że zaraz zadzwoni i odwoła kolację.

Ale jaki poda powód? Że podczas tych kilkudziesięciu minut od ostatniego telefonu, zaszło coś bardzo ważnego? Nagle się rozchorował? Głupie wykręty. Nie, lepiej już pójść do restauracji i liczyć, że Franny daruje mu, kiedy prawda wyjdzie później na jaw. A tymczasem zachowa dystans i załatwi sprawę krótko.

Zastanawiał się też, czy powinien powiedzieć Franny o Marcusie, ale przypomniał sobie, że przecież jest nieznajomym, który nie ma pojęcia

o jej prywatnym życiu. Sama będzie musiała przekonać się o wszystkim na własnej skórze. A w końcu, czy naprawdę musi opiekować się niewiarykami, które nie miały dość rozsądku, żeby uniknąć romansów z żonatykami? Jak sobie pani doktor Marten pościeliła, tak się wyśpi - przynajmniej do momentu, kiedy wreszcie zrozumie, co narobiła. Jest po prostu jeszcze jedną kobietą, która wdała się w kiepski romans.

Rozdział 7

Kawiarnia U Joego przy Abbot Kinney w Venice była małym lokalem, którego front wychodził na ulicę, a tył na zadrzewione patio. Bywali tu głównie zamożni młodzi ludzie, którzy lubili dobre jedzenie, gwar głośnych rozmów i świadomość, że są w miejscu jedynym w swoim rodzaju.

- Pan Bronson już czeka - przywitał Franny właściciel i poprowadził ją do stolika w narożniku patio.

Zerknęła nerwowo na zegarek - spóźniła się dwadzieścia minut.

Jake wstał na jej widok. Wyglądała jak blond Cyganka w powłóczyściej spódnicy, z dużymi kolczykami i mnóstwem bransoletek. Rozpuszczone włosy tworzyły jedwabistą zasłonę. Z rozbawieniem pomyślał, że pani doktor wygląda, jakby lada moment miała mu powróżyć.

- Przepraszam za spóźnienie. - Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę.

Z błyskiem w oku uściśnął jej dłoń i odpowiedział uśmiechem. Cieszył się z tego spotkania dużo bardziej, niż mógł się spodziewać.

- Pani praca jest wystarczającym usprawiedliwieniem.

Odgarnęła na bok niesforne kosmyki i przyjrzała mu się uważnie. Jake pomyślał, że porównuje go ze swym niewydarzonym kochankiem. Jako ekspert w rozpoznawaniu ludzkiej osobowości ocenił, że pod zwodniczą powierzchownością delikatnej blondynki kryje się zaskakująco silny charakter. Franny przypominała miękką brzoskwinię z twardą pestką w środku. Znając jej przeszłość, wiedział, że właśnie ta wewnętrzna siła pchała panią Marten do przodu.

Franny miała wrażenie, że Jake zagląda w jej życie, przenika w głąb duszy. Nagle ucieszyła się, że zje z nim kolację i nie będzie musiała siedzieć w pustym domu, pod patchworkową narzutą, i wtulona w poduszkę rozpamiętywać gorzką prawdę o związku z Marcusem.

Zapytał, czego by się napiła.

- Czegoś z bąbelkami, dla dziewcząt - zaskoczyła go odpowiedzią. - I alkoholem. - Pokazała olśniewająco białe zęby. - Miałam ciężki dzień. - Franny studiowała menu z nadzieją, że Jake nie usłyszy, jak burczy jej w brzuchu, bo znów nie miała czasu na lunch. - Najchętniej zaczęłabym od małży z imbirem, a potem poproszę o kotlety z jagnięciny. - Popatrzyła na niego ze skrucą. - Umieram z głodu, ale i tak każde z nas zapłaci za siebie.

- Miło patrzeć na kobietę, której dopisuje apetyt. Dziś ja funduję kolację. - Uniósł rękę, kiedy zaprotestowała. - Zaprosiłem panią. A poza tym chciałbym pokazać, że jestem dzentelmenem.

Przełknęła łyżeczek drinka.

- A jest pan?

- Różnie o mnie mówili, ale wciąż nie tracę nadziei.

- Śmieszne, ja nigdy nie wyobrażałam sobie, że jestem damą. - Franny parsknęła śmiechem. - Chyba po prostu nie miałam czasu, żeby to poćwiczyć. Zawsze byłam „kobietą pracującą” - zażartowała z samej siebie. - Wie pan, taką, która sama sobie daje radę w życiu i tak dalej...

- Wygląda na to, że z powodzeniem - skomentował, kiedy kelner podawał im talerze i dolewał wina.

- No tak - zamknęła temat. Zdała sobie sprawę, że niczego o Jake'u nie wie, poza tym, że ma psa. - Właściwie czym się pan zajmuje?

- Pracuję w branży zarządzania ryzykiem. Ochrona - odpowiedział, widząc jej zdumienie.

- To znaczy... Jako ochroniarz?

- Szkolimy ochroniarzy dla VIP-ów i miliarderów. Zapewniamy im bezpieczeństwo. A ja sprawdzam personel w wielkich firmach, wykrywam ewentualne zagrożenia.

- Prywatny detektyw?

- Coś w tym rodzaju...

Wyraźnie zaskoczona, odchyliła się do tyłu.

- Myślałam, że to jakaś hollywoodzka bzdura. Nie miałam pojęcia, że tacy ludzie, jak pan, naprawdę istnieją.

- Cóż, ja istnieję.

- No właśnie - nie kryła podziwu. - Na pewno bardzo często pan podróżuje.

- Istotnie.

- Chciałabym podróżować. - Westchnęła. - Ale te długie loty, opóźnienia, kolejki do kontroli... - Jak pan to wytrzymuje?

- Mam własny samolot.

Franny wyprostowała się. Odgarnęła opadające włosy i zmrużyła oczy.

- Ma pan własny samolot?
- Tak, ale nieduży i już nienowyy. Obsługuje moją firmę.
- Pierwszy raz rozmawiam z kimś, kto ma własny samolot. Musi pan być strasznie bogaty.

Roześmiał się.

- Bez niego w ogóle nie mógłbym pracować. Z liniami lotniczymi jest zbyt dużo problemów.

- Franny zamyśliła się na chwilę. To czemu właściwie nie złowiła pana dotąd żadna kobieta? - zapytała prosto z mostu. - Chyba że już pan jest żonaty... - Nie pomyślała o tym wcześniej, jakby zapomniała, że żonaci mężczyźni też chętnie umawiają się z kobietami.

- Nie spotkałem ostatnio żadnej, z którą chciałbym się ożenić. - Zabrzmiało to chłodno i zniechęcająco.

Franny zagryzła wargę. Wyczuła, że posunęła się za daleko.

- Bardzo przepraszam.

Jake zmienił temat.

- Jak wygląda pani praca? Często ma pani takich pacjentów, jak Ron i Marmolada? Czy leczy pani tylko zwierzęta?

I Franny rozpoczęła opowieść o swoich podopiecznych, aż doszła do kwestii biednego owczarka niemieckiego.

- Och, racja. - Zerknęła na zegarek. - Po kolacji muszę podjechać do kliniki i sprawdzić, co się dzieje z tym nieszczęsnym stworzeniem.

- Bardzo się pani angażuje.

Kiwnęła głową.

- Inaczej nie potrafię - powiedziała po prostu i w jego spojrzeniu wyczytała, że zrozumiał.

- Proszę mi teraz opowiedzieć nie o zwierzętach, ale o sobie. - Dolał wina. Podniósł wzrok i popatrzył jej w oczy. - Chciałbym lepiej panią poznać.

- Jestem zwykłą dziewczyną z Oregonu. Ojciec miał małą winnicę, w której uprawiał odmianę *pinot noir*. Przyplątała się filoksera i stracił wszystkie pieniądze. Mama odeszła od nas, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. W ogóle nie znałam matki, więc właściwie nie poruszyła mnie jej śmierć, choć wciąż mam z tego powodu wyrzuty sumienia. - Spojrzała na Jake'a z niepokojem. Może za bardzo się odsłoniła? Chyba nie. Nie wiedziała, skąd się bierze w niej przekonanie, że Jake ją rozumie. - Czy to nie wydaje się panu straszne?

Wzruszył ramionami.

- Ja też nie znałem swojej matki. Zostawiła mnie, kiedy byłem mały.

- Proszę mi opowiedzieć. - Pochyliła się nad stołem, podparła dłonią brodę.

Jake mówił więc o swoim dzieciństwie w Argentynie i stosunkach z ojcem, opisywał bezkresną, trawiastą pampę, *gauchos*, swoich jedynych przyjaciół, i małe, szybkie koniki, które bardzo pokochał, a które później przeznaczano do gry w polo i sprzedawano znawcom z całego świata.

- Czy pan w dzieciństwie też czuł się samotny? - zapytała nagle.

Spoważniał, kiwnął głową.

- Taką samotność zna tylko ten, kto tam był - powiedział cicho.

Instynktownie sięgnęła przez stół i ujęła go za rękę. Trzymała ją bez skrępowania, w obu dłoniach.

- A jednak opłacało się. Poradził pan sobie i stał się tym, kim jest pan teraz.

Uśmiechnął się.

- A kim ja właściwie jestem? Kogo widzi pani we mnie, Franny, gdy siedzimy tu razem, popijając wino w uroczej restauracji?

- Po prostu sympatycznego człowieka - odpowiedziała. - Mówi mi to instynkt. Ten sam, który wykorzystuję w kontaktach ze zwierzętami. Nie mam pojęcia, skąd, ale wiem, kiedy wszystko pójdzie gładko, a kiedy i które mogą być groźne i ugryźć. Myślę jednak, że z pana strony nic złego mi nie grozi - dodała żartem. - Dlaczego właściwie opuścił pan Argentynę? - spytała, gdy już przestał się śmiać.

- Przez dwie kobiety. - Jake obracał w dłoni kieliszek od wina. - Kochałem się w obydwu. Pierwsza była piękną Francuzką, wcieleniem *joie de vivre*. Miałem wtedy szesnaście lat, a ona przekroczyła czterdziestkę. Moja pierwsza miłość. Kocham ją do dziś.

- Jakie to romantyczne - westchnęła Franny. - A druga?

- Nazywała się Amanda. Oboje byliśmy młodzi. Pobraliśmy się. Amanda umarła. - Jake nagle zamilkł i spuścił wzrok. Nigdy nie rozmawiał z kobietami o przeszłości, o teraźniejszości rzadko.

Franny zamknęła oczy, jakby wczuwając się w jego ból.

- Tak mi przykro - powiedziała w końcu.

Wzruszył ramionami.

- To dawne dzieje.

- A teraz?

- Och, zbudowałem sobie chatkę wysoko w górach. Trzymam tam konia, starego wałacha, którego nikt nie chciał. Jest też Zbir i kilka dzikich kotów, które przychodzą szukać jedzenia. Samotność, cisza i spokój. - Znów wzruszył ramionami. - Nie potrzeba mi niczego więcej do szczęścia.

Skinęła głową. A więc **pod tą wytworną powierzchownością kryje się** ktoś zupełnie inny.

- A pani? - spytał.

- Długi czas w ogóle nie myślałam o tym, że jestem samotna. Dopiero gdy umarł mój tata, poczułam smak samotności. Nie miałam rodziny, nikt się mną nie opiekował, nikogo nie obchodziło, czy dam sobie radę, czy może... - z rezygnacją machnęła ręką - zostanę kelnerką. Wreszcie pozbierałam się i wzięłam do roboty. Pracowałam w czterech miejscach, żeby przebrnąć przez college. No i skończyłam weterynarię. - Znow machnęła ręką. - I wie pan co? Wciąż jestem sama.

Patrzył na nią ze zrozumieniem. Napotkała jego wzrok. Chyba jednak powiedziała za wiele.

- Muszę zajrzeć do moich pacjentów. - Sięgnęła po torebkę, próbowała zebrać myśli.

Jake zapłacił rachunek i wyszli. Stali przed lokalem, czekając aż obsługa postawi im samochody. Jake zaproponował, żeby mówili sobie po imieniu i spytał, czy może jej towarzyszyć. - Zgoda. Bardzo proszę - odparła.

Owczarek niemiecki leżał nieruchomo, z założonym na kark kołnierzem, żeby nie lizał ran. Jake patrzył, jak Franny przyklekała przy chorym psie, głaszcząc go. Zwierzę wodziło za nią błagalnym spojrzeniem brązowych oczu.

- Nie martw się, kochany - szepnęła. - Będzie dobrze, wyjdiesz z tego. Pomogę ci. - Odpowiedziało jej pojedyncze stuknięcie ogonem, jakby w podzięce.

Kiedy wyszli z kliniki, Franny zadzwoniła z komórki do właścicielki psa, powiedziała, że pacjent doskonale się spisuje i wszystko jest na dobrej drodze.

- Co teraz? - zapytał Jake.

- Jadę do domu. Chcę zdjąć buty, wypić filiżankę herbaty z rumianku i pomyśleć o tym pięknym wieczorze. - Przesunęła dłonią po jego ramieniu, nie zmysłowo, tylko po przyjacielsku, jak dobra znajoma.

- Też napiłbym się herbaty z rumianku - powiedział z nutą tęsknoty w głosie i trafił w dziesiątkę.

- Dobrze, dam ci herbaty, a potem pójdziesz przespać się do domu, bo jestem już naprawdę zmęczona.

Tylko spokojnie, bez żadnych numerów, pomyślał Jake. Franny wyznała reguły gry i dała mu do zrozumienia, jak ma się zachować.

Rozdział 8

Zaparkowali przed małym zielonym domkiem, wysiedli i przez chwilę spoglądali na siebie. Franny wyraźnie zaczęła się wahać. Jake wiedział, nad czym się zastanawia. Był w końcu kimś obcym, kogo miała wprowadzić do domu.

- Jeśli nie chcesz, nie ma sprawy - powiedział. - Wrócę do Starbucksa i wezmę sobie kawę na wynos.

Potrząsnęła głową, a długie włosy zaszeleściły jak jedwab.

- Za dużo kofeiny, nie będziesz mógł zasnąć. Obiecałam herbatę z rumianku, więc ją dostaniesz. Chodźmy.

Jak zwykle zapomniała zostawić zapalone światło, mimo to swobodnie wbiegła po schodkach. Jake wszedł za nią na ciemny ganek, trafił na oblużowaną deskę i nagle poczuł ostry ból w kostce.

- O Jezu!

Odwróciła się. Balansując na jednej nodze, wyglądał jak bocian. Omal nie parsknęła śmiechem, spostrzegła jednak, że Jake skręca się z bólu.

- Przepraszam - jęknęła. - Powinnam cię ostrzec.

- Chyba tak - syknął przez zaciśnięte zęby.

Otworzyła drzwi i pomogła mu dojść do kanapy. Kiedy usiadł, uklękła przed nim, zdjęła but i fachowo obmacała puchnącą kostkę.

Jake patrzył z góry na blond głowę pochyloną nad jego stopą. Chłodne i mocne palce poruszały się sprawnie, po lekarSKU. Było to nawet przyjemne i warte odrobiny cierpienia.

Podniosła się.

- Na pewno nie ma złamania, ale skręcenie jest paskudne. Jeśli chcesz, zawiozę cię na pogotowie, ale mogę też sama zrobić opatrunek. Z takimi rzeczami potrafię sobie radzić.

- Wolę twoją pomoc - powiedział. - Czuję się trochę jak ten potraczony owczarek niemiecki. - Uśmiechnął się, ale Franny była teraz wyłącznie rzeczową panią doktor.

- Połóż nogę na kanapie. Zaraz przyniosę okład z lodu i bandaży.

Kiedy wyszła, rozejrzył się po pokoju. Zobaczył zapadnięte kanapy, kraciaste, zielone narzuty, uderzająco podobne do końskich derek, i stolicek do kawy z lat pięćdziesiątych, kupiony zapewne na pchlim targu. Tylko stojąca w kącie piękna szafa przypominała cenny francuski antyk. Czyżby to Paul Marten przywiózł ją przed laty do Ameryki? W glinianych dzbankach widać były bukiety kwiatów, wszędzie były rozstawione pachnące świece. A jednak mimo nieładu, w domu panowała atmosfera ciepła

i wygody, co przywodziło Jake'owi na myśl jego własną chatkę. Spodobało mu się to wewnątrz; pasowało do Franny.

Wróciła po paru minutach, z miednicą pełną wody z lodem. Zanurzyła jego stopę w wodzie. Roześmiała się, kiedy wzdrygnął się i syknął.

- Sądziłam, że mam do czynienia z twardym facetem, który szkoli ochroniarzy - zakpiła i wyszła do kuchni, skąd po chwili słychać było nalewanie wody do imbryka i pobrzękiwanie talerzykami. Gdy wróciła, miała włosy związane czarną wstążką. Przyniosła tacę z dwoma parującymi kubkami herbaty, tabletkami i bandażem. - Wypij herbatę - poleciła. - Działa uspokajająco, poczujesz się lepiej. I połknij tabletki, złagodzią ból. - Znow uklekła przed nim, wyjęła spuchniętą nogę z lodowatej wody, ostrożnie osuszyła i zaczęła bandażować. Owijała kostkę tak ciasno, że aż się skrzywił. - No, zrobione - oznajmiła wreszcie tonem profesjonalisty. - Jeszcze okład z lodu i wszystko będzie dobrze.

- Dzięki - powiedział. Zastanawiał się, jak dojedzie do hotelu. A poza tym jutro powinien być w Nowym Jorku.

Franny przyniosła z lodówki dużą torebkę z mrożonym groszkiem i ułożyła mu ją na stopie. Zasunęła żaluzje, zapaliła świece i podpałkę w kominku. Kiedy płomień zaczęły lizać szczapy jabłoni, pokój wypełnił się wonią przypominającą Franny dzieciństwo w Oregonie. Z westchnieniem ulgi zrzuciła z nóg sandały.

- No, nareszcie. - Posłała mu promienny, pogodny uśmiech. - Teraz możemy odpocząć.

- Tak mi przykro - powiedział Jake. Usiłował nie wpatrywać się w jej spódniczkę, która podjechała do połowy ud, odsłaniając długie, smukłe nogi. - Trzymam cię do późnej nocy, a przecież jutro musisz iść do pracy.

Podeszła i usiadła obok Jake'a, ułożyła zabandażowaną nogę na swoich kolanach i mocno przycisnęła do niej torebkę z zamrożonym groszkiem. Jake nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek znalazł się w mniej romantycznej sytuacji, ale wszystko to tylko dodawało Franny uroku.

Popatrzyli sobie w oczy.

- I jak? - szepnęła.

- Dobrze - odpowiedział, również szeptem.

Nie wiadomo jak do tego doszło, że pochylili się ku sobie. Nie powiniem tego robić, pomyślał Jake, i przysunął się bliżej. Znienawidzi mnie, kiedy odkryje prawdę.

Nie powinnam tego robić, pomyślała Franny. Dopiero co go poznałam... Nic o nim nie wiem..

Jake usiłował ją objąć, ale nie zdołał, bo siedział w niewygodnej pozycji. Franny przesuwała się więc do niego i sama wzięła go w ramiona.

Poczuł, jak bije jej serce, i dziwnie zakręciło mu się w głowie. Wyznał jej to cicho.

- Masz zawroty głowy przez środki przeciwbólowe - wyjaśniła rzeczowo. - Jeśli chcesz, podrzucę cię do domu.

Nie. Wcale nie. Chcę zostać u ciebie, odpowiadał w duchu. Poza tym nie mógł pozwolić, by odwoziła go do hotelu. Twierdził przecież, że mieszka w Los Angeles, a nie był to odpowiedni moment, by tłumaczyć się z kłamstwa.

Franny przyglądała mu się z powątpiewaniem. Miał zamknięte oczy i było oczywiste, że nigdzie się nie ruszy. Obudziła go, wzięła pod rękę i powolutku poczłapali do sypialni. Położyła Jake'a na swoim łóżku. Zapadł się w poduszki i pojękując, natychmiast zasnął. Nie było rady - musiała go rozebrać. Rozpięła guziki koszuli i z wysiłkiem, po wielu manewrach zdołała ściągnąć rękawy. Nie wyobrażała sobie, że śpiący mężczyzna może być tak ciężki. Potem rozpięła kłamrę i wyciągnęła pasek. Zawahała się, zanim dotknęła zamka błyskawicznego - nigdy przedtem nie rozbierała mężczyzn, zawsze robili to sami. A jednak poszło łatwiej, niż myślała, a i Jake w niebieskich bokserkach wyglądał jeszcze atrakcyjniej - miał mocne ciało, gładką skórę... Szybko przykryła go starą patchworkową kołdrą.

- Jak w raj. - Mruknął. - Chyba jestem w raj, Franny.

Roześmiała się i pocałowała go w czoło.

Później, w saloniku, wsunęła do odtwarzacza płytę Diany Krall o utraczonej miłości i wyciągnęła się na kanapie. Popijała rumiankową herbatę, zdziwiona własnym szaleństwem. Wpuściła do swojego łóżka mężczyznę, o którym prawie nic nie wiedziała. Chyba zwariowała...

No i jeszcze go całowała. Przytulała się, po prostu kleiła się do niego, niczym napalona licealistka na balu maturalnym. Uśmiechnęła się na wspomnienie dotyku jego warg i leciutkiego dreszczu, który przeniknął ciało Jake'a. Może niepotrzebnie dała mu środki przeciwbólowe, bo z przyjemnością przedłużyłaby pocałunki.

Ogień na kominku przygasł, żarzyło się tylko wypalone drewno. Poczowała, że jest bardzo zmęczona. Zdjęła spódniczkę i bluzkę, zgasiła lampę, naciągnęła na siebie podobny do końskiej derki koc w zieloną kratę, wtuliła się w poduszkę i zamknęła oczy. Może jednak da się przeżyć bez Marcusa.

Rozdział 9

Obudziła się jak zawsze o szóstej. Usiadła i odgarnęła do tyłu włosy, nasłuchując odgłosów z sypialni. Nic. Cisza. Podeszła na palcach do drzwi. Chciała się upewnić, że to nie był sen. Jake spał na wznak i nawet nie chrapał, tak jak Marcus. Wyglądał fantastycznie. Miała ochotę natychmiast znaleźć się obok niego. Ostatecznie uznała skręcenie nogi za szczęśliwy zbieg okoliczności. Gdyby nie to, pewnie narobiłaby głupstw.

Odszukała dzinsy i bawełnianą koszulkę, ubrała się szybko, wsiadła do auta i pojechała do kliniki. Owczarek już siedział; przyglądał się jej uważnie. Poczochrała futro na potężnym karku i pochwaliła: „dobry pies”. Podziękowała Bogu, że wysłuchał jej próśb. Potem jeszcze raz obejrzała rany, zrobiła zastrzyk z antybiotykiem, podała świeżą wodę i odrobinę jedzenia. Pies w podzięcie powachlował ogonem. - Niedługo wrócę - szepnęła i poklepała go na pożegnanie. Wsiadła do samochodu i pojechała do Starbucksa.

Zamówiła dla siebie dużą kawę bez kofeiny, z odtłuszczonym mlekiem, podwójne espresso dla Jake'a, bo pomyślała, że pewnie lubi mocną. Po drodze kupiła jeszcze pudełko pączków, z samym lukrem. Kiedy dotarła do domu, Jake wciąż spał.

Oczy miał zamknięte, ale dotarła do niego woń kawy i imbirowych świec. Z początku nie miał pojęcia, gdzie jest, ale już po chwili przypomniał sobie, że leży w łóżku Franny Marten, niestety, samotnie. Ostrożnie ruszył stopą - nie bolała. Kim właściwie jest ta kobieta - weterynaryjnym geniuszem?

Otworzył oczy. Stała przed nim, z kawą od Starbucksa w rękę. Wyglądała jak blond anioł z Oregonu. Przez moment poczuł zakłopotanie na myśl o tym, że obserwowała go, gdy spał. Zwykle nie dopuszczał do takich sytuacji. W uroczych jasnych oczach widział jednak uśmiech. Franny związała włosy w koński ogon, nie zrobiła jeszcze makijażu i była bosa. Co za wspaniały początek dnia, pomyślał. Ogarnęło go uczucie, które -jeśli dobrze pamiętał - nazywano szczęściem.

- Cześć. - Uśmiechała się słodko i czarująco, nie zdając sobie sprawy, jak to na niego działa. - Może kawy? - Zachęcająco wyciągnęła ku niemu tekturowe kubki.

Dźwignął się, oparł o poduszkę i patrzył, jak Franny siada na brzegu łóżka i podaje mu kawę.

- Jak się spało? - spytała.

- Dziękuję, świetnie. A tobie? - Ze skrucną stuknął się dłonią w czoło.
- Boże, zająłem ci łóżko.
- Doskonale się wyspałam na kanapie. Nie pierwszy raz. - Przełknęła łyk kawy. Przyniosłam ci podwójne espresso. Pomyślałam, że wolisz mocną.

Kawa była tak mocna, że Jake omal się nie zakrztusił, ale uśmiechnął się i powiedział, że pyszna.

- Co z kostką?

Prawie zapomniał, że to właśnie było wytłumaczeniem - zresztą jedynym - jak trafił do jej łóżka. Pokręcił stopą pod kołdrą.

- Zupełnie dobrze - przyznał, choć miałby ochotę powołać się na ból, który kazałby mu spędzić jeszcze jedną noc w tym samym miejscu. Niestety, musiał wracać do Nowego Jorku.

- Dasz radę chodzić?
- Spróbuję.

Spojrzał na swoje spodnie starannie złożone na oparciu krzesła i zawieszoną na nich koszulę. Sprawdził - wciąż miał na sobie bokserki.

- Zająłeś się mną.
- Na tym polega moja praca. - Opiekuję się rannymi i kontuzjowanymi.
- Trudno nazwać mnie rannym.
- No to kontuzjowanym. Och, prawie bym zapomniała. - Wstała gwałtownie i natychmiast potknęła się o jego buty, które sama zostawiła na środku podłogi; omal nie wylała całej kawy. Siegnęła po pudełko z pączkami. - Z lukrem. - Spojrzała na niego pytająco. - Chyba że wolałbyś czekoladę.

- Nie, dziękuję. - Wziął pączek i niemal połknął go w całości.

Przycupnęła na brzegu łóżka i jadła ciastko małymi kęsami.

- Na ogół nie mam ochoty na śniadanie, bo za wcześnie wstaję. Ale może to i dobrze.

Znów go poczęstowała. Nie miał ochoty się podnosić, w ogóle nie chciał się stąd nigdzie ruszać. Pragnął tylko leżeć i jeszcze długo jeść pączki razem z Franny.

- Chyba powinienem wstać - mruknął z ociąganiem.

Pochyliła się nad nim zaniepokojona.

- Pomogę ci, poczekaj.

Straszliwie go kusiło, by symulować nieznosny ból, gdy stawiał nogę na podłodze, ale zdołał się oprzeć.

- W porządku, poradzę sobie.

Objęła go ramieniem, podtrzymując na wszelki wypadek. Wtedy odwrócił się i spojrzał jej w twarz. Patrzyli na siebie z bliska, w całkowitej

ciszy. Przytuliła się do niego, a Jake ujął dłonią jej brodę, zatonał wzrokiem w oczach. Byli coraz bliżej, aż Jake poczuł słodką woń pączków tuż koło swoich warg. I nagle całował miękkie, delikatne usta. Przyciągnął Franny do siebie mocniej, chciał mieć ją przy sobie całą, czuł, jak oddaje mu pocałunki. Upadli na łóżko, spleceni, niezdolni oderwać od siebie złączonych ust.

- Słodka - wymamrotał w przerwie między jednym a drugim pocałunkiem. - Jesteś cudowna, Franny. - Jej imię nagle przypomniało mu, po co tu przyjechał, i przywołało do rzeczywistości. Odsunął się na chwilę. Spojrzała na niego zdziwionymi błękitnymi oczyma, pytając bez słów, czy coś jest nie tak. - Ależ nie - mruknął, wiedząc, że się jej nie oprze. - Wszystko w porządku, Franny. - Delikatnie przyciągnął ją do siebie, gładził włosy, które jak gęste jedwabne nitki rozsypały się na jego piersi.

Franny zsunęła się niżej, lekko przesuwając po jego ciele dłońmi, których dotyk niemal go parzył. Całował smukłe palce, przesunął wargi na miękkie i gorące miejsca pod jej pachami, gładził piersi, biorąc w usta sprężyste, twardniejące sutki. Błądził po całym ciele Franny, póki nie odnalazł miękkiego wzgórką i najbardziej intymnych miejsc. Wtulił się w nią całą, doprowadzony do szaleństwa zmysłowym zapachem i słodkim oddechem. Przerwał i odsunął się na moment. Franny powiodła za nim wzrokiem, kiedy sięgnął po marynarkę i wyjął z portfela prezerwatywę. Uśmiechnęła się patrząc, jak ją zakłada.

- Och, jaki duży chłopiec! - powiedziała.

Wybuchnęli śmiechem. Jake wrócił do łóżka i wziął w ramiona jej smukłe, gładkie ciało. Brał ją powoli i bardzo długo.

A potem przytulał mocno, wciąż nie chciał się z nią rozłączyć. Była czarująca, gdy obsypywała go niezliczonymi, gorącymi pocałunkami.

- Cudownie - mruzczał, czując, jak przenika go dreszcz szczęścia. - Jesteś wspaniała, moja piękna pani doktor!

- O Boże! - Nagle odsunęła go, usiadła i półprzytomna popatrzyła szeroko otwartymi oczyma. - Spóźnię się do pracy!

- A czy to takie ważne? - zapytał beztrósko. Myślał tylko o tym, by kochać się z nią dalej i wciąż od nowa.

- Ważne? - Spojrzała na niego jak na wariata. - Przecież to jest całe moje życie. - Wyskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki, ale zawróciła w pół drogi. - Bardzo cię przepraszam, ale naprawdę muszę wyjść. - Znowu obdarzyła go milionem pocałunków.

- Wiem, po prostu taka jesteś, Franny - szepnął. - Rozumiem.

Uśmiechnęła się z ufnością.

- Idź pod prysznic, masz pierwszeństwo - zdecydowała. Wyciągnęła go z łóżka i poprowadziła do łazienki. Wciąż, niestety, utykał.

Z radosnym uśmiechem wkroczyła do kuchni i zaczęła robić porządki, jeśli można tak nazwać wstawienie brudnych naczyń do zlewozmywaka i zdrapanie stearyny ze stołów. Było już wpół do ósmej, a nie zdążyła nawet jeszcze wejść pod prysznic. Pierwszy raz w życiu spóźni się do pracy.

Po paru minutach Jake, już ubrany, wyszedł z sypialni. Włosy miał jeszcze wilgotne, przegarniał je palcami i na zmianę tarł dłonią szorstki, ciemny zarost na brodzie. Patrzył na Franny. Poczowała się niepewnie, nie wiedziała, jak się zachować. Przecież mu nie powie: dzięki za tę noc, miło że mogłam coś dla ciebie zrobić. Albo: to był fantastyczny seks. A może: do zobaczenia wkrótce?

Wybawił ją z kłopotu. Położył dłonie na jej ramionach, nachylił ku niej twarz i szepnął:

- Dziękuję, Franny. Za wszystko. To było cudowne.

Przez sekundę ich wargi spotkały się w delikatnym pocałunku, a potem zostawił ją i lekko utykając, poszedł ku drzwiom.

Usłyszała skrzypnięcie deski w progu. Jake zaklął i Franny mimo woli się roześmiała. Spotkają się wkrótce, była tego pewna. Nie zapowiedziała, że zadzwoni - i ten szczegół zarejestrowała od razu.

Popędziła pod prysznic, narzuciła coś na siebie i pełnym gazem pojechała do kliniki. Pochłonięta pracą, którą tak bardzo kochała, na jakiś czas zupełnie zapomniała o Jake'u.

Po południu przyniesiono jej olbrzymi bukiet lilii. Pachniał jak tropikalna wyspa latem. Na dołączonej karteczce były dwa zdania: *Nigdzie nie znalazłem twoich ulubionych imbirowych kwiatów, może więc te ci się spodobają. Raz jeszcze dziękuję - Jake.*

Marcus zapadł się w nicość. Franny była w euforii i uśmiechała się na samo wspomnienie ostatniej nocy. Przeżyła niezwykle chwile, a przecież gdyby nie skręcona kostka, pewnie by do niczego nie doszło. Franny miała absolutną pewność, że Jake zadzwoni później.

A jednak nie zadzwonił, nawet wtedy, kiedy kładła się spać. Nie zmieniła pościeli, bo jak stuknięta nastolatka chciała mieć pod głową tę samą poduszkę, na której niedawno leżał. Teraz ukryła w niej twarz, szukając jego zapachu i marząc. Czekwała na telefon nazajutrz, ale nie zadzwonił. Ani pojutrze, ani następnego dnia. Franny miała ogromną ochotę sama wykryć jego numer, choć wiedziała, że nie powinna. Ale kiedy poprosiła Lindsey o jego telefon, usłyszała, że Jake nie zostawił ani adresu, ani numeru, bo chciał tylko sprawdzić, czy Franny będzie właściwym weterynarzem dla jego psa.

- Zbira - powiedziała Franny i zagryzła wargi.
- O rany, cóż to za imię dla psa! - przeraziła się Lindsey.

Ale Franny niczego już nie słyszała. Zrozpaczona odwróciła się i odeszła. Znowu znalazła się w dołku. Okazała się po prostu jeszcze jedną głupią kobietą, która nie wie, jak się postępuje z mężczyznami. Zawsze za bardzo się starała i proszę, ma za swoje. Znowu. Żałowała, że nie ma przy niej Clare, ale ta była daleko, w Atlancie, pakowała swoje rzeczy. Franny postanowiła, że nie powie jej o Jake'u, bo nie chciała przyznać, że znowu się wygłupiła, i to zaraz po tej żalostnej historii z Marcusem.

Lecąc do Nowego Jorku, Jake cały czas myślał o Franny. Zdawał sobie sprawę, że jego milczenie jest dla niej bolesne po tym, co dla niego zrobiła i co między nimi zaszło. Ale mógł tylko wysłać jej kwiaty, no i niech to cholera weźmie, już za nią tęsknił. Tak chciałby wyznać całą prawdę, a musiał czekać i wierzyć, że zdoła wszystko odkręcić, kiedy ponownie spotkają się w *chdteau*.

Rozdział 10

Rafaella szła ścieżką pod kasztanami. Psy hasały gdzieś z przodu, a ona wspomiwała, jak wyglądały dawniej takie letnie, upalne dni jak dzisiejszy. W domu kwitło życie towarzyskie - przyjęcia, wizyty przyjaciół, z którymi wyjeżdżała konno na pikniki do winnicy albo wybierała się na długie lunche w Café des Colombes. Zajmowali wtedy wszystkie stoliki na tarasie i natychmiast powstawał radosny harmider. Opowiadali sobie plotki, prześcigali się w dowcipach, śmieli się i popijali pernod.

Jak daleko sięgała pamięć, zawsze było dużo śmiechu, dobrego jedzenia, wina i oczywiście eleganckich kreacji, bo Rafaella wcześniej stała się niewolnicą mody. Kiedy miała trzy lata, znana z kiepskiej reputacji ciocia Marguerite (mama Rafaelli zawsze mówiła o swojej siostrze „nic dobrego”) przywiozła jej z Paryża piękny, zimowy strój - czerwony, aksamitny płaszcz z dopasowanym do niego malutkim kapelusikiem, okolonym białym futerkiem gronostaja. Rafaella po raz pierwszy podziwiała wówczas własne odbicie w lustrach holu - wydała się samej sobie elegancka, zachwycająca i bardzo kobieca. Mama powiedziała oczywiście, że Rafaella wygląda jak mały, tandetny Święty Mikołaj, ale innego komentarza nie można było się spodziewać. Marite Marten w odróżnieniu

od jej siostry nikt z pewnością nie nazwałby wolnym ptakiem, a poza tym Marite w gruncie rzeczy nie lubiła swojej córki.

Kiedy Rafaella stała się nastolatką, wysoką i nieco zbyt wiotką, z łabędzią szyją, która wyglądała tak delikatnie i krucho, jakby w każdej chwili mogła się złamać pod ciężarem wysoko upiętych, długich czarnych włosów, zaczęła swój romans z modą. Kupowała suknie u Diora, Yves Saint Laurenta, Givenchy'ego i Valentina. Większość z nich trzymała zresztą do dziś na strzykach, specjalnie wyłożonych cedrowym drzewem - głównie dlatego, że je uwielbiała i nie potrafiła się z nimi rozstać.

W Rafaelli kochali się wszyscy, bez wyjątku. Z uwielbieniem patrzyli jej w oczy, co ją śmieszyło, była jednak miło podniecona i odrobinę przestraszona zainteresowaniem, jakie wzbudzała. Mówili jej, że jest piękna. Wiedzieli, że to nieprawda, ale była zachwycona. Nauczyła się flirtować. Lubiła samą siebie, młodość, życie.

Później poślubiła Henriego de Roquebrune'a, który przyjął jej nazwisko ze względu na klauzulę dziedziczenia w rodzie Martenów. Ród Martenów trwał nieprzerwanie od czasu pierwszego znanego przodka, bogatego siedemnastowiecznego obywatela Bordeaux, który wykupił biskupstwo i spory kawał ziemi. W tamtych czasach bogaci ludzie często uzyskiwali za pieniądze wstęp do stanu duchownego i kupowali sobie całe wsie, a nawet miasta. To wtedy właśnie rozpoczęła się budowa *chateau* i powstała wytwórnia win *Domaine Marten*.

Rafaella w gruncie rzeczy nie umiała powiedzieć, czy rzeczywiście kochała Henriego, czy raczej uległa urokowi tego sporo od niej starszego mężczyzny. Wydawał jej się inny, dużo dojrzalszy od reszty znajomych.

Henri zapraszał Rafaellę do eleganckich restauracji, zabiegał o nią i uwodził. Zabrał ukochaną - a także jej przyjaciół w roli przyzwoitek, zresztą całkiem nieprzydatnych - na letnią wycieczkę jachtem po wyspach Morza Egejskiego, gdzie pozbawił ją dziewictwa na białej plaży z ostrymi kamykami wbijającymi się w plecy, przy plusku fal mieszającym się z przenikliwym graniem świerszczy. Odtąd cykanie świerszczy zawsze kojarzyło się Rafaelli z seksem.

Skutkiem tamtej nocy były narodziny Feliksa, choć z perspektywy czasu należałoby stwierdzić, że Henri powinien zachować większą ostrożność. W końcu narzeczona miała dopiero dziewiętnaście lat i była bardzo naiwna, wbrew wszelkim pozorom, które starała się stwarzać. W efekcie pomaszerowała środkiem głównej nawy wiejskiego kościoła w Saint Marten wystrojona w lśniącą suknię z białego atłasu, z długim, ciężkim trenem, który głośno szeleścił, kiedy schodziła po schodach, zasłaniając brzuch ogromnym bukietem białych lilii.

Chciało jej się teraz śmiać na samą myśl, jakim była głuptasem. Henri okazał się oziębłym nudziarzem, z czego wcześniej w ogóle nie zdawała sobie sprawy. Oszałamiały ją względy okazywane przez starszego pana, widok zginających się przed nim w pas kelnerów, pozdrawiających go uniesieniem portierów, zażyłość z wytwornymi sferami i paryskim towarzystwem, w które ją wprowadził niemal prosto ze szkolnej klasy. Przypominała młodą klacz, niecierpliwie rwącą się do biegu.

Rzecz jasna Henri nie oddał nazwiska Marten, kiedy go porzuciła, później jednak to on odszedł i został pochowany obok jej rodziców i wielu innych Martenów na pełnym kwiatów cmentarzyku tuż za wsią.

Kiedy uświadomiła sobie, że w ogóle go nie kochała, a i on najwyraźniej ożenił się z nią tylko dla pieniędzy, postanowiła prowadzić własne życie i zapełniła *chateau* swoimi przyjaciółmi. Była ozdobą kawiarnianego towarzystwa w Paryżu i na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie Martenowie mieli *wilłą pieds dans l'eau* nad samym morzem. Z sypialni wychodziło się na bosaka wprost na wygrzane letnim słońcem płytki tarasu, a stamtąd po schodkach i przez ogród do chłodnej, błękitnej wody, której dotyk przypominał cieniutki, chłodny jedwab.

Flirtowała, miała kilka romansów, przelotnych i niewiele znaczących - póki nie poznała Lucasa Bronsona. Na to już nie było rady - nic nie mogło uchronić jej przed uwikłaniem w ten mroczny i burzliwy związek.

Myślała o urokach tamtego życia, o szczęściu minionych lat. Czy żałowała? Ani trochę, zwłaszcza swojego związku z Lucasem. Może tylko martwiła ją teraz beztroska, z jaką traktowała czas, te wszystkie zmarnowane godziny i roztrwonione dni, długie, leniwe tygodnie, które złożyły się na bezpowrotnie stracone lata. W stosunku do czasu okazała się nie-mądrą kobietą, a teraz czas ją dogonił.

A sednem wszystkiego był zawsze *chateau*.

Rozdział 11

Chateau był domem i miejscem, które Rafaella bardzo kochała, jednak jej prawdziwą namiętnością stała się wytwórnia wina. W wieku dwudziestu pięciu lat znała się na winiarstwie tak samo, jak najlepsi fachowcy w tej branży - a przecież w tamtych czasach niewiele kobiet zajmowało się produkcją i sprzedażą win.

W wytwórni pracowała w takim samym stroju, jaki nosili wszyscy robotnicy. Musiała podwijać rękawy i nogawki wielkiego męskiego jaskrawoniebieskiego kombinezonu i związywać go w pasie sznurkiem. Włosy przykrywała czerwoną chustką. Piękne dłonie miała stale poplamione purpurowym moszczem, a w głowie kręciło się jej od oparów winogron fermentujących w wielkich kadziach.

Wczesną wiosną w chłodne i ciemne poranki chodziła z ojcem wzdłuż rzędów winnych krzewów. Każdy haust zimnego i czystego powietrza upajał wtedy jak wino. W świetle księżyca lśniły smużki szronu. Ojciec tłumaczył jej, że w ciągu paru godzin przymrozek może zniszczyć całe zbiory, pomagała mu więc chronić młodziutkie grona, żeby nie przemarzły.

To właśnie Rafaella sadziła na końcu każdego rzędu winorośli krzaki białych dzikich róż, od których *chateau* wzięł nazwę. Róże odgrywały ważną rolę, pierwsze padały ofiarą zarazy, sygnalizując Martenom, że trzeba ratować winorośl. Ślęczała także z ojcem po nocach nad stosami zamówień i rachunków. Uczył ją, jak się prowadzi interesy z producentami butelek, i zabierał ze sobą do Portugalii w poszukiwaniu nowych źródeł zaopatrzenia w drewno korkowe.

Mówiono, że Rafaella wie o winach wszystko. Cieszyła się, że nie nabrała niechęci do picia, bo ucząc się zawodu, przeszła długą i ciężką drogę. Była jedyną spadkobierczynią majątku Martenów, kiedy więc umarł ojciec, cała odpowiedzialność za przedsiębiorstwo i pracowników, mieszkańców wsi, których znała od dziecka, spadła na jej barki.

Powierzchownym obserwatorom mogła się wydawać beztroška, a nawet lekkomyślna, lecz kierowała firmą z wyobraźnią i dużym znanstwem. Zdobyła nowe rynki zbytu w Azji i Stanach Zjednoczonych, gdzie przyjmowano z uznaniem jej „łagodne i zmysłowe czerwone wino o bukacie z lekkim odcieniem aromatu kwiatów i aksamitnej mocy, które razem tworzą niepowtarzalną całość niczym zapach górskich sosen w zimowy dzień”. Tak właśnie po rynkowej promocji oceniono je w „New York Times”. Rafaella uśmiechnęła się z satysfakcją. Niezłe, pomyślała, jak na Côte du Rhône, wino wprawdzie pierwszorzędne, ale przecież niedorównujące eleganckiemu Bordeaux.

Rafaella troszczyła się też o swoich robotników. Była z nimi w trudnych chwilach i podczas lokalnych uroczystości. Jako dziewczynka chodziła do szkoły z wiejskimi dziećmi, które mówiły do niej po imieniu. Znała każdą rodzinę i zawsze wiedziała, kto choruje, kto wyjeżdża do pracy w mieście i kto już wrócił z miasta wstydliwie, z podwiniętym ogonem, bo nie oparł się tęsknocie za domem.

W gruncie rzeczy to właśnie miłość do *chateau* stanęła pomiędzy nią i mężczyzną, o którym wszyscy mówili tutaj „kochanek”. Lucas Bronson był aroganckim, przystojnym obieżyświatem, mistrzem gry w polo, człowiekiem wędrującym po wszystkich kontynentach, niespokojnym duchem wiecznie w pogoni za kolejną wielką przygodą. Wybierając się z jednego meczu polo na drugi, zmieniał miejsca pobytu z taką samą łatwością, z jaką Rafaella urządzała kolejne pikniki. Oczywiście, nie jeździła z nim po świecie, bo miała tutaj swoje obowiązki i dom, którym musiała się zajmować. Nawet miłość nie mogła zatrzymać Lucasa Bronsona. Później, kiedy Rafaella już się z nim rozstała, wciąż wierzyła - musiała wierzyć, bo inaczej nie zniosłaby rozłąki - że Lucas naprawdę ją kochał.

Przed dziesięciu laty oficjalnie „odeszła na emeryturę”. Wytwórnia wina zajął się Scott Harris, choć Rafaella nie umiała powstrzymać się przed wtykaniem nosa we wszystko, raz po raz ingerując w produkcję wina.

Scott był Australijczykiem. Wychował się w Barossa Valley i także niemal od dzieciństwa uczył się winiarstwa. Rafaella niecierpliwie oczekiwała na wspólny, cotygodniowy „business lunch” w Cafe des Colombes. Prawdę mówiąc, lunch ze Scottem był dla niej kulminacją tygodnia - przynajmniej do czasu, gdy bez reszty pochłoniął ją pomysł organizacji rodzinnego spotkania. Teraz bowiem myślała i marzyła tylko o jednym: że w Chateau des Roses Sauvages znów pojawi się rodzina. I wrócą do domu jej synowie.

Rozdział 12

Kiedy Juliette Labourde wróciła do domu z niezwykle udanych zakupów zakończonych lunchem, znalazła w skrzynce na listy kopertę z zaproszeniem.

Juliette mieszkała samotnie na Manhattanie, w wielkim kolorowym apartamencie, pełnym starych rodzinnych bibelotów i jasnowłosych szpiców. Była dobrze zbudowaną, energiczną kobietą, rówieśniczką Rafaelli; czas nie okazał się jednak dla niej równie łaskawy, jak dla przyjaciółki, i trzeba przyznać, że także urodą nie dorównywała właścicielce *chateau*. A jednak cieszyła się ogromnym powodzeniem. Wyróżniała ją iskra radości życia, którą zachowała do dziś. Juliette miała płomiennie czerwone włosy, ciemnobłękitne oczy i różowe, błyszczące usta. W obszernym, kwiecistym wdzianku, maskującym tuszę, wyglądała jak babcia z piekła rodem,

w drodze na wakacje na Hawajach, ale jej uśmiech i ciepło natychmiast zmieniały to pierwsze wrażenie i już po minucie człowiek miał ochotę po prostu przy niej być.

Kiedy Juliette zobaczyła kwadratową kremową kopertę z francuskimi znaczkami i pismem Rafaelli, aż pisnęła z radości; wypuściła z rąk torby i od razu rozdarła papier. Z przechyloną głową i ręką kurczowo przyciśniętą do gardła, przebiegła wzrokiem list.

Ma chere amie,

minęło wiele lat, od czasu gdy widziałyśmy się ostatni raz, wielu ludzi zniknęło gdzieś w przeszłości, wiele wody upłynęło pod różnymi mostami. Byłyśmy kiedyś sobie bardzo bliskie, ale straciłyśmy kontakt. Ja wycofałam się do samotni w chateau, a ty fruwałaś po świecie ze swoim ukochanym mężem oficerem, niech mu ziemia lekka będzie. Chyba nie było na świecie porządniejszego człowieka (piszę oczywiście o Rufusie, a nie o mężu numer jeden, którego nazwisko, tak jak i mojego, lepiej zapamiętać!).

Zyłaś w wielu różnych miejscach, ja zostałam tutaj. Zajmowałam się, zresztą z powodzeniem, wytwórnią wina. Jak pamiętasz, zawsze była to moja pasja (choć nie wyłącznie, bo nie zapominam, rzecz jasna, o Kochanku). Troski topiłam w wieczornym kieliszku szampana w towarzystwie Haigha. (Zapewne ucieszy Cię wiadomość, że wciąż jest obecny w moim życiu, wciąż wtrąca się w moje sprawy i wciąż pozostaje przyjacielem - pewnie jedynym, chyba że nadal mogę liczyć na Ciebie.). Byłabym zapomniała - mam jeszcze dwu innych. Pamiętasz Jake 'a, syna Kochanka? W szczęśliwszych czasach gościłam go przez rok w chateau. Wciąż kocham tego chłopaka - nawet bardziej od obu moich synów, którzy wyjechali stąd przed laty. Oczywiście pamiętasz tę historię - jak mogłabyś zapomnieć? Na Feliksa padł cień podejrzenia o zabójstwo, a Alain został przyłapany na malwersacjach w naszej firmie, co omal nie spowodowało bankructwa. No i od czasu gdy Felix się wyprowadził, a Alain został wyrzucony, od żadnego z nich nie miałam już nigdy wiadomości. Nieraz zastanawiam się, Juliette, czy należało ich inaczej wychowywać? Może byłam zbyt wyrozumiała? Za bardzo ich kochałam? Albo popełniłam błąd, że im nie uwierzyłam - choć tak bardzo chciałam uwierzyć - kiedy mnie zapewniali o swojej niewinności? Być może nigdy nie poznam odpowiedzi na te pytania. A może jednak dowiem się prawdy, bo zaprosiłam ich na rodzinne spotkanie, w nadziei że zapomnimy o przeszłości, abyśmy mogli się pojednać i zacząć wszystko od nowa.

Zastanawiasz się pewnie, kogo jeszcze zaprosiłam na to wielkie spotkanie? Niestety, niewielu nas zostało. Będzie z nami młoda Amerykan-

ka, wnuczka Paula, brata mojego ojca, który w wyniku rodzinnego konfliktu wyjechał do Ameryki. Poszło o to, kto poślubi Maritó - dostała ją w końcu mój ojciec, a ja przyszłam na świat jako ich córka. Ale tak naprawdę chodziło o to, kto przejmie wytwórnię win. Znow zwyciężył mój ojciec, a Paul już nigdy nie wrócił. Ożenił się i miał syna, a ten z kolei córkę, która nazywa się Franny Marten. Poza tym będzie oczywiście Jake, ponieważ kocham go jak syna. No i ty, kochana Juliette, bo po tylu latach wciąż jesteś mi droga.

Możesz mnie uważać za sentymentalną, starą kobietę (trudno mi to przychodzi, a jednak muszę przyznać, że się starzejemy), ale chciałabym się pogodzić z rodziną i raz jeszcze spotkać się z przyjaciółmi.

Nie zawieź mnie - kończyła w swoim dawnym, władcym stylu, co rozbawiło Juliette. Na końcu był zamazany podpis: *Całuję, Rafaella*.

Juliette zanurzyła się w miękkich poduszkach kanapy obitej żółtym adamaszkiem i poprawiła na swoim bujnym ciele kwieciste wdżianko, pobrząkując przy tym złotymi bransoletami. Włochate szpice próbowały wspiąć się do niej i za wszelką cenę starały się zwrócić na siebie uwagę, drapiąc drobnymi łapkami.

- Uspokójcie się wreszcie, głupty - opędzała się od nich z czułością. Usiadły z obrażonymi minami u jej nóg. - No i proszę, kto by pomyślał, że jeszcze się do mnie odezwiesz, Rafaello - powiedziała na głos. - Nagle wróciłaś pomiędzy żywych!

Oparła się wygodnie o poduszki, zamknęła oczy i uśmiechnęła się na myśl o wspólnym życiu w dawnych, dobrych czasach. Zaprzyjaźniły się jeszcze jako dziewczyny, i gdyby nie Rafaella, która namówiła ją na lunch w La Coupole w Paryżu, Juliette w ogóle nie poznałaby mężczyzny, który w końcu został jej mężem.

Było to dawno temu, gdy obie były młode, piękne, roześmiane i kipiące radością życia. Rafaella wpadła na parę dni do Paryża i zatrzymała się u Juliette w jej apartamencie w starej rezydencji przy Saint Germain.

U Juliette zawsze było pełno przyjaciół, którzy zaglądali tu po drodze, posłańców z bukietami kwiatów i zjawiających się zniemacka wielbicieli. Za ramą wielkiego, siedemnastowiecznego lustra wiszącego nad kominem z czarnego marmuru gromadziły się wtykane niedbale zaproszenia na cocktaile, bale kostiumowe i inne ważne wydarzenia towarzyskie. Swego ówczesnego męża Juliette upchnęła w maleńkim buduarze, gdzie też mieszkała jego kochanka. Dwójka dzieci Juliette, daremnie ściganych przez nianie, bezustannie wpadała i wypadała z domu, wykradała czekoladki z owiniętych wstążeczkami bombonierek i rozrzucała je po jedwabnych kanapach. Pozostawały po nich podejrzane brązowe plamy; widok

zawsze rozśmieszał Juliette. Szpice wcześniejszych generacji brykały po domu, szczekając bez przerwy i łąpiąc gości za pięty.

Rafaella nigdy nie umiała pojąć cudownego daru Juliette, która potrafiła reagować na wszystko śmiechem - na poplamioną kanapę, nieudaną fryzurę czy brzydką suknię. Juliette nie miała też gustu i zawsze wybierała nieodpowiedni kolor albo niewłaściwą tkaninę, podkreślając jej nadmierną tuszę. Ale choć niemodnie ubrana, siała w Paryżu istne spustoszenie, zostawiając za sobą mnóstwo złamanych serc. Tak było do chwili, gdy spotkała majora Rufusa Thomasa i oddała mu własne serce, tak samo jak Rafaella Kochankowi.

Poszły w porze lunchu do La Coupole. Był marzec, za wiele już lat minęło, by doliczyć się którego roku, słońce ledwie przedzierało się przez chmury, a porywisty wiatr szarpał spódnicami. Trzęsąc się z zimna, przebiegły przez wielkie obrotowe drzwi, ze śmiechem przygładziły zmierzwione fryzury i otuliły szyje puszystymi kołnierzymi z lisa. Usadowiły się przy barze i zamówiły szampana. Rufus siedział o dwa stołki dalej, w eleganckim mundurze brytyjskiego majora. Brązowy skórzany pas błyszczał równie mocno, jak jego oczy.

- Zupełnie jak lśniące *marrons* - powiedziała Juliette jak zawsze głośnym szeptem.

Oczy Rufusa rzeczywiście przypominały kolor kasztanów. Można było w nich wyczytać nadzieję i tęsknotę. Juliette wydała się początkowo, że zainteresował się właśnie Rafaellą, która wyglądała prześlicznie - miała rozrzucone przez wiatr loczki i błękitne, śmiejące się oczy. Nie spuszczała z nich wzroku, gdy łykały kolejne ostrygi, odrzucając do tyłu głowy i z westchnieniem delektując się smakiem.

Rufus, Brytyjczyk w każdym calu, był jednak nieśmiały i nie odważył się odezwać.

- W tej sytuacji muszę przejąć inicjatywę - szepnęła Juliette. Posłała majorowi szeroki uśmiech. - Witamy w Paryżu - rzuciła w jego stronę.

Rufus przesunął się o dwa miejsca bliżej, przedstawił się i powiedział:
- Nareszcie czuję się jak w domu.

Od tej pory Juliette nie widziała już nikogo poza majorem Rufusem Thomasem, więc Rafaella przełknęła dwunastą ostrygę, opróżniła kieliszek i samotnie wyruszyła na zakupy. Warto jednak odnotować, że Juliette zapamiętała, co kupiła tego dnia jej przyjaciółka - była to efektowna suknia z czerwonego szyfonu od Diora, z drugiej kolekcji St. Laurenta.

Juliette dotarła do domu dopiero wieczorem, a jej nieprzytomne spojrzenie zapowiadało kłopoty. Rafaella domyśliła się, że ów kłopot już się

zdarzył, co Juliette zresztą przyznała teatralnym szeptem w sypialni, kiedy przebierały się na wieczorne przyjęcie.

- Nie uwierzysz, jakie on ma ciało - szeptała, gdy już zamknęła szczelnie drzwi, by odizolować się od intruzów. - Grecki posąg, twardy jak marmur, ale bardziej męski. - Zachichotała, a na widok jej rozmarzonego wzroku Rafaella także się roześmiała. - I kto by pomyślał, że Brytyjczycy są tacy seksowni? - dodała. - Ciągłe się mówi, że są zimni i skrzywienie emocjonalnie już w dzieciństwie przez sadystyczne nianie i szkoły z homoseksualistami w internatach. Ale to nie dotyczy Rufusa. Jest ciepłutki jak bułeczka prosto z pieca i uroczy niczym szczeniak, który chce mnie wciąć lizać i całować.

Zabrała Rufusa przy najbliższej okazji do *chdteau*. Zajęli oboje duży pokój we wschodniej wieży, z którego niemal nie wychodzili, chyba że bardzo już zgłodnieli albo gdy Rafaella posyłała im na górę Haigha ze skargą, że tęskni za ich towarzystwem.

Juliette uśmiechnęła się, wspominając, jak byli rozpaleni, jak czytali w swoich oczach tajne erotyczne komunikaty i jak nie potrafili utrzymać rąk przy sobie. Powietrze wokół nich iskrzyło miłością i seksem.

Ale pewnego dnia wkroczył do akcji mąż i walnął pięścią w stół. Zaczęła się długa przepychanka - on udawał jej zdradę, ona przypierała go do muru, wypominając wieloletnią kochankę. W ostatniej chwili Rafaella zdołała powstrzymać Juliette przed roztrzaskaniem mężowskiej czaszki butelką wina.

- Ależ to dobry rocznik, *cherie* - zaprotestowała. - Jeśli koniecznie chcesz go walnąć, weź przynajmniej butelkę zwykłego stołowego. - Potem kazała Rufusowi wyjść z pokoju i posadziła Juliette z mężem twarzą w twarz. Oboje byli katolikami, więc rozwód nie wchodził w grę, udało jej się jednak wynegocjować niemal przyjazną separację wraz z rozsądnym porozumieniem finansowym.

Juliette z dziećmi zamieszkała u Rafaelli. Rufus był zawodowym żołnierzem, tak samo jak jego ojciec i dziadek, ale stale bywał w *chdteau*, gdy tylko mógł wyrwać się z jednostki. I tak z dawno porzuconym mężem Rafaelli, który na stałe mieszkał w Paryżu, tworzyli razem w *chdteau* wielką, szczęśliwą rodzinę; wydawali przyjęcia dla dzieci i dorosłych, a długie, leniwe letnie dni spędzali z tłumami rozbawionych przyjaciół w nadmorskiej willi w Cap d'Antibes.

Później, po śmierci męża, Juliette mogła wreszcie poślubić Rufusa. Wystąpiła odważnie w długiej, białej sukni. Rafaella pełniąca obowiązki drużny była jak zawsze olśniewająca w czerwonej, szyfonowej kreacji od Diora. Już jako żona Juliette wędrowała po całym świecie za Rufusem,

przenoszonym z placówki na placówkę; nigdy się odtąd nie rozstawali, aż do chwili gdy zmarł przed dziesięciu laty. Śmierć męża na zawsze złamała serce Juliette.

Od tamtych czasów pokój we wschodniej wieży *chateau* nazywano sypialnią Juliette.

- Ciekawe, czy Rafaella o tym pamięta - powiedziała do siebie. - A jeśli zapomniała, muszę jej przypomnieć! - Wybuchnęła gromkim, radosnym śmiechem. - Ależ to były czasy! - rozmarzyła się nagle. - No i proszę, zaczynamy od nowa. Zupełnie jak u Agaty Christie, kiedy wszyscy spotykają się w wielkiej wiejskiej rezydencji, choć tym razem z góry wiadomo, że to nie lokaj był winien. - Znów parsknęła śmiechem, wyobrażając sobie Haigha w roli mordercy. Przez moment zastanowiła się nad tym, dawnym zabójstwem. Czy rzeczywiście sprawcą był Felix? A może Alain?

Podniosła słuchawkę i nie bacząc na sześciogodzinną różnicę czasu, wybrała numer *chateau* - pamiętała go doskonale mimo upływu tylu lat.

Telefon odebrał Haigh. Kiedy przedstawiła się, stwierdził, że od razu wiedział, że to musi być ona, bo kto inny dzwoniłby w środku nocy. Poza tym nikt poza nią tak nie wrzeszczy. W końcu połączył ją z Rafaella.

- Więc przyjeżdżasz? - ucieszyła się Rafaella, zupełnie jakby się rozstały dopiero przed tygodniem.

- Oczywiście. Potrafisz sobie wyobrazić wielkie rodzinne spotkanie beze mnie? - Juliette uśmiechnęła się. Usłyszała westchnienie ulgi Rafaelli. - Chciałabym tylko znów dostać mój stary pokój we wschodniej wieży, ten z widokiem na jezioro - dodała. - I każ Haighowi zamrozić naprawdę dobrego szampana; żeby nie próbował wcisnąć mi żadnego podejrzanego sikacza.

Rafaella wybuchnęła śmiechem. Zaraz wpadły w poufny ton, jakim rozmawiają przyjaciółki, które mają sobie dużo do powiedzenia. Nie bacząc na koszty, przegadały tak parę godzin.

Rozdział 13

Felix Marten mieszkał na czterdziestym czwartym piętrze olbrzymiego budynku ze szkła i stali, dominującego nad panoramą Hongkongu. Każdego, kto płynął przez niespokojną zatokę jednym z małych promów Star Feny, które sapiąc i terkocząc przemierzały trasę między Kowloon

i Central, oślepiały promienie zachodzącego słońca odbite w brązowych szybach wieżowca. Wewnątrz oczywiście było chłodno i nic nie raziło oczu; tu panował stonowany, brązowy spokój.

Feliksa to dziwiło. Jak spokój może być brązowy? A jednak wrażenie było niemal namacalne - kombinacja światła i zupełny brak dźwięków. Teraz, wieczorem, kiedy wszyscy już wyszli, został sam, wsłuchany w szum klimatyzacji i ciche pomrukiwanie komputerów rejestrujących puls świata uganiającego się na największych giełdach za jeszcze większymi pieniędzmi. Od monitorów rozchodziła się delikatna, zielonkawa i migotliwa poświata. Brązowe skórzane kanapy były twarde i nie zachęcały, by się na nich wyciągnąć. Stalowe lampy wydawały się kanciaste i ostre, a ich słabe światło nie nadawało się, żeby przy nim poczytać.

Za co, u licha, wziął pieniądze projektant, który urządzał mu to wnętrze? Felix przyglądał się z góry promom i drobnym jak mrówki biznesmenom, spieszącym do Tycoon Bar przy Mandarin Oriental na wieczornego drinka, który miał ich rozluźnić po stresach związanych z pracą. A przecież już niedługo pójdą do domów i będą musieli stawić czoło kolejnym kłopotom - żonom narzekającym, że prawie w ogóle nie widują swoich mężów, małym dzieciom, które burzą spokój i ciszę w domu, ponurym nastolatkom, stale domagającym się wciąż nowych, „absolutnie niezbędnych” rzeczy.

Felix był samotny. Miał już wcześniej dwie okazje, żeby się ożenić, ale każda skończyłaby się właśnie tak, jak to sobie teraz wyobrażał. Kobiety, które znał, z jednym wyjątkiem, chciały bez końca więcej i więcej. Wspólniejszych domów, droższych sukien, większych klejnotów. Poza tym pragnęłyby go mieć na własność. Tak bardzo tłamsiły jego ducha, że brakowało mu tchu, miał ochotę je zabić. I wtedy kończyły się wszystkie jego myśli o małżeństwie.

Felix, bogaty kawaler, uchodził w towarzystwie za atrakcyjną partię. Do twarzy mu było z czarnymi, lekko szpakowatymi włosami. Nosił nie-nagannie uszyte ubrania w delikatne prążki, a buty robił na miarę u szewców w Londynie. Umiał prowadzić konwersację na przyjęciach, wobec pań był dżentelmenem w każdym calu i nie tylko hojnie wspierał ich przedsięwzięcia charytatywne, lecz potrafił nawet fundować bale i galowe przyjęcia. Pojawiał się na nich przeważnie z kimś ważnym i pięknym u boku. Szeptano: „podejrzany kawaler”, ale nie był gejem. Po prostu miał dosyć kobiet. Oczywiście, z wyjątkiem seksu, ale ten mógł sobie kupić. Wszystkie jego myśli i sny - kiedy tylko czas i los pozwalał mu wygospodarować parę godzin na przespanie się - obracały się wokół rozbicia pieniędzy. Coraz większych pieniędzy.

Niestety, im więcej zarabiał, tym rzadziej mógł sobie pozwolić na sen, aż wreszcie z braku snu zaczynały mu drżeć ręce, czuł zawroty głowy i tracił równowagę, a czasami nie docierało do niego to, co się do niego mówiło.

Zaproszenie, jeszcze nieotwarte, leżało na środku olbrzymiego biurka. Felix gapił się przez okno, czekając na sygnał z portierni, że zjawił się Jake Bronson, jak uskrzydłony Merkur, przynoszący wieści z przeszłości. Z przeszłości, która go już nie obchodziła, choć w niełatwych chwilach przebudzenia, w martwej porze o trzeciej nad ranem, stawała przed nim jego matka, Rafaella, taka jaką widział ostatni raz - błada i drżąca. Wolał teraz o niej nie myśleć. Żałował, że zgodził się na rozmowę z Jakiem, mimo że kiedyś byli sobie bliscy jak bracia.

Felix miał niewiele ponad dwadzieścia lat, gdy Jake przybył do *chateau*. Był tam też i Alain, ale prowadził dość tajemniczy tryb życia i mało go widywano. Jake przebywał więc przeważnie właśnie w towarzystwie Feliksa.

Zabrzączał wewnętrzny telefon, Felix położył palec na przycisku.

- Przyszedł pan Bronson. Mówi, że jest z panem umówiony - odezwał się głos portiera.

- Poślij go na górę. - Felix usiadł w wielkim skórzanym fotelu. Bezpieczny za swoim imponującym, antycznym biurkiem, czekał, co przyniesie najbliższa przyszłość. Bezmyślnie obracał w palcach list z Bank of Shanghai, którym nie zdążył się jeszcze zająć.

Brzęczyk zaszygował, że gość prosi o otwarcie zewnętrznych drzwi. Felix przycisnął guzik i usłyszał energiczne kroki w wykładanym marmurem holu, a potem uderzenie pukanie do drzwi.

- *Entrez* - powiedział, bo zawsze rozmawiali z Jakiem po francusku. Nie podniósł się z fotela, kiedy gość podszedł i stanął o parę kroków przed nim.

Patrzyli na siebie.

Przygląda mi się, pomyślał Felix z tłumioną irytacją, i oczywiście porównuje do człowieka, którego zapamiętał, kiedy widzieliśmy się ostatni raz. Jake trzyma się dobrze, wciąż jest szczupły, nadal ma gęste, ciemne włosy i chodzi tak samo, jak jego ojciec - dużymi, pewnymi krokami. A zimne, szare oczy patrzą przenikliwie.

- Witaj Jake. Jak leci?

- Świetnie. A co u ciebie?

Felix skinął głową na znak, że ma się dobrze. Jake uśmiechnął się.

- Nadal nie lubisz za dużo mówić?

- Wolę działać, jak ty. - Felix wziął z biurka nóż do papieru, przesuwając gładkie ostrze między swoimi silnymi palcami.

- Powiedziałem twojej matce, że wybieram się do Hongkongu. Prosiła, żebym się z tobą spotkał. - Jake wpatrywał się przymrużonymi oczyma w ostrze noża.

Felix milczał, patrząc nieufnie na kremową kopertę z francuskimi znaczkami.

- Jesteś tu znaną postacią - mruknął z uznaniem Jake. - Mam na myśli kręgi biznesu, ale kiedy byłeś młodszy, też pisywała o tobie lokalna prasa.

Felix nie reagował.

- Czytałem o dziewczynie w ciąży, którą znaleźli martwą u stóp nadmorskiej skały - ciągnął Jake. - Podobno podejrzewano cię o ojcostwo. Pisali, że to ty mogłeś ją zepchnąć...

Felix oderwał wzrok od noża.

- Jeśli przyszedłeś, żeby mnie sprowokować, możesz uznać naszą rozmowę za skończoną.

Jake demonstracyjnie wzruszył ramionami.

- Oczywiście, w tamtych czasach nie robiono jeszcze badań DNA. Niczego nie można ci udowodnić. Ale to ty, Feliksie, nie miałeś alibi, a Alain miał. Komu więc twoja matka miała uwierzyć?

- Matka w ogóle nie dała mi żadnej szansy - zirytował się Felix. - Nawet nie chciała mnie wysłuchać. Zresztą, po co miałyby słuchać, skoro Alain tak przekonująco zwał na mnie winę? Matka nigdy nie zamierzała poznać prawdy o Alainie. Zaślepiona jego urokiem, nie dostrzegała błota pod spodem. A potem było już za późno.

- Cóż, Feliksie... - Jake mówił teraz łagodnie, niemal ciepło. - Zwyczajna rywalizacja między braćmi, trochę zazdrości, dziewczyna, która obu się spodobała, a może to nawet była miłość... Powiedz mi więc prawdę.

Felix westchnął. Wstał i wyszedł zza biurka. Minął Jake'a i stanął na tle sięgającego od sufitu do podłogi brązowego okna; melancholijnie wpatrywał się w toczące się w dole życie. - Powiedziałem to wtedy matce, a teraz powtarzam tobie: możesz wierzyć, w co chcesz. Ani nie robi mi to bardziej winnym, ani mój brat nie stanie się przez to niewinny. - Odwrócił się i stanął z założonymi do tyłu rękami. Na tle okna widać było tylko jego ciemną sylwetkę, tonącą w brązowym świetle. - Po co właściwie tu przyszedłeś, Jake?

- Przysłała mnie twoja matka. To już stara kobieta, Feliksie. Zostało jej niewiele czasu, a chciałaby znów zobaczyć swoich chłopców.

Felix ostentacyjnie parsknął śmiechem.

- A ja mam przybiec do niej truchcikiem, jak syn marnotrawny.

- To już twoja sprawa - powiedział cicho Jake. - Zrobisz, jak zechcesz.

Felix znów się odwrócił. Jake szybko rzucił okiem na blat biurka. Zauważył list z nagłówkiem *Bank of Shanghai*, który przyjął zlecenie podwyżki wypłaty dla mieszkającej w Szanghaju pani Bao Chu Ching z trzydziestu na pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. Jake natychmiast zapisał w pamięci numer rachunku i adres. Tym, co wydało mu się godne uwagi, była znikoma kwota - trzydzieści dolarów miesięcznie zarabiali tylko najbiedniejsi robotnicy, a jednak Felix tyle właśnie płacił tamtej kobiecie.

- Pomyślę jeszcze nad tą sprawą - oznajmił Felix, wciąż zwrócony plecami do Jake'a i wpatrzony w okno.

- I to wszystko, co kazała mi powtórzyć twoja matka. - Po chwili wahania Jake dodał: - Mam tę samą wiadomość dla Alaina. Muszę go odnaleźć.

- Ha! - Felix odwrócił się z wściekłym prychnięciem. - Jasne, że musisz. Przecież to ulubiony synek mamy. Nie mam wątpliwości, że będzie chciał wrócić, żeby upomnieć się o spadek. Niestety, nie mam pojęcia, gdzie go szukać. Możliwe, że już nie żyje, bo chciał być zbyt cwany.

Jake pokiwał głową. Podeszedł do Feliksa i wyciągnął rękę.

- Byliśmy kiedyś przyjaciółmi. - Spojrzał Feliksowi w oczy. - Z opiekowałeś się samotnym zagubionym dzieckiem, które nie miało o niczym pojęcia. Nigdy o tym nie zapomniałem. Ani o tobie.

Felix spojrzał na rękę wyciągniętą w imię dawnej przyjaźni i posepnie kiwnął głową.

- Ja też o tobie pamiętam, Jake.

Podali sobie dłonie, potem Jake odwrócił się i energicznie ruszył ku drzwiom.

- Przemysł to sobie, Feliksie - powiedział jeszcze przez ramię. - Dla twojej matki to teraz rzecz najważniejsza. A może i dla ciebie. Mam nadzieję, że się spotkamy.

Kiedy drzwi zamknęły się za Jakiem, Felix uważnie obejrzał kopertę, po chwili ją rozdarł, wyjął zaproszenie i przeczytał, a potem się roześmiał.

- Och, mamo, stara oszustko. Chciałabyś znów zebrać rodzinę, bo poczułaś więzy krwi? No cóż, przykro mi, ale ja nigdzie się nie wybieram. Sama sobie organizuj rodzinne spotkania, dawno już wybrałaś taką drogę. Niestety, twój pierworodny nie wróci do domu.

Tej samej nocy, kilka godzin później, ciało Feliksa Martena znaleziono na podjeździe do szklanego wieżowca, tuż obok tylnego wejścia. Wyglądało na to, że wypadł z otwartego szybu windy towarowej. Zginął na miejscu. Wciąż miał na sobie garnitur w prążki. Zrobione na miarę buty zleciały mu z nóg, kiedy runął na ziemię. Spadł głową w dół i twarz miał

zmasakrowaną. Początkowo wszyscy uznali to za samobójstwo. Potem jednak pojawiły się wątpliwości. Jak większość bogatych i wpływowych ludzi, Felix miał wrogów. Plotka szybko szerzyła się w Hongkongu. Czy naprawdę doszło do wypadku? Widziano przecież, że Felix poruszał się ostatnio bardzo niepewnie. Może go ktoś popchnął? Może został zamordowany?

Zresztą nieważne, co się naprawdę stało. Felix Marten znalazł w końcu brązową ciszę. Wreszcie zasnął. I na pewno nie pojawi się na rodzinnym spotkaniu.

Rozdział 14

Jake był już w Szanghaju, kiedy z telewizji dowiedział się o śmierci Feliksa. Zatrzymał się w przestronnym, klimatyzowanym pokoju na jednym z górnych pięter hotelu Grand Hyatt, najwyższego budynku w mieście i drugiego co do wysokości w Azji. Popijał zieloną herbatę, którą zaraz po przyjeździe podała mu drobniotka kelnerka w białej maoistowskiej bluzie.

Nie mógł doczekać się wieczoru, aby wreszcie porządnie się wyspać. Sam już nie pamiętał, kiedy ostatni raz mógł dłużej niż na parę godzin oprzeć stopy na solidnym gruncie. Chciał wziąć masaż, odprężyć się po podróżach samolotem, wejść pod prysznic, a potem wreszcie zasnąć w łóżku. Niestety, szokująca śmierć Feliksa przekreśliła te plany.

Usiadł natychmiast przy telefonie, obdzwonił wszystkie swoje kontakty w Hongkongu, aby czegoś się dowiedzieć. Zmarszczył czoło, kiedy usłyszał o samobójstwie - żeby poznać prawdę, należałoby przeprowadzić autopsję. Nie zdążył jeszcze zawiadomić Rafaelli, że rozmawiał z Feliksem. Czekał go teraz telefon z wiadomością, że jej syn nie żyje.

Zanurzył się w głębokim skórzanym fotelu i oparł brodę na piersi. Felix robił wrażenie zirytowanego, zmęczonego, ale na pewno nie można było się w nim dopatrzeć samobójczych skłonności. Oczywiście, wcale z tego nie wynikało, że nie mógł się zabić. Jake znał sporo ludzi, którzy z pozoru żyli całkiem normalnie, a jednak w głębi skrywali ogromne cierpienie, przytłaczała ich depresja. Zastanawiał się nad Feliksem. Nie wiedział, gdzie może być Alain. Intrygowała go zagadka kobiety nazywającej się Bao Chu Ching, która mieszkała akurat tutaj, w Szanghaju przy ulicy Hu Tong 27 w mieszkaniu numer 127 i co miesiąc dostawała od Feliksa

Martena trzydzieści dolarów, która to suma została właśnie podwyższona do pięćdziesięciu.

Zerknął na zegarek. We Francji jest dziesiąta rano. Westchnął ciężko, wybierając numer *chateau*. Z najwyższą niechęcią myślał o tym, co go czeka. Bo kto lubi rolę posłańca złej nowiny?

Telefon odebrał Haigh. Sprawiał wrażenie zirytowanego, że ktoś mu przeszkadza.

- Właśnie wybieram się z Rafaellą do miasta po zakupy - oznajmił. - Twierdzi, że musi mieć nowe buty, choć tymi co ma, dałoby się zaopatrzyć spory sklep.

- No cóż, takie są kobiety. - Jake mimo wszystko uśmiechnął się. Potem przekazał Haighowi złą nowinę. Usłyszał głębokie westchnienie, po czym w słuchawce zapadła cisza. Wiedział, że Haigh pomagał wychowywać Feliksa, był to więc także i dla niego bolesny cios. - Bardzo ci współczuję, Haigh - powiedział. - Nic ci nie jest?

Odpowiedziało mu sapnięcie.

- Nie, wszystko w porządku. Dobrze, że mogę sam przekazać tę smutną nowinę Rafaelli. To nie będzie dla niej łatwe. Liczyła, że Felix jednak wróci do domu. I wróci, ale w trumnie.

- Wolałbyś, żebym ja o tym powiedział?

- Nie, to mój obowiązek. - W głosie Haigha brzmiała powaga i duma. - Na pewno nie przez telefon. Wiesz, lepiej zrobię to osobiście, a w razie czego postaram się jej pomóc.

Jake obiecał, że zadzwoni później, i odłożył słuchawkę. Wyciągnął się w fotelu, wbił wzrok w ścianę. Znow myślał o Bao Chu Ching, która co miesiąc dostaje pieniądze od Feliksa. Zastanawiał się, czy tu warto szukać tropu, czegoś, co doprowadziło Feliksa do samobójczej śmierci. A może raczej sprowokowało mordercę.

Odsunął pokusę masażu, wypicia filiżanki gorącej, odświeżającej zielonej herbaty i wypoczynku w miękkim łóżku. Zdecydował się na zimny, długi prysznic. Potem przebrał się i pojechał taksówką na ulicę Hu Tong.

Rozdział 15

Jake odprawił taksówkarza i rozejrzał się dookoła. Był w jednej z najuboższych dzielnic miasta, z pewnością nigdy nieodwiedzanej przez gości z zagranicy ani turystów. W walących się, tandetnych domach, pod-

partych rusztowaniami z bambusów wiązanych drutem, mieszkali najbiedniejsi robotnicy. Ciemności rozjaśniała niebieskawa poświata migoczących telewizorów, nad rynsztokami unosił się odór ścieków i zgnilizny. Tu i ówdzie widniały otwarte na ulicę sklepiki, a dochodzące od strony obwodnicy jaskrawe, żółte światło lamp jarzeniowych kreśliło na tle nieba ostre sylwetki zniszczonych budynków, pogrążając w jeszcze głębszym cieniu ich lokatorów. Zewsząd sączyły się odgłosy biedy: powarkiwania psów, płacz dzieci, krzyk rozżośzczonej kobiety, na koniec nieprzeniknione, wysokie i zawodzące dźwięki chińskiej muzyki.

Znów sprawdził adres. Mieszkanie numer 127 było na parterze czteropiętrowego budynku, na lewo od wejścia. Jake czekał przez chwilę, kiedy nagle drzwi mieszkania się otworzyły i wyszła z nich drobna, szczupła dziewczynka, wyglądająca na dziesięciolatkę. Miała na sobie coś, co mogło być szkolnym mundurkiem: szarą spódniczkę, białą koszulkę z krótkimi rękawami i tenisówki. Czarne włosy z krótko przyciętą grzywką jeszcze bardziej podkreślały chudą szyję. Przemknęła tuż obok Jake'a, zaciskając w rączce zwinięty banknot.

Doszedł za nią aż do jednego ze sklepików - do chińskiej apteki. Mała tłumaczyła coś właścicielowi. Mężczyzna wziął pieniądze, otworzył zamknięty na klucz sejf, wyjął z niego paczuszkę i podał dziewczynce. Mała ruszyła z powrotem, ale tym razem zerknęła na Jake'a. Zauważył na jej twarzy zdziwienie - w tej okolicy spotykało się wyłącznie Chińczyków. Potem pobiegła dalej w głąb mrocznej i cuchnącej ulicy, do uboższego mieszkania, za które płacił Felix Marten.

Jake w świetle lampy nad drzwiami apteki zobaczył wyraźnie jej twarz - uroczą, zdumioną, z szeroko otwartymi oczyma - dużymi i niebieskimi jak Morze Śródziemne w letni, słoneczny dzień. Były to oczy Rafaelli Marten. Uśmiechnął się. A jednak przekaże Rafaelli dobre wiadomości. Ma wnuczkę.

Pozostawało tylko pytanie, czyje to dziecko - Feliksa czy Alaina?

Rozdział 16

Rafaella stała pod drzwiami dawnego pokoju Feliksa nad frontową kolumnadą *chateau*, wpatrzona w lśniąca mosiężną gałkę. Nie mogła się przemóc, by ją przekręcić i wejść do środka. Czuła napływające do oczu łzy, ale nie była w stanie wypłakać się tak jak wszystkie matki.

W tym pokoju upłynęło przecież całe życie Feliksa, aż do chwili, gdy w wieku dwudziestu trzech lat opuścił *chdteau*. W garderobie wciąż wisiały jego ubrania, pod spodem, w szeregu, stały buty. Zawsze był schludnym chłopcem i wyrósł na pedantycznego mężczyznę. W jego pokoju panowała aura koszarowej surowości i to właśnie skłoniło Rafaelę, by - kiedy ukończył siedemnasty rok życia - zasugerować mu wojskową karierę.

- Mamo, proszę cię, nie bądź śmieszna - powiedział. Wygiął przy tym z lekką pogardą usta, co zawsze ją irytowało. - Przecież wiesz, że nie pójdę do wojska. Będę prowadził wytwórnię.

I pewnie poprowadziłyby ją dobrze, pomyślała, opierając się ze zmęczeniem o drzwi. Zraziłyby oczywiście do siebie wszystkich, bo taki już był, ale produkowałyby dobre wina firmy Marten.

Wreszcie zdobyła się na odwagę i otworzyła drzwi. Zauważyła, że Haigh był tu już wcześniej. Zdjął z mebli pokrowce, sprawdził, czy pokój jest porządnie wysprzątnany, i ułożył na łóżku garnitur, w którym Felix miał wyruszyć w swoją ostatnią drogę. Rafaela patrzyła na elegancką szarą marynarkę, spodnie w prążki i na nieskazitelnie białą koszulę z popielatym, jedwabnym krawatem, na starannie dobrane skarpetki i buty. Czuła, że jej serce rozdziera żal za kimś, kogo straciła już wiele lat temu.

- Czemu popełnił samobójstwo? - zapytała Haigha. - Przecież zawsze był taki silny.

- Aż za silny - odpowiedział ponuro.

Patrząc na rzeczy, które pozostały po Feliksie, Rafaela zastanawiała się, jak to się stało, że jej pyzaty synek w marynarskim ubranku już nie żyje. Oskarżył ją, że uwierzyła w jego winę, choć chciała przecież tylko dowiedzieć się prawdy.

- Jestem twoją matką - mówiła. - Pragnę ci pomóc. Po prostu powiedz, że to był wypadek. Wiem przecież, że nie mogło być inaczej. A jednak w głębi serca nie wierzyła w jego wersję wydarzeń, a Felix jakoś to wyczuł.

Usiadła pod oknem, w głębokim fotelu z zielonej skóry. Słońce wydobyło wszystkie bruzdy najej twarzy. W końcu do oczu Rafaelli napłynęły łzy; pociekły po upudrowanych policzkach i wyżłobiły na nich świeże bruzdy, świadectwo smutku i bólu. Z zewnątrz dobiegało żalosne skomlenie psów.

Rafaella pamiętała dzień, kiedy Felix tu zamieszkał. Miał wtedy dokładnie siedem lat.

- Chodź, obejrzymy twój nowy pokój - powiedziała, a on patrzył na nią ze zdumieniem. - Wzięła go za rękę i poprowadziła przez ogromny

hol wyłożony parkietem z kasztanowego drewna. Minęła kunsztownie pomalowane dwuskrzydłowe drzwi, prowadzące do różnych pokoi. Weszła na biegnące ogromnym łukiem schody z gładkimi drewnianymi balustradami i lśniącymi mosiężnymi prętami przytrzymującymi chodnik. Wreszcie stanęła przy drzwiach pokoju nad frontowym portykiem.

- Tutaj? - zdziwił się Felix, bo przecież był to najelegantszy pokój gościnny w całym domu.

- Jesteś najstarszym synem - odpowiedziała mu z uśmiechem. - Masz prawo do najlepszego pokoju.

- Biurko postawię pod oknem - postanowił. Chodził dookoła, gładził piękne zasłony, sprawdził elastyczność łóżka. Z niezadowoleniem postawił stopy na dywanie z Beauvais; wydał mu się za miękkie. - A także mój zielony skórzany fotel.

- Który?

- Ten z gabinetu taty - wyjaśnił oschle. - I tak go nigdy nie używa. Przecież nie bywa w domu.

- W porządku. - Rafaella ustąpiła pokornie, ponieważ miała rację.

I w ten właśnie sposób, który miał stać się dla niego znamienny na całą resztę życia, Felix zademonstrował swoją pozycję, zmieniając piękny buduar w męskie, urządzone po spartańsku pomieszczenie, do którego wpuszczał tylko gospodynię, i to wyłącznie dlatego, że chciał, by pokój był zawsze nieskazitelnie czysty.

Oczywiście nigdy nie pozwolił wejść tam swojemu bratu. Zamykał drzwi na klucz i wieszał go na łańcuszku u paska. Jednak dla Alaina każdy zakaz stanowił wyzwanie. Odnalazł klucz, z którego korzystała gospodyni, i pewnego popołudnia, gdy Felix poszedł na kort tenisowy, wśliznął się do środka.

I stało się to, co nieuchronne. Felix nakrył brata i z oburzeniem krzyczał, że „grzebie w jego rzeczach”. Alain natomiast, blond aniołek, spoglądał na niego pogardliwie i prowokacyjnie. Felix walnął go w twarz, z nosa popłynęła krew, plamiąc przód koszuli, ale Alain nie uronił ani jednej łzy. Zrewanżował się takim samym ciosem. Nie wiadomo, kiedy zaczęli się kłębic na podłodze, wrzeszcząc wniebogłosy. Wtedy przybiegli dorośli, zobaczyli krew i podnieśli larum.

Haigh rozdzielił chłopaków kopniakami w tyłek. Odsunęli się od siebie i spode łba patrzyli na nowego wroga.

- *Je vous emmerde*, Haigh - zaklął Alain, za co Haigh w odpowiedzi go grzmotnął, a potem postawił na nogi i rzucił mu w twarz ręcznik.

- Idź do swojego pokoju - powiedział, a Rafaella podbiegła do Feliksa, żeby sprawdzić, czy coś mu się stało.

- Nie muszę cię słuchać! - darł się Alain.
Ale Haigh nie ustępował.
- No, i co mi zrobisz? - zapytał, podpierając się pod boki.
Alain zerknął z ukosa na matkę, wymknął się za drzwi i poszedł przez hol, ku schodom prowadzącym do dzieciennego pokoju.
- Haigh obejrzał Feliksa, który wciąż leżał, zakrwawiony, na podłodze.
Upewnił się, że była to krew Alaina.
- Wstawaj i idź się umyć - warknął. A potem zwrócił się do Rafaelli:
- Alain ma chyba złamany nos. Zawiozę go do szpitala, madame, a pani niech zajmie się Feliksem.

Siedząc pod oknem w zielonym skórzanym fotelu Feliksa, w pokoju, który niegdyś należał do niego, Rafaella myślała o swoich synach. Alain był blondynem, a Felix szatynem, obydwaj jednak mieli niebieskie oczy Martenów i lekko haczykowane nosy, które odziedziczyli z pewnością po rodzinie ojca. Temperamentem różnili się zdecydowanie, co dotarło do niej dopiero później, w dzień po morderstwie.

Rozdział 17

Po ukończeniu studiów na Sorbonie Felix wrócił do domu, aby uczyć się od matki prowadzenia wytwórni win. Rafaella uznała, że wyraźnie się zmienił, na lepsze. Stał się łagodniejszy, rozmowniejszy i bardziej sympatyczny. Wszystko to zbyt piękne, pomyślała z niepokojem, by mogło trwać długo. Miała rację.

W parę tygodni później, kiedy za oknami rozszalała się letnia burza, a o szyby bił grad, zasiedli wieczorem do wspólnej kolacji w zacisznej jadalni, wyłożonej jasnoseledynową boazerią. Z wiązanki żółtych lilii, przyniesionych rano przez Rafaellę, na lśniącą politurę stołu osypywał się bursztynowy pyłek. W zapadającym zmroku ciepło migotały świece.

Jedli specjalność Haigha - ulubioną przez Rafaellę zupę ze świeżych pomidorów z bazylią. Była bardzo gorąca, co znakomicie poprawiało nastrój w chłodny wieczór. Popijali wino Chateau Marten, które wydało jej się za ciężkie i zbyt wytrawne, jednak Felix uznał, że trunek pozostał miłe wrażenie na podniebieniu, a wytrawny smak znakomicie harmonizuje z zupą.

Mogli mieć różne zdania co do pojedynczej butelki, ale w sprawie wytwórni win zgadzali się całkowicie. Felix wkładał w prowadzenie winnicy całe serce. Pod tym względem bardzo przypominał ojca Rafaelli.

- Mam dla ciebie niespodziankę - odezwał się nagle. - Przymierzam się do powiększenia naszej firmy. - Wyznał, że chciałby kupić nieoczekiwanie wystawioną na sprzedaż niedużą winnicę w rejonie Saint-Emilion w pobliżu Bordeaux. - Nie jest w zbyt dobrym stanie - mówił. - Ale można wiele poprawić. Została zaniedbana, więc i marka trochę podupała, ale raz-dwa postawimy ją na nogi.

Rafaella aż za dobrze wiedziała, ile trzeba zainwestować w winnicę i czekać na wyniki.

- A ile potrwa to „raz-dwa”? - zapytała.

Felix zastanowił się.

- Roboty będzie dużo, nowe nasadzenia... Cztery, może pięć lat.

- Ponad dziesięć - oceniła.

W tym momencie zjawił się Haigh z parującym półmiskiem risotta. Rafaella podała mu swój kieliszek. Haigh powąchał, wziął do ust mały łyk, rozprowadził wino po języku i podniebieniu, kosztując je powolutku i ostrożnie.

- Jak na mój gust zbyt wytrawne - orzekł. - Trochę cierpkie i nie pasuje do tej potrawy. - Wzruszył ramionami. - Oczywiście, są i tacy, którzy lubią właśnie takie rześkie wina, ale ja wolę, kiedy jest w nich smak i aromat owoców.

- Trafiłeś w dziesiątkę, Haigh. - Rafaella uśmiechnęła się życzliwie do Feliksa, bo wiedziała, że syn musi się jeszcze sporo nauczyć.

Nachmurzył się. Nie znosił, kiedy okazywało się, że nie miał racji.

- Czemu wszystko zamieniasz w konkurs? - W jego głosie znów pojawił się dawny chłód.

- Konkurs? Feliksie, przecież rozmawiamy o interesach. O twojej firmie.

- O rodzinnej firmie - odparł, a na czole pojawiły się charakterystyczne bruzdy.

Westchnęła.

- Chodzi ci o Alaina, prawda? - Wyciągnęła rękę ponad stołem, żeby dotknąć jego dłoni. - Nie, nie odsuwaj się ode mnie, Feliksie. Matka zawsze ma prawo trzymać za rękę syna. Jesteście z Alainem tak bardzo różni. Nic dziwnego, że nie potraficie się dogadać. Cokolwiek by się jednak stało, ty obejmiesz firmę. Będziesz nią kierował, synu.

Spojrzał na nią z goryczą.

- Ale nie sam, *maman*. Nigdy sam, zawsze będzie Alain. Dostanie połowę firmy, kiedy ciebie już nie będzie, i zrobi wszystko, żeby odechciało

mi się żyć. Zniszczy twoją pracę, i pradiadka, i dziadka, a zrobi to po prostu na złość, żeby mi się odpłacić.

Rafaella westchnęła. Spór braci wyprowadzał ją z równowagi, ale przecież nie mogła zostawić wytwórni Feliksowi, a Alaina całkowicie odsunąć.

- Obaj jesteście moimi synami - powiedziała. - Należycie do tej samej rodziny, więc dostaniecie równe części. A poza tym, już dawno wyrośliście z krótkich spodenek. Musicie się sami jakoś dogadać.

Felix odsunął talerz i wstał. Podniósł kieliszek i dopił wino, tylko po to, by pokazać, że jednak było dobre. Rafaella stłumiła westchnienie. Zdała sobie sprawę, jak bardzo Felix jest zawzięty i uparty, nawet wobec własnej matki.

- A ty oczywiście bierzesz stronę Alaina. - Zirytowany poszedł ku drzwiom. - Zawsze tak samo.

Usłyszała mocne trzaśnięcie drzwi frontowych, w oknach zabrzęczały szyby. Dobiegł ją dźwięk zapuszczanego silnika, potem pisk opon na wilgotnym żwirze podjazdu. Felix odjechał.

Tym razem Rafaella pozwoliła sobie na głębokie westchnienie. No i tyle zostało z odbudowanych kontaktów, pomyślała. Wstała od stołu, zostawiając jedzenie na talerzu. Podeszła do okna, patrzyła na chwiejące się drzewa i płatki róż, które wiatr gonił po tarasie. Niskie, szare chmury zadziwiająco szybko sunęły po niebie. Zastanawiała się, dokąd mógł pojechać Felix. Może do wytwórni, zgadywała, bo spędzał w pracy prawie wszystkie noce. Za to Alaina prawie nigdy nie było w domu - albo siedział w Paryżu, gdzie rzekomo studiował, albo w willi w Cap d'Antibes z jakąś dziewczyną. Albo kilkoma naraz. W przypadku Alaina nic nie było pewne, ale na samą myśl o nim Rafaella się uśmiechnęła. Alain wnosił ze sobą prawdziwą radość, *joie de vivre*, co zawsze prowokowało ją do uśmiechu. Mój biedny Feliksie, pomyślała z żalem, kiedy ty wreszcie zrozumiesz, że wojujesz z samym sobą, a nie z własnym bratem?

Tej nocy nie słyszała, czy Felix wrócił do domu, choć czytała w łóżku do późna, czekając na niego. Rano nie przyszedł na śniadanie. Sądziła, że może jeszcze śpi w swoim pokoju, i nie chciała mu przeszkadzać. Tym bardziej więc poczuła się zaszokowana, kiedy w godzinę później pojawił się w domu przemoknięty i obszarpany. Wyraźnie kulał.

- Co ci jest? Co się stało? - Podbiegła do niego, przerażona, że miał wypadek, ale odpędził ją gestem ręki.

- Nic - burknął i pokuśtykał po schodach do swojego pokoju.

Pobiegła za nim, zaniepokojona, ale zamknął jej drzwi przed nosem. Przekreślił klucz w zamku.

Haigh też wbiegł na górę.

- Lepiej dać mu spokój, madame - doradził. - Nie wiadomo, co się dzieje, ale w końcu i tak mu przejdzie.

Felikswi jednak nie przeszło, tak samo zresztą jak Rafaelli, bo w kilka godzin później pojawili się *gendarmes*, by zapytać go o pewną dziewczynę, którą podobno znał. Znalaziono ją martwą na dnie wąwozu Saint-Sylvestre. Była w ciąży. Felix tłumaczył, że nie jest ojcem żadnego dziecka. Nie było świadków ani żadnych obciążających go dowodów. Alain także znał tę dziewczynę, ale ponieważ przebywał właśnie w Antibes, nikt nie widział powodu, żeby go przesłuchiwać.

Rafaella czuła jednak, że coś się nie zgadza. Kiedy policjanci już sobie poszli, zapytała Feliksa, co się właściwie stało. Wpadł we wściekłość - jak mogła uwierzyć, że był sprawcą ciąży i zabójcą tej dziewczyny? Powiedział, że powinna raczej zainteresować się jego czarującym braciszkiem i jemu zadać parę pytań. Próbowała go objąć i przytulić, ale ją odepchnął.

- Możesz wierzyć, w co ci się podoba, *maman* - warknął. - Jak zawsze.

Potem spakował swoje rzeczy i wyjechał. Nigdy więcej nie wrócił.

Otarła łzy brzegiem spódnicy i pomyślała, że sama jest jak dziecko - kiedy potrzebuje chusteczki, nigdy jej nie ma przy sobie. Ach, Feliksie, mówiła do syna w duchu, byłeś takim upartym, buntowniczym chłopcem, i wyrosłeś w końcu na trudnego mężczyznę. Tak ciężko było przedrzeć się do twojego wnętrza, żeby cię pokochać. Mam jednak nadzieję, że zaznałeś w życiu choć trochę szczęścia.

Przeszła przez pokój i pochyliła się nad łóżkiem, żeby pogładzić garnitur, który Haigh przygotował na pogrzeb.

- Mój biedny, mały Felix - szepnęła. Wyszła z pokoju i cichutko zamknęła za sobą drzwi.

Rozdział 18

Jake przyjechał na pogrzeb Feliksa, ale także i po to, by przekazać Rafaelli wspaniałą nowinę o wnuczce.

Zatrzymał wynajęty samochód w cieniu platanów na placu pośrodku wioski i wysiadł na chwilę, żeby się rozejrzeć. Nic się nie zmieniło. Mógłby

nawet przysiąc, że poznał tych starych mężczyzn i wygrzewające się w słońcu psy. W powietrzu unosił się ten sam winny aromat. Życie płynęło tu spokojnie i pogodnie, jakby całe lata świetlne dzieliły Marten de Provence od jego własnego, tak absorbującego, a czasem brutalnego życia.

Pojechał dalej wzdłuż omszałego muru aż pod ogromną, żelazną bramę. Pod naporem wspomnień, przed oczyma przesunęła mu się nagle cała przeszłość. Jake zawsze uważał się za twardego mężczyznę, niezwiązane go uczuciowo z żadnym miejscem i człowiekiem, ale akurat ten skrawek ziemi był wyjątkiem. Rok, który tu przeżył, stał się dla niego czymś tak cennym, że bojąc się rozczarowania, nigdy później nie wracał do Marten de Provence. Nie chciał zniszczyć wspomnień.

Jechał wciąż przed siebie, aż zobaczył *chdteau*. Zatrzymał się. Jak mógł zapomnieć, że w świetle popołudniowego słońca *chdteau* miał kolor jasnej ochry? Że wysokie okna wychodzą na taras, a łamany dach opada stromo nad poddaszem i ogromnymi drzwiami, które jak pamiętał, latem zawsze były szeroko otwarte, aby zapewnić przewiew i witac gości. Wszystko to powróciło nagle, musiał więc posiedzieć chwilę spokojnie, aby ogarnąć natłok wspomnień. Tak, pomyślał i uśmiechnął się do siebie, naprawdę przeżył tu piękne chwile, gdy był młody i trochę zakochany. Mimo tragicznej śmierci Feliksa czuł, że i teraz dopisze kolejny rozdział do wszystkich szczęśliwych wspomnień.

Po niskich, kamiennych stopniach ruszył ku otwartym drzwiom i nie zatrzymując się, wszedł do środka, tak jakby wracał do domu. W holu stała ona.

Pierwsze usłyszały go psy. Pędem rzuciły się do Jake'a, szczeły jak szalone i podskakiwały do jego wyciągniętych rąk. Rafaella odwróciła się, żeby sprawdzić, skąd wzięło się to zamieszanie. Przesłoniła dłonią usta, bo patrząc na Jake'a, miała wrażenie, że zobaczyła Kochanka. Jake Bronson, tak samo jak jego ojciec, wypełniał *chdteau* swoją silną, męską osobowością, znów wnosił wigor do pogrążonego w ciszy domu.

Jake przyglądał się Rafaelli i rejestrował zmiany w pięknej twarzy, którą zachował w pamięci jak fotografię noszoną na sercu, w kieszeni marynarki. Zamiast gąszczu wspaniałych czarnych włosów zobaczył teraz siwe pasma. Zmysłowe usta przecięte były delikatnymi, poprzecznymi bruzdami, a smukłe palce wykrywił artretyzm. Tylko oczy wcale się nie zmieniły - lśniły tym samym śródziemnomorskim błękitem. Padli sobie w ramiona, wtulili się w siebie i na chwilę czas przestał się liczyć. Jake nie mógł oprzeć się ogarniającej go czułości, gdy pochylony, całował miękkie policzki Rafaelli i wdychał znajomą woń perfum - chyba zapach mimozy?

- Wróciłeś - wyszeptała z uśmiechem.
- Przecież obiecałem, że będę zawsze na twoje usługi. - Roześmiał się. - Jesteś wciąż tak samo piękna, Raffaello, jaką do końca widział cię mój ojciec.

Odpowiedziała uśmiechem, przyjmując do wiadomości to miłe kłamstewko.

Truchcikiem dobiegł do nich przepasany białym fartuchem Haigh, wycierając po drodze dłoń w ścierkę.

- Przepraszam, madame - tłumaczył się zmieszany. - Czyściłem srebra w pokoju kredensowym. Nie słyszałem dzwonka.

- Może dlatego, że wcale nie dzwoniłem - odparł Jake i uśmiechając się, wyciągnął do niego rękę. - Pamięta mnie pan jeszcze?

Na chudej, opalonej twarzy Haigha rozkwitł szeroki uśmiech.

- Oczywiście, panie Jake, chociaż kiedy ostatni raz się widzieliśmy, był pan, za przeproszeniem, smarkaty. Proszę mi wybaczyć tę poufałość, ale wygląda pan jak kopia swojego ojca, prawda, madame? - Zerknęła na Rafaellę, badając, jak zareaguje na wzmiankę o Kochanku.

- Z trudem dopatruję się podobieństwa. - Przygryzła wargę, by nie parsknąć śmiechem. Od zawsze przekomarzali się z Haighem. Nadal był przemądrzały, co ją mocno irytowało, ale i tak go uwielbiała. Prawdę mówiąc, bez niego byłaby bezradna.

- Twój dawny pokój czeka na ciebie - zwróciła się do Jake'a. - Ale najpierw posiedzimy na tarasie. Trzeba uczcić szampanem nasze spotkanie po tylu latach. Dwudziestu ośmiu, prawda? - Uśmiechnęła się. - Oczywiście, wiem dokładnie, bo ciągle liczę lata.

Wzięta go pod ramię. W asyście psów ruszyli na zewnątrz. Minęli iskrzącą się kropelkami wody fontannę i weszli do cienistej altany oplecionej glicynią.

Haigh patrzył, jak idą pod rękę przez pokryty plamami słońca taras, potem zszedł do piwnicy po butelkę szampana Krug rocznik dziewięćdziesiąt jeden. Zauważył, że zostało już tylko sześć butelek, ale pomyślał, że pewnie wystarczy ich jeszcze na jakiś czas. Wstawił butelkę do kubełka z lodem, przetarł parę smukłych kieliszków z kruchej kryształu i ustawił je ostrożnie na srebrnej tacy. Przyrumienił grzanki z bułki, ułożył je na srebrnej podstawie, a obok postawił dzbanuszek z *creme fraiche* i zamrożoną miseczkę z kawiozem z białugi, który chował na specjalną okazję. Na koniec napełnił srebrny koszyczek „rózowymi” biszkoptami - słodkimi, kruchymi, różowymi paluszkami, podawanymi specjalnie do szampana.

Zadowolony, że może znów wrócić, choćby na krótko, do roli prawdziwego lokaja, zdjął fartuch, założył biały żakiet, poprawił srebrzystoszary

krawat. Przypomniął sobie, żeby przejść z londyńskiego slangu, którym posługiwał się na co dzień, na wykwinną angielszczyznę, obowiązującą w wyższych sferach. Znał także płynnie francuski i bardzo lubił popisywać się nim przed zagranicznymi gośćmi - po prostu dla zabawy, ciesząc się z ich konsternacji, kiedy wyteżali się, by go zrozumieć. Oczywiście, była to z jego strony drobna złośliwość. To wspaniałe, myślał sobie wtedy, kiedy można zademonstrować innym swoją wyższość.

Wjechał na taras barowym stoliczkiem na kółkach.

- Madame, podano przekąskę - obwieścił ceremonialnie.

Rozdział 19

Rafaella z samego tonu wiedziała, że Haigh jest zachwycony. Patrzyła, jak niemal bezdźwięcznie wyciągnął korek z butelki szampana i napełnił kieliszki, a potem ustawił na stole tacę ze srebrnym dzbankiem na herbatę.

- Przyniosłem na wszelki wypadek, gdyby państwo mieli ochotę na odrobinę earl greya, madame. - Zostawił obok barek z przysmakami, pochylił się w uprzejmym ukłonie i dyskretnie oddalił.

Był niezmiernie ciekaw ich rozmowy, ale nie chował się za pędami glicynii, żeby podsłuchiwać. Wiedział, że Rafaella i tak mu wszystko potem powtórzy. Poszedł więc spokojnie do kuchni i nalał sobie szklaneckę szkockiej whisky noszącej jego nazwisko. Czasami, w podniosłych momentach, przyznawał się do związków z klanem Haighów.

Potem usadowił się wygodnie, rozłożył gazetę i czekał.

- Za nasze spotkanie po latach. - Rafaella uniosła kieliszek.

- Cudowny szampan. - Jake delektował się każdym łykiem.

- Nie znam nikogo, z kim chętniej bym go piła. - Poprawiła słomkowy kapelusz z szerokim rondem, żeby osłonić oczy przed słońcem, ale i dlatego, że cień tuszowała nieco zmarszczki na twarzy, a w Rafaelli wciąż tkwiła odrobina próżności.

- Opowiadaj o sobie, Jake. Jest ktoś w twoim życiu? Ożeniłeś się? Masz dzieci?

Jake'owi nagle przypomniała się Franny, jej jasne włosy, łagodny, niewinny uśmiech i oczy jak błękitne klejnoty. Po raz pierwszy nie pomyślał automatycznie o Amandzie i zaskoczyła go siła uczucia do Franny. Mimo to wzruszył ramionami.

- Jakoś nie widać nikogo, zwłaszcza dzieci. Zresztą wiesz, że nadal kocham się tylko w tobie, Raffaello.

Roześmiała się razem z Jakiem. Żart sprawił jej widoczną przyjemność.

- Któregoś dnia kogoś znajdziesz, zobaczysz.

Jake rozejrzał się wokół i westchnął z zachwytem.

- Dla chłopca takiego jak ja, który nigdy nie miał prawdziwego domu, wy, Martenowie, byliście wymarzoną rodziną. Tu znalazłem wszystko, czego potrzebowałem i przez jakiś czas pozwoliliście mi być częścią was. To był najszczęśliwszy rok w całym moim życiu. Nigdy go nie zapomnę.

- No tak, Martenowie z ich *chateau* i słynnymi winnicami w Prowansji, z apartamentem w Paryżu i willą na Lazurowym Wybrzeżu... Jesteśmy bardzo dumni ze swojej historii. Znasz pewnie takie mądre powiedzenie: duma zawsze poprzedza upadek. - Westchnęła głęboko. - Czasami myślę, że byłoby lepiej, gdybym w ogóle nie znała słowa: duma. Właśnie dlatego schowałam ją do kieszeni i zaprosiłam synów, żeby wreszcie rodzina mogła się pojednać. Choć nie tak wiele tej rodziny zostało, zwłaszcza gdy odszedł Felix. - Głos Raffaelli łamał się, ale nie chciała płakać przy gościu.

- Przynoszę też dobre nowiny - zmienił temat Jake. Uśmiechnął się gdy uniosła brwi i spojrzała mu w oczy. - Masz wnuczkę, Raffaello.

Patrzyła z osłupieniem.

- Niemożliwe! - Jake wciąż się uśmiechał, pojęta więc, że to prawda. Rozpacz z powodu śmierci Feliksa, ciężąca jak głaz, wydała się jakby odrobinę lżejsza. Raffaella uśmiechnęła się nieśmiało.

To był ten sam uśmiech, który Jake pamiętał sprzed lat. Jej twarz rozjaśniła się, odmłodziła, znów wydawała się piękna.

- Wnuczkę! - krzyknęła. - Gdzie ona jest? Czyje to dziecko? Powiedz mi o niej coś więcej. - Już zaczynała snuć plany. - Oczywiście musimy ją tu sprowadzić, żeby mogła rozpieszczać i uczyć winiarstwa swoje małżeństwo. - Rozpogodziona, patrzyła wyczekująco na Jake'a.

- Jest Chinką i nazywa się Shao Lan - wyjaśnił. - Można to przetłumaczyć jako „Błękitka”. Dostała takie imię, bo ma niebieskie oczy, takie jak twoje. To bez wątpienia Martenówna. Ma dziesięć lat i mieszka w bardzo złych warunkach, z chorą babcią, w Szanghaju. Nie wiemy tylko jednego: który z twoich synów jest jej ojcem. Felix trochę jej pomagał, ale bardzo niewiele. Nie otoczył małej luksusem. Nie wyglądało to na opiekę, jakiej można by się spodziewać po ojcu. A Alain, oczywiście, nie wykazał żadnego zainteresowania.

Rafaella знаła swoich synów. Pokiwała głową.

- Felix zawsze był snobem. Wolałby wyrzec się radości wychowywania własnego dziecka, niż przyznać się do kompromitującego stosunku z ubogą Chiną. Ach, Feliksie, ile straciłeś. - Znow uśmiechnęła się do Jake'a. - Ale teraz kolej na mnie. Powitam wnuczkę w *chdteau*.

Haigh przystanął za pędami glicynii. Słyszał, jak Jake mówił Rafaelli o wnuczce. Odetchnął z ulgą, dziękując Bogu, że dopomógł jego starej przyjaciółce, bo po śmierci Feliksa i zniknięciu Alaina wyglądało na to, że w ogóle nie dojdzie do rodzinnego spotkania.

Podchodząc, odchrząknął, żeby ich nie zaskoczyć.

- Jeszcze szampana, madame? Wyjął butelkę Kruga z kubełka z lodem, owinał w białą serwetę i napełnił wysokie kieliszki. Podał je obojgu-

- Nalej i sobie - zaproponowała życzliwie Rafaela. - Trzeba uczcić okazję, mam wnuczkę!

Od razu przeszła do dzieła. Uznała, że trzeba już teraz, niezwłocznie wysłać jej zaproszenie do *chdteau*, a zaraz potem, patrząc Jake'owi w oczy, powiedziała:

- No, a teraz mów, Jake, co to za zła nowina.

Był zaskoczony.

- Skąd wiedziałas, że mam i złą nowinę?

Uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Za dobrze cię znam, mój drogi. Bardzo mi przypominasz swojego ojca. No, dalej, o co chodzi.

- Nie wierzę w samobójstwo Feliksa - wyjaśnił. - Sądzę, że został zabity.

Rafaella przez moment nie mogła złapać tchu.

- Myślisz, że został zamordowany?

- Na to wygląda. Ale potrzebuję więcej czasu albo dobrego detektywa, żeby uzyskać pewność.

- Co z Alainem? - Podświadomie połączyła myśl o morderstwie ze swoim drugim synem.

Jake odnotował to spostrzeżenie, ale powstrzymał się od komentarza.

- Felix kłamał, kiedy rozmawiał ze mną o Alainie. Przez cały czas śledził ruchy brata. Moi ludzie odtworzyli wędrówkę Alaina przez Wietnam i Kambodżę, ale on sam zniknął bez śladu. Może go nawet wcale nie odnajdziemy i nie dowiemy się, co się z nim naprawdę stało.

- Ale... - zaczęła Rafaella.

Domyślił się, że chciała wiedzieć, dlaczego on sądzi, że Felix został zamordowany. Uniósł rękę.

- Proszę, nie pytaj - przerwał Rafaelli. - Lepiej zostawić tę sprawę. - Ale mówiąc to, już wiedział, że sam nie spocznie, póki nie odnajdzie Alaina i nie dowie się całej prawdy o śmierci Feliksa.

Rozdział 20

Kiedy specjalny kurier przywiózł zaproszenie dla Shao Lan, dziewczynka najpierw postanowiła nie otwierać drzwi. Ze strachu, że to właściciel znów chce je wyrzucić z mieszkania. „Mieszkanie” składało się z jednego małego pokoiku, przedzielonego przez Shao Lan parawanem z bambusowych prętów i kawałka czerwonego materiału. Wnętrze zyskało dzięki temu pozornie radosny klimat i Shao Lan bardzo się to spodobało. Teraz udawała po prostu, że nie słyszy pukania. Pobiegła do sypialnej części pokoju z kolacją dla chorej babci - miseczką bulionu z kury, ryżowym ciasteczkiem i gorącą herbatą w maleńkiej, zdobionej błękitem filiżance w kształcie połówki jaja. Postawiła tacę na chwiejnym stolczku przy łóżku.

- Babciu, twoja kolacja i lekarstwa - powiedziała w dialekcie Szanghajskim.

Babcia знаła tylko szanghajski, ale Shao Lan porozumiewała się też w kantońskim i mandaryńskim, a także mówiła trochę po angielsku, którego uczyła się w szkole. Potrafiła również płynnie przeklinać we wszystkich tych językach, tak jak każde dziecko w jej biednej dzielnicy.

Bao Chu słabo machnęła ręką na znak, że nie chce zupy. Z trudem usiadła, sięgnęła po tabletki, włożyła dwie do ust i popiła herbatą. Znow położyła się, z zamkniętymi oczami, ciężko dysząc.

Z każdego kąta gospodarstwa wyzierała rozpaczliwa bieda. Skromny pokoiik był uprzątnięty na tyle, na ile Shao Lan potrafiła godzić robienie porządków z nauką w szkole, staraniami o dobre stopnie i doglądaniem chorej babci.

Bieda i rozpacz wycisnęła piętno powagi na trójkątnej buzi dziesięcioletniej dziewczynki. Duże, niebieskie oczy, leciutko skośne w kącikach, co przypominało o chińskim pochodzeniu, były zawsze poważne; Shao Lan nigdy się nie uśmiechała. Nie miała powodu.

Dobrze znała codzienne kłopoty finansowe. Nigdy nie kupowała sobie nowych ubrań, nosiła tylko szkolne mundurki z drugiej albo i trzeciej ręki, które dostawała z towarzystw charytatywnych. Tak jak i prezenty na chiński Nowy Rok. Nigdy jednak nie było to coś, o czym marzyła, przestała

więc marzyć i skupiła się na tym, jak związać koniec z końcem. Oddychała z ulgą, gdy co miesiąc przychodził list z Bank of Shanghai. Przesłane dolary szły na opłatę za mieszkanie i na skromne utrzymanie. Choroba babci sprawiła jednak, że wydatki rosły. Shao Lan martwiła się skąd weźmie pieniądze na dalsze życie.

Często myślała o nieznanym ojcu. Zastanawiała się, czy on wie o jej istnieniu, a jeśli tak, dlaczego nigdy nie przyjechał. Mama umarła, kiedy Shao Lan się urodziła. Od tamtej pory jedyną bliską osobą dziewczynki była babcia; to ona nadała jej imię, które znaczy Błękitka, z racji zdumiewających, niebieskich oczu. Babcię nazwano Bao Chu, czyli Cenna Perła; a ponieważ kobieta nie miała na świecie absolutnie nic cennego, to niestosowne imię zawsze przyprawiało ją o wybuchy śmiechu.

Pukanie do drzwi ustało. Shao Lan wciąż siedziała przy łóżku. Chciała zapytać Bao Chu o ojca, bała się jednak przemowy, która zawsze następowała, gdy poruszała ten temat: nie ma żadnego ojca. Nigdy nie było i nie będzie, i niech się lepiej do tego przyzwyczai. Czasami Shao Lan podejrzewała nawet, że może to i prawda, a jej matka, jak Madonna, była dziewicą, co oznaczałoby, że ona sama jest kimś dziwnym.

Westchnęła, gdy babcia znów zaczęła kaszleć. Pochyliła się nad starszą z herbatą, ale kaszel trwał bez końca. Boże, nie daj jej umrzeć, błagała. Nie zostawiaj mnie samej na świecie.

Mignął jej w głowie obraz sierocińca z kratami w oknach. Zawsze jest tam zimno, a jedzenia jeszcze mniej niż tutaj. Wzdrygnęła się na myśl o tym, co czeka ją naprawdę. Zapewne ulica, życie w tekturowym pudle i żebranina, razem z innymi bezdomnymi. Albo robienie złych rzeczy z mężczyznami.

Kiedy znów rozległo się pukanie, podeszła do drzwi i zerknęła przez szparę. Zobaczyła mężczyznę z kopertą w ręce. Przywarła płasko do ściany, ale wtedy rozległo się jeszcze głośniejsze walenie.

- Hej! - wołał człowiek po drugiej stronie, bo wiedział, że Shao Lan jest w domu, i zdawał sobie sprawę, czego boją się biedni ludzie. - To nie jest wezwanie do sądu. Ani ponaglenie w sprawie komornego! Przyniosłem list z Francji.

Shao Lan bała się oddychać, żeby jej nie usłyszał. Nie mają nikogo w Francji, więc liczyła na to, że posłaniec po prostu sobie pójdzie. Ale ciekawość wzięła górę. Dziewczynka w końcu uchyliła drzwi. Mężczyzna wetknął kopertę w szparę.

- Podpisz tu - powiedział.

Zakłęta, przerażona, odrzuciła kopertę z powrotem i próbowała zatrzaskać drzwi.

Odpowiedział wiązanką Szanghajskich przekleństw. Tłumaczył, że powinna tylko podpisać papier, z którego wynika, że otrzymała list. Shao Lan z wahaniem otworzyła drzwi i podpisała się na podsunętej kartce. Miała nadzieję, że nie robi nic złego.

List był zaadresowany do Bao Chu.

- Patrz, babciu - powiedziała. - To do ciebie. - Kiedy Bao Chu odprawiła ją słabym ruchem ręki, dziewczynka dodała: - Z Francji.

Kobieta nagle podniosła głowę. Z trudem podciągnęła się i oparła o przeponą poduszkę, odgarnęła czarne włosy z rozpalonej twarzy.

- Otwórz - poleciła. - Przeczytaj.

Shao Lan posłusznie zrobiła, co jej kazano.

- Och, babciu! - krzyknęła. Jej buzia rozpromieniła się w szerokim uśmiechu. - Pomyśl tylko, zapraszają nas do Francji, na rodzinne spotkanie. Nigdy mi nie mówiłaś, że mamy rodzinę.

- I nigdy bym nie powiedziała, gdyby nie ten list. - Bao Chu wiedziała, że zaproszenie jest jedyną szansą dla wnuczki. I że oznacza rozstanie z dziewczynką na zawsze. - Pojedziesz do Francji, Shao Lan. Sama - stwierdziła stanowczo.

Równie dobrze mogłaby wysłać ją księżyc. Shao Lan otworzyła usta.

- Sama - szepnęła przestraszona, bo mały kawałek Szanghaju był dotychczas jedynym znanym jej światem. - Dlaczego?

- Pora, żebyś poznała swojego ojca. - Bao Chu znów się rozkaszała.

Shao Lan zdawała sobie sprawę, że babcia jest zbyt chora, żeby chociaż wyjść z domu. Rozpłakała się ze strachu na myśl o samotnej podróży do obcego kraju. Poza tym jeśli pojedzie, może już nigdy w życiu nie zobaczyć babci.

Część 2

Przygotowania

*Życie to labirynt, w którym skręcamy w niewłaściwą stronę,
zanim jeszcze nauczymy się chodzić.*

CyrilConnolly

Rozdział 21

Clare po powrocie z Atlanty zamieszkała w Shutters Hotel, nad plażą w Santa Monica. Franny spędzała z nią niemal cały wolny czas od dnia pierwszego spotkania i uważała, że wie o niej wszystko. Nigdy jeszcze żadna przyjaciółka nie była jej tak bliska.

Usiłowały właśnie zapanować nad straszliwym chaosem w pokoju Clare.

- Musisz zafundować sobie wielki apartament, żeby to pomieścić. - Franny patrzyła na ubrania wylewające się z garderoby na łóżko, krzesła, a nawet na podłogę.

Clare przerwała ustawianie wokół pokoju kilkudziesięciu par butów. Rozejrzała się i wzięła pod boki.

- Mogłabym otworzyć sklep - stwierdziła, szczerząc zęby. - Tylko że bez ciuchów jestem niczym; po prostu kolejną babą w dołku rozwodowym.

Franny podniosła na nią wzrok.

- Och, daj spokój. Nie mówmy o tym.

Clare obrzuciła lekceważącym spojrzeniem swój dobytek i z uśmiechem wzruszyła ramionami.

- Chodź, kochanie, zapraszam cię na lunch.

W hotelowej kawiarni na plaży wpadły w tłum eleganckich kobiet.

- Tylko popatrz. - Clare przyglądała się Franny spod przymrużonych powiek i w myślach zmieniała jej wizerunek. - Mogłabyś być taka sama, jak one.

Franny parsknęła śmiechem i pociągnęła mrozoną lemoniadę przez słomkę.

- Nie jestem taka jak one i nigdy nie będę.

- Na tym właśnie polega twój problem. - Clare z właściwym sobie wilczym apetytem zabrała się do sałatki z kurczaka. - Nie wyglądasz

nawet na to, kim jesteś teraz, tylko wciąż jak dziewczynka, którą byłaś dziesięć lat temu.

- Owszem, jestem panienką z Oregonu - przytaknęła spokojnie. - Clare, przestań, dobrze? Nigdy nie zrobisz światowej damy z obecnej tu pani weterynarz. - Wskazała palcem na siebie.

- Kochanie, przecież jesteś dorosłą kobietą. Po prostu o tym nie wiesz.

- Zapewniam cię, że wiem! Musiałam być dorosła od chwili, gdy skończyłam siedemnaście lat. Psychoterapeuta powiedziałby mi zapewne, że wciąż chcę być tą małą dziewczynką, którą byłam do śmierci ojca.

- No, w każdym razie nie możesz tak jechać do *chateau*. Pozbądź się przynajmniej tego mysiego ogonka.

Franny obronnym ruchem chwyciła swój jasny warkocz.

- Mam go od lat i nie zamierzam się z nim rozstać.

Clare przechyliła się przez stół, chwyciła warkocz Franny, zwinęła go i przytrzymała wysoko.

- Teraz wyglądasz jak kobieta, którą jesteś - powiedziała.

Franny energicznie potrząsnęła głową, aż włosy rozsypały się jej na ramiona.

- Nawet jeśli zmienisz mój wygląd, w środku i tak zostanę taka sama. Chłopczyca w traperkach, obciętych džinsach i podkoszulku, weterynarz w białym kitlu, baba w klapkach i klipsach z taniego sklepiku. - Westchnęła. - Żaden ciuch ani fryzura nie zmienia tego, co we mnie tkwi.

Clare wzięła głęboki oddech, skreślając w myślach planowaną wyprawę na zakupy do Freda Segala, gdzie za pomocą swojej czarodziejskiej różdżki i sporej sumy pieniędzy zamierzała przemienić przyjaciółkę w inną kobietę.

- Poza tym nie chcę, żeby moja rodzina odniosła mylne wrażenie - ciągnęła Franny. - Jestem, jaka jestem, i taką mnie będą mieli. - Związała warkocz gumką z plastikowym kwiatkiem. - Zrozum, nigdy nie zostanę seksownym kociaczkiem. - Zaśmiała się.

Clare popijała herbatkę z mango.

- Hm, seksowny kociaczek. Tak właśnie traktował cię Marcus?

- Clare! - zawołała obruszona Franny. Marcus był tematem tabu.

- Wiesz chyba, że potrafił być nieco perwersyjny - powiedziała z lekką złośliwością. - Lubił poprobować wszystkiego.

- I ty się na to godziłaś? - Franny ze zdziwienia miała oczy jak spodki. Lubiła seks z Marcusem, ale ich zbliżenia nigdy nie odbiegały od normy.

- Robiliśmy różne rzeczy - przyznała Clare. - Łącznie z trójkącikiem.

- Roześmiała się na widok oszołomionej Franny i lekko wzruszyła pięć-

nym, nagim ramieniem. - Marcus to lubił. Ja udawałam przed sobą, że to film porno. Wiesz, taki, na którym im zawsze seks wychodzi lepiej, niż każdemu z oglądających. - Znow wzduszyła ramionami i wyszczyła resztkę mrożonej herbaty. - Ha! Okazało się, że to chłam i tandeta. Dużo błysku i nic w środku. W każdym razie dla mnie. - Clare zaśmiała się gdy Franny wciąż patrzyła ze zdziwieniem. - Faktem jest, moja droga, że lubię mieć w łóżku chłopca, a nie babę.

- Och, dzięki Bogu. - Franny odetchnęła z ulgą i obie wybuchnęły śmiechem.

Clare dała znak kelnerowi.

- Kłopot z facetami polega na tym, że po kilku tygodniach znoszenia ich dziwactw mówię, co czuję naprawdę, i... bang! Koniec romansu.

- Doskonale cię rozumiem. - Franny spojrzała niepewnie na przyjaciółkę. - Och, Clare, znow to zrobiłam.

Clare nie musiała pytać, o czym mowa. Wystarczyło popatrzeć na pełen winy wyraz twarzy Franny. Westchnęła, zastanawiając się, kiedy jej przyjaciółka wreszcie się czegoś nauczy. Ale Bóg tylko wie, ile czasu jej samej zajęła ta nauka.

- Żonaty - strzeliła prosto z mostu.

- Był. Powiedział, że jego żona nie żyje.

- Proszę! Coś nowego.

- Och, nie. Wierzę mu.

- A to dlaczego? - Clare była niewzruszona.

- Noo... - Franny zawahała się. Pamiętała, co Jake mówił jej o sobie. Dlaczego właściwie mu ufa? - To jest tak jak z psami - wyjaśniła w końcu. - Po prostu czujesz, który jest dobry.

- Skoro tak, to dlaczego nigdy o nim nie słyszałam? Jak na niego trafiłaś? I gdzie się podział?

- Przyszedł do kliniki. Potem zadzwonił i zaproponował wspólną kolację. Zgodziłam się. Przyjechaliśmy do mnie do domu i zaprosiłam go na herbatę. Potknął się na obłuzowanej desce i skręcił kostkę.

Clare jęknęła.

- Musisz przybić tę cholerną deskę, bo jeszcze ktoś cię poda do sądu. Czyżby on? Pozwał cię?

- Nie. Choć... jakby to powiedzieć. Chodzi o to, Clare... - Franny urwała, zarumieniona.

- Spałaś z nim na pierwszej randce?

Franny kiwnęła głową.

- I tak samo było z Marcusem?

Znow kiwnięcie głową. Clare westchnęła.

- Fatalny nawyk moja droga. Musisz przestać. - Podniosła dłoń, kiedy Franny otworzyła usta. - Nie, nie. Nie mów mi... Nie zadzwonił i już go więcej nie widziałas. Kochanie, a czego się spodziewałaś? Romansu na całe życie po jednej kolacji i małym bara-bara? Och, Franny, sama się pakujesz w kłopoty.

- Przysłał mi kwiaty - broniła się Franny.

- Och, wielkie mi coś. Hej, dzięki za ciepłe łóżeczko i do zobaczenia. - Przerwała na widok załosnej miny Franny. - Okay, obiecay mi chociaż jedno. Następnym razem zatrzymasz się i pomyślisz chwilkę, zanim wskoczysz do łóżka z nieznanym facetem. Wierz mi, będziesz szczęśliwsza. I jeśli cię to pocieszy, mówię z własnego doświadczenia. Poza tym - dodała życzliwie - nikt nie chce dorobić się opinii zdziiry, prawda?

- Nie jestem zdziirą - oburzyła się Franny.

- Więc, kochanie, nie zachowuj się, jakbyś nią była. Radzę ci po przyjacielsku.

- Wiem. - Franny spokorniała. - Mam swój honor. Żadnych mężczyzn, chyba że sama sobie wybiorę, i żadnego seksu, póki to ja nie podejmę decyzji.

Popatrzyły na siebie w milczeniu. Franny pomyślała o podróży do Francji. Żałowała, że musi rozstać się z Clare.

- Będę za tobą tęsknić - powiedziała Clare i przechyliła się, by poklepać dłoń Franny. - Jesteśmy jak towarzysze broni zjednoczeni przeciw wspólnemu wrogowi.

- Tak - znów zgodziła się Franny. Ogarnęło ją trudne do zniesienia poczucie samotności. - Clare - odezwała się z wahaniem. - Czy nie chciałabyś... bo właściwie czemu nie... nie pojechałabyś ze mną?

- Do Francji? Po pierwsze, nie jestem zaproszona.

- Ciotka Rafaella na pewno chętnie cię przyjmie. Mogę wysłać faks i spytać, czy nie ma nic przeciwko temu.

- Zrobiłabyś to? Dla mnie? - Clare ze wzruszenia mówiła przez ściśnięte gardło.

- Powiedz tylko tak - błagała Franny.

- Jestem mistrzem świata w pakowaniu rzeczy - odpowiedziała Clare i wybuchnęły tak głośnym śmiechem, aż obejrzało się kilka osób.

Nagle *chdteau* w Prowansji zajaśniało przed nimi jak szczęśliwa gwiazda. Nie mogły teraz przestać rozprawiać o nowych planach. W końcu Franny stwierdziła, że na nią pora.

Clare patrzyła, jak przyjaciółka idzie do wyjścia, śpiesząc, jak zawsze, do swoich zwierzaków. Franny szła długim, sprężystym krokiem, nieświadoma, jak seksownie kołyszę przy tym biodrami. Clare pomyślała,

że Franny jest niczym dobrze strzeżona tajemnica: cudowna kobieta pod niepozorną powierzchownością.

Była pełna podziwu dla jej prawości i konsekwencji. Nic z Kopciuszka. Franny wie, kim jest, choć może nie jest całkiem pewna, kim mogłaby być, wyłączając oczywiście to, co dotyczy pracy ze zwierzętami. Gorzej rzecz się przedstawia, jeśli chodzi o mężczyzn. Niepewność nie zaprowadziła jej daleko w związku z Marcusem, ale przecież i Clare nie osiągnęła więcej, choć starała się przez całe lata.

Kelner napełnił szklankę herbatą z mango. Clare melancholijnie zapatrzyła się w przestrzeń. Myślała o przeszłości i o tym, co przyniesie nieokreślona przyszłość. Gnębiło ją, że nie była do końca szczerą z Franny.

Rozwód. To słowo brzmiało jej cały czas w głowie. Dolly Parton napisała taką piosenkę. Tak, ta zna się na mężczyznach. I doskonale wie, o czym mówi. Co za charakter, pomyślała z podziwem Clare. Tylko kobieta pewna swojej wartości może tak wyglądać.

Clare skończyła przed kilkoma miesiącami trzydzieści pięć lat. Uświadomiła sobie wtedy, że życie pędzi naprzód, a ona mnóstwo z niego traci przez swoje uwiązanie do tego niewiernego dupka Marcusa - i to spostrzeżenie sprawiło, że w końcu go rzuciła.

Można robić w życiu wiele innych rzeczy, uznała, niż grzęznąć przy Marcusie. Kiedyś ślub z nim wydawał się bezpieczną przystanią, uchronił ją przed coraz trudniejszym życiem.

Clare westchnęła. Była po prostu głupim dzieciakiem z małego miasteczka w Georgii i marzyła tylko o tym, czego nie tak dawno radziła szukać Franny: o prawdziwym facecie, który pokochałby ją na całe życie.

A co dałaby w zamian komuś takiemu? Co ma do zaoferowania prawdziwemu mężczyźnie? Wypchaną szafę? Radosną postawę, choć w rzeczywistości liże rany po rozwodzie?

Dopiła herbatę i zapłaciła, dodając suty napiwek. Wiedziała, że większość kelnerek pracuje tu po to, by czymś się zająć w oczekiwaniu na „prawdziwe życie”, a poza tym wierzyła w „karmę”, niewielkie dobre uczynki. Co by było, gdybym musiała im powiedzieć, że nie istnieje żadne „prawdziwe życie”, myślała, idąc powoli do wyjścia i dziękując im ruchem ręki. „Słuchajcie, dziewczyny, to jest wszystko, co macie, i radzę wam, wykorzystajcie to jak najlepiej”. Ciekawe, czy uwierzyłyby jej, czy dalej snuły marzenia?

Nacisnęła przycisk windy i weszła do środka, sama. W pokoju, znów sama, postanowiła spakować się przed wyjazdem do Prowansji. Nie lubiła tego „sama”. To słowo przyprawiało ją o dreszcz.

Pomyślała o *chateau* i starej kobiecie, która chce zebrać całą swoją rodzinę. Zastanawiała się, kogo tam spotka. Nastrój poprawiał się jej z minuty na minutę - zawsze lubiła przygody, a to było coś zupełnie wyjątkowego: nowe twarze, nowe miejsca, wszystko nowe i tak dalekie od jej przeszłości.

Podśpiewywała, wrzucając ubrania do eleganckiej walizki.

Potem padła na łóżko. Machała nogami w powietrzu.

- Hura! - krzyknęła. - Za tydzień o tej porze będę we Francji!

W drodze do domu Franny myślała o rozmowie z Clare. Zatrzymała się przy małym butik, kupiła śliczną jedwabną spódnicę, żółtą w drobne, niebieskie kwiatki i kilka podkoszulek. Do tego szorty i sandały z paskami ozdobionymi turkusowymi koralikami. Zajrzała na drugą stronę ulicy, do sklepu z szyldem *Only Hearts* i wybrała szykowną bieliznę - tylko na wypadek gdybym miała zostać dłużej, uśmiechnęła się do siebie. Zakupy uszczupliły jej skromne oszczędności, ale Clare miała rację. Nie może składać wizyty ciotce i wyglądać jak uboga krewna. A poza tym, do diabła, pierwszy raz w życiu jedzie na prawdziwe wakacje. Za tydzień leci do Paryża!

Rozdział 22

WCafe des Colombes Rafaella czekała na Scotta Harrisa, z którym jak co tydzień miała zjeść biznes lunch. Spotkania z zarządcą dóbr Martenów zawsze sprawiały jej przyjemność.

Harris miał ogromną wiedzę na temat uprawy winorośli, był ponadto atrakcyjnym i zabawnym człowiekiem, co zawsze ją ujmowało. Poza tym sprawiał, że znów czuła się młoda.

Usiadła jak zwykle przy stoliku obok przeszklonych drzwi na taras, ocieniony winoroślą, z widokiem na kościół i piaszczysty plac do gry w *pentaque* pod platanami, gdzie w chłodzie wieczoru mężczyźni z miasteczka oddają się zawziętej rywalizacji. Psy padły obok, dysząc ciężko, słońce rzucało głębokie cienie pod arkady, gdzie sklepik Alliera był już zamknięty na lunch. Spizowy dzwon z klasztoru św. Sylwestra wybijał godzinę. Życie w Marten de Provence toczyło się zwykłym torem, wolno, słodko i leniwie.

Laurent Jarre zarzucił na stół różowy obrus i postawił butelkę rosę z własnej winnicy, dodał bagietkę i spodeczek świeżej oliwy do maczania.

Laurent był synem pierwszego właściciela kawiarni. Wysoki, atrakcyjny mężczyzna z oliwkową cerą, wielką czupryną gęstych, ciemnych włosów i sterczącymi wąsami, miał oczy jak czarne, lśniąco oliwki. Niezmienne nosił białą koszulę bez kołnierzyka, czarne spodnie i nieskazitelnie biały fartuch, luźno zawiązany wokół bioder.

Rafaella mówiła o nim Cygan, a Laurent przyznawał, że gdzieś w jego rodzinie musiała się trafić domieszka cygańskiej krwi. Wyglądał na człowieka, z którym nie ma żartów, ale Rafaella wiedziała, że w rzeczywistości tkwi w nim delikatna natura. Stracił żonę kilka lat temu i od tamtej pory żył samotnie.

Jak co tydzień, spytała go, czy nie wypatrzył sobie w wiosce albo sąsiednim miasteczku odpowiedniej kandydatki na żonę.

- Jesteś jeszcze młody - stwierdziła surowo. - Powinieneś mieć w życiu kobietę.

Odpowiedział, że na razie nikt nie wpadł mu w oko.

- Będę musiał chyba wybrać się do Paryża poszukać żony - dodał ponuro.

- Przecież nigdy nie byłeś w Paryżu - odparła zdumiona. Wiedziała, że Laurent nie ruszył się w życiu dalej niż do Marsylii, a i to dawno temu. - Jak możesz tam kogoś poznać? Co będziesz robił całymi dniami?

Popatrzył na nią zdumionymi czarnymi oczami. Nigdy się nad tym nie zastanawiał.

- No to nie pojedę - powiedział zażenowany, na co Rafaella przytaknęła, że chyba lepiej zostać na miejscu i tu poszukać szczęścia.

Odszedł po mięso dla psów. Rafaella odwróciła się na stukot kopyt na bruku. Na placyk wjeżdżał Scott na swojej karej klaczy. Z podziwem patrzyła, jak z lekkością doświadczonego jeźdźca zarządca zeskakuje z siodła. Był szczupły i wysportowany, miał rudawozłote włosy i orzechowe oczy, ze zmarszczkami w kącikach od długich lat przebywania na słońcu. W dzinsach i cienkiej szarobłękitnej koszuli prezentował się znakomicie; Rafaella patrzyła na niego z przyjemnością.

Scott przywiązał klacz w zwykłym miejscu pod platanami, tak żeby mogła dosięgnąć wody w korytku i podał jej wyciągniętą z kieszeni marchewkę, którą gryzła głośno, parszcząc z zadowolenia. Louis i Mimi popędziły na powitanie. W innej kieszeni Scotta jak zwykle znalazły się ich ulubione przysmaki.

- Witam, jak leci, monsieur Jarre. - Scott potrząsał dłonią gospodarza. Mieszkał we wsi dopiero dziesięć lat i nie osiągnął jeszcze etapu, który upoważniałby go do mówienia monsieur Jarremu po imieniu.

Nachylił się i ucałował Rafaellę.

- Mmm, pachniesz jak letnie kwiaty - powiedział.
- Mimoza. Używam jej od lat. Poza tym, mówisz to za każdym razem.

- Poklepała krzesło obok. - Chodź, *mon cher ami*, siadaj i napij się wina. Jarre nalał Scottowi kieliszek rosę i uważnie przyglądała się, jak gość najpierw wącha owocowy bukiet, potem próbuje trunku. Wino pochodziło z jego własnej maleńkiej winnicy na niewielkim wzgórzu przy drodze na zachód od wioski i Jarre z niepokojem czekał na opinię profesjonalisty.

- Monsieur Jarre robi pan najlepsze rosę w okolicy - oznajmił Scott. Laurent aż wydał policzki z zadowolenia.

Rafaella włożyła na lunch białą płócienną spódnicę i dopasowany do niej żakiet z szerokimi klapami, z lat siedemdziesiątych. Dobrała do tego sandałki z błękitnymi paseczkami, eksponujące polakierowane na czerwono paznokcie, i wisiorek z błękitnego szkła, który kupiła w Wenecji dawniej, niż chciałyby pamiętać. Srebrne włosy szesała do tyłu i mimo swojego wieku wyglądała prześlicznie.

- Szefowo, jest pani diabelnie zachwycająca - stwierdził Scott z uśmiechem.

- Ty też prezentujesz się nie najgorzej - odparła Rafaella.

Szczerze mówiąc, ich cotygodniowe spotkania wcale nie były potrzebne; ufała Scottowi bezgranicznie, ale oboje dbali o zachowanie pozorów, że właścicielka na bieżąco otrzymuje informacje o stanie interesów. On pytał ją o opinię na temat sadzenia nowych szczepów, o to, czy spróbować w przyszłym roku posadzić Chardonnay na wschodnim wzgórzu albo dlaczego grona tak późno dojrzewają - czyżby z powodu obfitych deszczów wiosną? - a ona udzielała fachowych odpowiedzi.

Przez obrośniętą winoroślą pergolę nad tarasem kafejki oślepiające światło słońca docierało w postaci miłego, delikatnego blasku; Jarre przyniósł do spróbowania półmisek młodych, cienkich szparagów, potem Rafaella zamówiła jak zwykle omlet z pieczarkami, a Scott ulubiony befszyk z frytkami. Rafaella nie byłaby jednak sobą, gdyby niezależnie od rozmów o interesach nie spytała Scotta o jego życie emocjonalne.

- Ma pani na myśli jego brak - odpowiedział z uśmiechem.

- Ktoś taki jak ty - odparła zamyślona, podnosząc do ust cienki pęd szparaga - przystojny, inteligentny, mądry, z dużą pozycją w winiarstwie, to świetna partia.

- Och, ja się do tego nie nadaję. Za dużo mam zajęć, żeby jakaś kobieta zdołała mnie uwiązać.

- A nie kusi cię nigdy myśl o tym, że po pracy mogłaby na ciebie czekać piękna dziewczyna? Ktoś bliski? Kochanka? A prawdziwy dom z wia-

nuszkami dzieci, które czepiałyby się twoich kolan i wołały „tato”, kiedy wracałbyś do nich wieczorem? Psy szczekają na powitanie, z salonu słychać muzykę, ktoś nalewa wino, a z kuchni dochodzą smakowite zapachy. To chyba do ciebie przemawia? - Popatrzyła na niego z uwagą. - Chyba że jesteś gejem. A nawet jeżeli, to są tu w okolicy czarujący mężczyźni. Spotkałeś ich chyba?

Scott odstawił kieliszek. Nachylił się przez stół i spojrzął jej w twarz.

- Nie jestem gejem, Raffaello - oznajmił stanowczo. - Ani nie szukam żony. Tym bardziej nie chcę mieć dzieci. Jestem wolnym człowiekiem, takie życie wybrałem i takie mam zamiar dalej prowadzić. Konie i psy mi wystarczą - dodał, nadziewając na widelec kawałek steku.

Rafaella rzuciła okiem na karą klacz uwiązaną pod platanami na placu. Koń pociągnął właśnie potężny łyk wody z korytka i gwałtownie potrząsał łbem, rozrzucając krople na śpiące obok wiejskie psy, które z oburzeniem podniosły głowy, po czym położyły je z powrotem. Wiedziała, że Scott nigdy nie siada za kierownicę swojego jeeпа, jeżeli może gdzieś dojechać konno.

- Przyrosłeś do tego konia nogami - mruknęła gderliwym tonem.

- Powiedziałbym, że raczej tyłkiem - przytaknęła pogodnie. - Ale, ale, czy wszystko gotowe na rodzinne spotkanie? Cała wieś aż huczy, na dośki chodzą wieści, że ma przyjechać Jake Bronson.

Westchnęła.

- Nic się przed nimi nie ukryje. Mnóstwo ludzi tutaj znało jego ojca.

- Kochanka. - Scott sięgnął po kolejne frytki i napełnił kieliszek Raffaelli.

Zabrała mu jedną frytkę z talerza.

- Chyba nigdy nie zapomną mi tego skandalu.

- A niby czemu? Dla mnie to romans idealny.

- Miło słyszeć te słowa z ust eksperta. A czemuż nie idziesz w moje ślady i też nie zafundujesz sobie romansu? - Uśmiechnęła się, patrząc mu w oczy.

- Och, nie żyję w celibacie. Po prostu nie nadaję się do udomowienia.

- Co lepsi są właśnie tacy - odpowiedziała ze śmiechem. - Ale obiecałeś, że przyjdiesz - dodała niespokojnie. - Należysz do rodziny, Scott. Jesteś zawsze przy mnie, pomagasz, trzymasz mnie i całą firmę przy życiu.

W orzechowych oczach błysnął uśmiešek.

- Może powinienem mówić *maman* zamiast Raffaella.

- Mów, jak chcesz, byłeś nie nazywał mnie głupią geśią.

- Nigdy. - Scott nagle spowaźniał. - W żadnym wypadku nie opuściłbym spotkania.

Kiedy skończyli lunch, podjechał Haigh małym peugeotem. Rzadko pozwalał sobie prowadzić bentleya należącego do Rafaelli. To auto, pochodzące z 1962 roku, było zarezerwowane na szczególne okazje. Sam osobiście polerował je na wysoki połysk, a ostatni raz używali go dwa lata temu, kiedy w firmie odbywało się przyjęcie.

- Jak leci, Haigh? - Scott wstał, żeby uściśnąć dłoń kamerdynera, który wyglądał teraz zupełnie inaczej, ubrany w różową koszulę i białe płócienne spodnie, czyli swój letni strój nieoficjalny. - Ruszam, Rafaello - powiedział i złożył pocałunek na jej miękkim policzku.

Została z plikiem danych do przeanalizowania i uśmiechem na twarzy.

Patrzyła, jak Scott odchodzi z nonszalancją i pewnością siebie człowieka, który spędza czas na świeżym powietrzu, jak lekko wskakuje na konia; wspaniale wyglądał z rudozłotą czupryną błyszczącą w słońcu. Czasami żałowała, że to nie on jest jej synem.

Kiedy wychodzili, Laurent Jarre stał przed kawiarnią. Patrzył, jak odjeżdżają i zastanawiał się smętnie, czy Rafaella czuje się równie samotna, jak on.

A sprzed swojego małego sklepiku obserwowała ich mademoiselle Doritee, wciąż niezamężna mimo czterdziestu pięciu lat, z kręconymi włosami sterczącymi na wszystkie strony i zielonymi oczami, które wilgotniały za grubymi okularami. Oglądała się z zachwytem za Haighiem. Cóż za wspaniały materiał na męża dla jakiejś szczęściary, pomyślała niewinnie.

Rozdział 23

Juliette nie miała kłopotów z pakowaniem - zabierała po prostu wszystko. Płaszczki kąpielowe, pareo i stroje plażowe powędrowały do jednej torby, bielizna do drugiej, jedwabne suknie cocktailowe do trzeciej. Jeden czy dwa kostiumy, na wypadek gdyby musiała wyskoczyć do Paryża na kilka wieczorów i kilka balowych sukien, jeśli Rafaella pójdzie na całość i urządzi rzeczywiście wielką galę. Kapelusze - w Prowansji zawsze potrzebne, żeby chronić twarz przed słońcem, ukryć zmarszczki i żeby ten paskudny wiatr nie rozwiewał włosów dookoła głowy. Jeszcze osobne, specjalne pudło na buty; aksamitne i aksamitne saszetki na bieliznę. Neseserek z kosmetykami, bez których nie pokazałaby się nikomu na oczy. I oczywiście trzy luksusowe podróżne klatki od Yuittona dla

szpiców na czas podróży do Marsylii. Na szczęście Jake Bronson zadzwonił i zaproponował, że zabierze ją swoim prywatnym samolotem.

Następną rzeczą były zakupy. Juliette pojechała po prezenty, ponieważ w równym stopniu lubiła obdarowywać, jak i dostawać upominki. Udała się wprost do Barneya, gdzie wybrała kilka kaszmirowych swetrów dla Rafaelli, niebieskich pod kolor jej oczu. Przy okazji kupiła też sweter dla Jake'a, tym razem czerwony, gdyż uznała, że młodego Bronsona trzeba ożywić, wyrwać ze skorupy samotności i przywrócić światu, a czerwień mogła okazać się w tej sytuacji stosownym kolorem.

Wpadła jeszcze do Tiffany'ego, wypatrzyła tam srebrną bransoletkę z breloczkami w kształcie serca dla małej Shao Lan i parę pięknych, długich i seksownych srebrnych klipsów dla Franny. Jake powiedział, że to dziewczyna trochę w stylu dzieci kwiatów, pomyślała więc, że będą do niej pasowały. Nie zapomniała o Clare, której nikt nie znał, więc kupiła neutralny prezent - srebrne pióro.

Kolejny przystanek - Dunhill. Tu Juliette wybrała barwną jedwabną kamizelkę w tureckie wzory dla Haigha i ładny, jedwabny krawat w paski dla australijskiego zarządcy firmy.

Dziwne grono jak na „rodzinne” spotkanie, myślała, siedząc w taksówce w drodze do domu, obładowana paczkami. Daleka kuzynka z Ameryki, jej przyjaciółka, nieznaną chińska wnuczka, która jest albo nie jest dzieckiem Feliksa, syn Kochanka, młody rządca i ona, Juliette, stara przyjaciółka. Plus Haigh, oczywiście. Westchnęła, w nadziei, że dla dobra Rafaelli wszystko się jakoś uda.

Rozdział 24

Shao Lan siedziała przy szpitalnym łóżku. Bao Chu Ching, zawinięta po szyję w świeżą, białą pościel wyglądała na mniejszą niż kiedykolwiek. Oczy miała zamknięte, ale z twarzy, o dziwo, zniknął grymas bólu. Shao Lan pomyślała ze zdumieniem, że babcia przypomina małą dziewczynkę.

Shao Lan ubrana była w prostą szarą spódniczkę i białą koszulkę z krótkimi rękawkami. Stary płaszczyk leżał zwinięty na małej plastikowej walizce. Było w niej kilka zmian bielizny, czysta koszulka i dwie pary białych skarpetek. Lśniące czarne włosy, przycięte niedawno przez uczynną sąsiadkę, sterczały teraz zabawnie nad uszami. W rękę dziewczynki

tkwił bukiet czerwonych kwiatów kupionych dla babci; z przerażenia Shao Lan zaciskała je w dłoni coraz mocniej.

Usłyszała kroki, z niechęcią odwróciła głowę, wiedząc, co teraz nastąpi.

- Tu jesteś - powiedział człowiek z biura podróży i uśmiechnął się. - Gotowa do drogi?

Shao Lan jeszcze silniej ścisnęła łydźki, dopiero pielęgniarka w szelerszącym, białym fartuchu wyjęła kwiatki spomiędzy zeszywniałych palców dziesięcioletki.

- Włóż do wazonu, żeby babcia je zobaczyła, jak tylko się obudzi - powiedziała. - A teraz pożegnaj się. Pora jechać, żebyś zdążyła na samolot do Paryża, szczęściaro.

Szczęściara, pomyślała Shao Lan i pocałowała babcię na do widzenia. Wolałabym, żeby tej siostrze trafiło się takie szczęście. Nie chcę jechać do Francji. Nie chcę być u obcych ludzi, którzy uważają się za moją rodzinę. Nie chcę zostawiać babci.

- Do widzenia, babciu - wyszeptła posłusznie i pozwoliła wziąć się za rękę panu z biura podróży.

Siedziała cichutko obok niego w drodze na lotnisko. Przerażona patrzyła, jak nad głową kołują ogromne samoloty. Do tej pory samolot widziała tylko w postaci kropki na niebie. Mężczyzna zaparkował samochód, zabrał walizczkę i zaprowadził Shao Lan do strefy odlotów. Przy stanowisku kontroli paszportowej zawiesił dziewczynce na szyi laminowaną kartę na czarnym sznurku. Czarnymi literami wypisano na niej imię, nazwisko i cel podróży.

- Proszę - oznajmił wesoło, żeby ją troszkę podnieść na duchu. - Teraz każdy będzie wiedział, że nazywasz się Shao Lan i lecisz do Paryża.

Przeszli do poczekalni dla odlatujących i wtedy mężczyzna popatrzył niepewnie na stężoną twarzyczkę. Dziewczynka nie odezwała się ani słowem przez całą drogę i ani razu nie spojrzała na niego.

- Poczekaj tu chwilkę - powiedział i pobiegł do sklepu z upominkami. Wrócił po kilku minutach z torbą w ręce. - To dla ciebie, Shao Lan. Miłych wakacji. - Przekazał małą kobiecie w niebieskim mundurze. Z poczuciem spełnionego obowiązku i westchnieniem ulgi odszedł szybkim krokiem.

Nowa opiekunka posadziła Shao Lan na fotelu w pobliżu wyjścia do samolotu i kazała czekać. Dziewczynka bardzo chciała pójść do łazienki, ale wstrzymywała oddech, zaciskała pęcherz i rozglądała się dookoła. Wszyscy gdzieś się spieszyli. Nikt na nią nie spojrział. Shao Lan poczuła się bardzo samotna. Otworzyła torbę od pracownika biura podróży. Na drobnej buzi rozkwitł rzadko goszczący uśmiech, kiedy dziewczynka wy-

jęła białą owieczkę z mięciutkiej wełny. Była to zabawka, jaką kupuje się dla malutkich dzieci, ale Shao Lan nie zdążyła być maleńkim dzieckiem, zbyt szybko musiała wydorosnąć, i nigdy nie miała zabawek.

Przytuliła miękką i pachnącą owieczkę do twarzy, dotykała niebieskiej wstążeczki zawiązanej wokół szyi i uśmiechnęła się do pustych, niebieskich oczu.

- Nazwę cię Maleństwo i nigdy cię nie opuszczę - szepnęła. Ucałowała różowy noszek zabawki i pomyślała z nadzieją, że pani w mundurze wróci niedługo, bo Shao Lan naprawdę musi pójść do toalety.

Rozdział 25

Jake przebywał w swojej chacie w górach. Od dłuższego czasu usiłował zagonić Brudnego Harry'ego do przyczepki, ale koń miał własne zdanie. Cofał się, wierzgał w stronę Zbira, który jak prawdziwy pies pasterski podchodził z tyłu i chwycił go zębami za kopyta, próbując zapędzić na miejsce.

Jake, swobodny i odprężony, siedział na płocie, pogryzał źdźbło trawy i przyglądał się, jak przed jego oczami toczy się dobrze znana gra. Brudny Harry udawał narowistego ogiera, a Zbir - wiernego owczarka. Bardzo to obaj lubili; koń jak zwykle wreszcie da się poskromić i stukając kopytami, potulnie wejdzie do klatki. Zbir wiedząc, że zabawa skończona, wskoczy do szoferki starej, zielonej furgonetki, do której Jake już wcześniej umocował przyczepę. Zaczeka, aż pan zamknie drzwiczki i siądzie na fotelu kierowcy, po czym szczerkiem dostojnie na odjeździe.

Zwierzęta czuły, że wracają do stajni pod miasteczkiem. Wcale nie miały na to ochoty; nie chciały też rozstawać się z Jakiem, ale nauczyły się już, że wszystko ma swoje złe i dobre strony.

Zbir wykonał swoje zadanie, Jake zsunął się więc z płotu, sprawdził, czy z koniem wszystko w porządku, zamknął przyczepkę i usiadł za kierownicą. Zjeżdżali krętą drogą do miasteczka. Pies wysadził łeb przez okno; z uszami kłapiącymi na wietrze uważnie wypatrywał wszystkiego, co się rusza.

- To będzie wielka gala Zbirze - powiedziała głośno Jake, jak zawsze dzieląc się myślami z psem. Zawsze istnieje ryzyko, że samotnie mieszkający człowiek zacznie rozmawiać ze zwierzętami, ale ta sytuacja ma też swoje plusy, bo przynajmniej nikt w odpowiedzi nie pyskuje. - Tak

jest - odezwał się, spoglądając kątem oka na owczarka. - Szykuje się niezła zabawa. Rafaella znów w formie, piękna, czarująca, na nowo podbije wszystkie serca, łącznie z moim. Franny Marten będzie czuła się trochę dziwnie, dziecko kwiat zagubione we wspaniałościach rezydencji przodków. - Westchnął. - Kłopot w tym, przyjacielu, że naprawdę mi na niej zależy. Wiem, że to głupie po jednej nocy i tylu samotnych latach, ale tak wyszło. Tylko czy w ogóle jeszcze się do mnie odezwie? Nie wiem, czy zdołam się wytłumaczyć, ale sam rozumiesz, nie mogę jej powiedzieć po prostu: sprawdzałem cię przed spotkaniem z Rafaella.

Jeszcze Clare Marks - nic o niej nie wiadomo. No i Juliette. Cóż, Juliette to Juliette, hałaśliwa, szlachetna i zabawna.

I Haigh, który wszystkich nas ustawi, jak należy paroma krótkimi, ostrymi słowami. Plus przystojny australijski winiarz - ciekawe, czy Rafaella nie zamierza przypadkiem urządzić przy nim swojej amerykańskiej kuzyneczki i w ten sposób utrzymać firmę w rodzinie. Jeśli tak, szybko wkroczą do akcji.

No i na koniec mała Shao Lan, nieznana wnuczka, która znów uczyni Rafaellę szczęśliwą. A nad wszystkim - dodał poważnym tonem - będzie się unosił duch mojego drogiego ojca, czyli Kochanka.

Pies uznał, że Jake skończył, i znów wywiesił łeb za okno, wypatrując w lesie zajęcy, choć nawet gdyby któregoś zobaczył, skończyłoby się tylko na szczekaniu. Zbir zachowywał się bowiem bardzo dobrze, ale nie było to równoznaczne z dobrym wychowaniem, ponieważ robił dokładnie to, co chciał.

Jake zastanawiał się, czy Rafaella da mu jego dawny pokój, ten na drugim piętrze, który kiedyś zajmował jej ojciec. Wiosną było tam zupełnie ciemno, bo okno zasłaniała ogromna magnolia, wystawiająca do księżyca swoje efektowne, woskowe kwiaty. Rafaella mówiła, że roślina pachnie jak rajski ogród, ale to oczywiście dlatego, że była wtedy zakochana.

Jake'owi właśnie jego pokój najbardziej się podobał ze wszystkich w *chdteau*. Wstawiono tam ogromne stare łóżko, nakryte ciemnozłotym aksamitem, smukłe lampy w stylu Tiffany'ego z bursztynowymi abażurami, pojedyncze bidermajery i ludwiki, wszystko wynalezione przez ojca Rafaelli, który uwielbiał antyki. Dwa okna wychodziły na taras, obrosnięty glicynią, ciężką od fioletowych kwiatów, które w wieczornym świetle zdawały się mocno różowe. Jake potrafił dokładnie przywołać dźwięki i zapachy tamtych nocy, kiedy miał szesnaście lat i nie śpiąc, rozmyślał nad sensem życia.

Noce w *chdteau* dawało się niemal dotknąć; były ciężkie od woni nikotyny i dzikich zarośli. Pachniało zielenią, mchem wokół fontann i trawą,

zraszaną wieczorami. Szeleściły trzciny w jeziorze, grały świerszcze, a nie-
rzadko śpiewały słowiki.

Jake znów poczuł się szczęśliwy. Było to coś nowego, ale zaczynał się
do tego powoli przyzwyczajać.

- Kurczę, Zbirze, jadę do domu. - Zaśmiał się. - I znów zobaczę Fran-
ny. - Ale pamiętając o pewnych pułapkach w idealnym planie, dodał: -
Lepiej trzymaj za mnie pazury, stary, bo będę potrzebował dużo szczę-
ścia.

Przypomniał sobie trzy szpice Juliette, które miały lecieć z nimi samo-
lotem, i spojrział jeszcze raz na psa.

- A może ciebie też zabiorę, co? - zastanawiał się głośno. - Zaprzyżę-
nisz się z Louisem i Mimi. Poza tym wiem, że spodobasz się Franny. -
Czule poklepał wielki łeb.

Pies popatrzył na swojego pana bystro inteligentnymi, brązowymi ocz-
mi i szczeknął.

- Wiedziałem, że się zgodzisz - stwierdził Jake.

Rozdział 26

Tylko Alaina miało zabraknąć na rodzinnym zjeździe. Rafaella stała
teraz przed drzwiami jego dawnego pokoju. Mimi i Louis siedziały
obok. Czekali. W holu na dole stary szafkowy zegar zazgrzytał trybami,
potem wybił szóstą. Przez wysokie okna, wychodzące na południowy
zachód wpadały promienie słońca, wydobywały pęknięcia na czarnych,
dwuskrzydłowych drzwiach, na których piętnastoletni Alain w wyrazie
buntu osobiście namalował czaszkę i skrzyżowane piszczele.

Nie powstrzymał go fakt, że drzwi pochodziły z XVIII wieku. Powie-
dział wtedy, że „starzyzna” go nudzi i przyprawia o mdłości. Alain za-
wsze chciał mieć wszystko i od razu: szybkie samochody, zgrabne kobie-
ty i wielkie miasto. Nie zamierzał tkwić na wsi, w *chdteau*. Musiał być
w Paryżu albo na plaży Lazurowego Wybrzeża, kręcić się wokół dziew-
cząt w bikini, które mogły sądzić, że ma przynajmniej osiemnaście lat,
jest bogaty, elegancki i przystojny.

Rafaella zawsze w myślach nazywała Alaina „brzydkim kaczątkiem”.
Był spokojniejszy od Feliksa, zawsze zamyślony, nieustannie szukał
jakaś zemstę na bracie, żądał uwagi Rafaelli i płakał, kiedy spadł mu
kapelusz.

Z łzami w oczach pokazywał jej znalezione pisklęta i opowiadał, że wypadły z gniazda. Odkrył kiedyś ukochanego mopsa Rafaelli, który utopił się w jeziorze, i sam przyniósł do domu małe, biedne stworzenie. Przemókł i trząśł się cały, bo, jak mówił, nurkował, żeby uratować ukochanego pieska mamy.

Felix zawsze zamykał się w swoim pokoju, za to Alain wciąż kręcił się gdzieś w pobliżu. Czasami zaszywał się w kącie wielkiej, pokrytej złocistym brokatem kanapy w pokoju Rafaelli i chował pod poduszkami. Szpieguje matkę, twierdził Haigh.

- Ja wcale nie zamierzałem się ukryć, *maman* - tłumaczył, kiedy go o to pytała. - Chciałem po prostu być blisko ciebie.

Później napisał dla niej wiersz, żeby przeprosić za złe zachowanie. Felix nigdy nie napisałby dla mamy wiersza, ale też nigdy nie schowałby się w jej pokoju. I to Alain zdobył serce Rafaelli, co nie udało się Feliksowi. A później, kiedy obaj ją porzucili i rozstali się ze sobą, to właśnie utrata Alaina bolała Rafaellę najbardziej.

Problem polegał na tym, myślała Rafaellą, przesuwając palcem po wyszczerbionej czaszce i puszczelach, że Alainowi wszystko uchodziło płazem, bo miał ten specyficzny urok, który łądował go w kłopoty na całym świecie - i pozwalał mu wyjść bez szwanku z każdej opresji.

Alain był przystojny, wysoki i bardzo chudy we wczesnym dzieciństwie, ale szczupły i muskularny w miarę dorastania. Miał jasne od słońca pasemka na blond włosach, które opadały mu niedbale na niebieskie oczy, i opaloną skórę, mocno napiętą na wyraźnie zaznaczonych kościach policzkowych. Jego uwodzicielskie spojrzenie zawsze wzbudzało niemałą sensację: Alain bardzo szybko stał się tematem plotek wszystkich przyjaciółek Rafaelli. Uważajcie, mówiły, będą kłopoty, i przezornie trzymały swoje córki z daleka. Wiedziały, że Alain to właśnie taki „niegrzeczny chłopiec”, w jakim dziewczęta zakochują się na zabój. I że nie zna granic. Boże, zmiłuj się nad Rafaellą, szeptały między sobą, któregoś dnia ten chłopak wpędzi ją do grobu.

Rafaella wciąż wahała się, z ręką na mosiężnej klamce. W przeciwieństwie do pokoju Feliksa, tu nie wszystko było tak, jak pozostało w chwili odjazdu syna. Po odejściu Alaina Haigh zrobił w tym chaosie nieco porządku. Wyczyścił meble, poukładał rzeczy na swoich miejscach. Rafaella zdawała sobie sprawę, że nie znajdzie tu śladu osobowości swojego młodszego syna, poza być może resztką energii unoszącą się w powietrzu.

Alain zawsze wnosił mnóstwo światła i ruchu. Był hedonistą, przyciągał do siebie ludzi, a potem się od nich odwracał. To samo, jak mówili ludzie, musiało spotkać młodą kobietę z Marsylii, z tą różnicą, że wciąż

więcej dowodów obciążało Feliksa, gdyż Alain miał świadków, którzy zeznali, że doszło do nieszczęśliwego wypadku, bo wiele rzeczy można było powiedzieć o Feliksie, ale na pewno nie to, że miał mordercze skłonności.

Jake jednak nie zdołał odnaleźć Alaina. Młodszy syn przypadł, odszedł z jej życia, jak Felix. Rafaella zdecydowanym ruchem odwróciła się od drzwi. Nigdy już nie zobaczy Alaina, ale cały czas zastanawiała się, czy to rzeczywiście on jest ojcem dziesięcioletniej dziewczynki z Chin.

Rozdział 27

Później, leżąc z otwartymi szeroko oczami w wielkim łóżu z baldachimem, wciąż myślała o Alainie. Usiłowała sprecyzować we wspomnieniach moment, kiedy jej życie uległo zmianie. Odciągnęła zasłony łóżka, żeby wpuścić chłodne powietrze wraz z delikatnymi szelestami i tupotami dobiegającymi z głębi wiejskiej nocy.

Odszedł Jake, straciła Kochanka, potem Feliksa, a na koniec najlepszą przyjaciółkę, kiedy Juliette z mężem nagle przenieśli się do Australii, gdzie Rufus został doradcą gubernatora. Rafaella ogromnie tęskniła za Juliette. Brakowało jej małych, ujadających szpiców, hałaśliwego śmiechu przyjaciółki, jej głośnego, konfidencjonalnego szepotu, babskich sekretów i zwierzeń, ale Australia leżała daleko od Prowansji, a życie musiało toczyć się dalej.

W *chdteau* nie było już rozbawionego, radosnego tłumu, na korytarzach nie słyszało się śmiechu. Rafaella spędzała dni samotnie, tylko w towarzystwie psów. W nadziei, że Felix wróci kiedyś do domu, kupiła dla niego małą winnicę w Saint Emillion.

Chciała dać mu ją w prezencie, żeby miał coś własnego, czym nie będzie musiał się dzielić z bratem. I wtedy, ku jej zdumieniu, nagle, między jednym a drugim wypadem do Paryża, do *chdteau* powrócił Alain i po raz pierwszy okazał zainteresowanie winiarstwem. Mówił też dużo o Feliksie, delikatnie podkopując jej zaufanie do starszego syna. Napomykał od czasu do czasu, że Felix zawsze był ponury, niewdzięczny, zamknięty w sobie i niebezpieczny.

- Niebezpieczny? - spytała ze zdziwieniem Rafaella.

Alain popatrzył na matkę. Jasne włosy powiewały jak u chłopca nad niebieskimi oczami Martenów.

- No cóż, okazała się przecież mordercą, prawda? - stwierdził.
Ale Rafaella zauważyła, że Alain śmieje się przy tych słowach, jakby wszystko to było jednym, wspaniałym żartem. Dziwne.

Pamięta, jak chwyciła go wtedy za koszulę; oczy jej płonęły z gniewu.
- Nie waż się tak mówić! - krzyknęła. - Felix nie zabił tej dziewczyny. Tak mi powiedział, a on nie kłamie.

Alain podniósł piękną brew.
- Powiedział ci to, mamno? Nie sędzę. Podobno mówił, że „możesz sobie wierzyć, w co chcesz”. - I znów się roześmiał. A potem, nagle z miną pełną skruchy, objął ją i uściśnął. - Nic na to nie poradzisz, *maman*. Musisz spojrzeć prawdzie w oczy.

W końcu jednak to prawdzie dotyczącej Alaina, nie Feliksa, musiała spoglądać w oczy.

Kilka miesięcy później, gdy Alphonse Giradon, dyrektor wytwórni, wraz z księgowym i głównym enologiem poprosili o spotkanie w *chateau*, Rafaella była zaskoczona. Dwa lata wcześniej firmę przejął Alain i jemu Rafaella powierzyła kierowanie wytwórnią.

Znała Alphonse'a od czterdziestu lat, ale teraz stał sztywno przed długim stołem w jadalni i nie chciał usiąść. Haigh-wniósł drinki, ciasteczka i espresso.

- Madame - zaczął z wahaniem Alphonse. - Musimy pani zakomunikować smutną wiadomość. Nie jest nam łatwo o tym mówić, zwłaszcza po... Nie padło żadne imię, ale Rafaella wiedziała, że miał na myśli Feliksa i Kochanka, ponieważ żaden szczegół z jej życia nie mógł ująć uwadze mieszkańców wioski i robotników. To należało do kosztów, jakie ponosiła, będąc ich *patronne*, choć nie miała o nic pretensji.

- Tak? - odezwała się po chwili. - Proszę, mów dalej, Alphonse.
Dwaj pozostali panowie stali w milczeniu obok, wspierając go moralnie, podczas gdy ich stary przyjaciel Alphonse opowiadał Rafaelli ponurą historię. Alain systematycznie wyprowadzał pieniądze z kont firmy. Twierdził, że zamówił masę drogiego materiału do nasadzeń, ale tak naprawdę brał gotówkę do kieszeni. I znalazł na to tuzin różnych sposobów. Ostatecznie doprowadził wytwórnię Martenów do ruiny.

Alphonse zwiesił siwą, kudłatą głowę.
- Jest mi bardzo przykro, że muszę przekazywać złe wieści - powiedział na koniec. - Pani syn był bardzo sprytny. Aż do chwili wewnętrznej kontroli nie wiedzieliśmy, że okrada firmę. Każdy grosz, który zarobiliśmy w ostatnich latach, szedł do jego kieszeni. I nad wszystkim, co przez panią, całą rodzinę i wieś zostało wypracowane, wisi teraz niebezpieczeństwo. Madame, jesteście świadkami końca wytwórni Martenów. -

Podniósł głowę i Rafaella zobaczyła łzy w jego oczach. - Cóż mogę powiedzieć teraz na pociechę pani i robotnikom, którzy stoją w obliczu bezrobocia? Nastąpił całkowity zamęt, madame, i żałuję tylko, że wcześniej się nie zorientowałem.

Zadano jej cios w samo serce, ale Rafaella wiedziała, że musi stanąć na wysokości zadania - to był jej obowiązek, tak nakazywała odpowiedzialność wobec własnego nazwiska i wobec robotników. Wzięła głęboki oddech i zebrała wszystkie siły.

- Siadajcie, przyjaciele, proszę - powiedziała spokojnie. - Zdaję sobie sprawę, jak trudna jest dla was ta sytuacja, i czuję się zaszczycona, że przyszliście do mnie. - Odwróciła się do Haigha, który stał z założonymi rękami przy drzwiach. Oczy miał ciemne od gniewu. - Haigh, przynieś nam butelkę szampana. - Zdobyła się na uśmiech. - Uczymy odrodzenie firmy Martenów. Nikt tu nie zostanie bez pracy i nie odejdzie z powodu mojego syna. Dopilnuję tego. I zrobię wszystko, by wytwórnia znów stanęła na nogi, nawet gdybym miała sprzedać cały majątek i pracować dwadzieścia godzin na dobę.

I tak właśnie zrobiła. Kosztowało ją to utratę następnego syna. Wydała też większość pieniędzy, jakie miała, ale dotrzymała zobowiązań rodziny Martenów wobec pracowników i firmy.

Alain oczywiście wszystkiemu zaprzeczył. Krzyczał i wymyślał jej z wściekłością w oczach. Oskarżał Feliksa, Alphonse'a, księgowych, nawet Rafaellę za to, że sama nie zajmowała się produkcją tak jak kiedyś.

- Jesteś nie tylko złodziejem, ale i kłamcą - powiedziała mu w końcu. - I nie okazujesz żadnej skruchy z powodu tego, co zrobiłeś. Sprzeniewierzyłeś się mnie, całej rodzinie Martenów i wszystkim wartościom, jakie wyznajemy, a teraz możesz się wynosić. - Serce jej pękało, kiedy wypowiadała te słowa, ale wiedziała, że to konieczne.

- Jeszcze pożałujesz. - Rzucił na nią wściekłe spojrzenie z drugiego końca pokoju. - Zemszczę się, *maman*, nawet nie będziesz wiedziała jak i kiedy.

Nie płakała, kiedy odjechał. Tak jakby wszystkie łzy już jej wyschły. Została w *chdteau* sama, tylko z Haighem, wiernym pomocnikiem i słuchaczem. Nie wiedziała, jak sobie dalej poradzi. Ale stopniowo odbudowywała wytwórnię, aż nazwisko Marten znów zaczęło coś znaczyć.

W *chdteau* zrobiło się jeszcze ciszej. W pustych pokojach Haigh pokrywał meble pokrowcami, pozamykał drzwi. Z powodu artretyzmu Rafaella przeniosła się z sypialni, z którą łączyło ją tak wiele wspomnień, do biblioteki na dole, gdzie czytała i opisywała w dzienniku dawne, wspa-
niałe czasy.

Ciężko pracowała przez wiele lat, aż do chwili, gdy pojawił się Scott Harris i przejął jej obowiązki; wreszcie uwolniła się od codziennego stresu. I w końcu zrozumiała, że jest samotna.

Samotność towarzyszyła jej do dnia, kiedy stojąc w holu, w całkowitej ciszy, patrząc na drobinki kurzu wirujące w złotych promieniach słońca, zdała sobie sprawę, że przez nią *chateau* umiera. Właśnie wtedy wpadła na pomysł wysłania zaproszeń.

Przywróci do życia Chateau des Roses Sauvages.

Rozdział 28

WMarten de Provence, na placyku w środku wsi, mężczyźni stojący na drabinach rozciągali między platanami trójkolorowe flagi, a Laurent Jarre nadzorował wieszanie ręcznie malowanego transparentu z napisem: BIENVENUE A LA FAMILLE MARTEN. Witamy rodzinę Martenów.

Wioskowa młodzież zgromadziła się przy fontannie, chichocząc i popychając się nawzajem; kłócili się, na kogo wypada kolej obsługiwania pompy, która nadmuchiwała baloniki; wszyscy ryczeli ze śmiechu, łykając gaz, po którym głos przechodził w szalony pisk. Umilkli, gdy pojawił się ojciec Jerome w zakurzonej, czarnej sutannie. Szedł do kościoła sprawdzić, czy wszystko jest gotowe do uroczystej mszy, która miała się odbyć za kilka dni.

W miejscowym sklepiku, pełniącym jednocześnie funkcję poczty, mademoiselle Doritee, z szopą siwych włosów i grubymi okularami pobłyskującymi w słońcu, wieszła na przeszklonych drzwiach szablon do wyszywania krzyżykami, z wiejskim krajobrazem i napisem BIENVENUE AUX MARTENS. PO przeciwnej stronie placu Philippe Allier rozmieszczał pomarańczowe, żółte i zielone chorągiewki, dopasowane kolorami do jego jarzyn i owoców. Starsi panowie na ławeczkach w cieniu, wsparci na laskach, przyglądali się temu kaprawym oczyma, zastanawiając się, kto też to przyjeżdża, że tyle zamieszania zrobiło się we wsi. Psy, wyrwane ze zwykłego lenistwa przez nadzwyczajne poruszenie, goniły w kółko własne ogony albo siebie nawzajem, po czym gnały do fontanny dla ochłody.

Słońce paliło; po szerokim czole Laurenta wracającego do café spływały kropelki potu. Zaraz zjawi się tu tłum mężczyzn po ciężkiej pracy; przyjdą na zimną Stellę, a młodszy popędzą do mademoiselle Doritee -

będą szperać po ladzie chłodniczej w poszukiwaniu lodów, wyciągać gazowane napoje z automatu i narobią mnóstwo zamieszania. Biedna Dorothee nigdy nie może za nimi nadążyć. Będzie nerwowo odgarniać do tyłu swoje kręcone siwe włosy, poprawiać okulary i żądać odpowiedzi, kto co wziął i kto zapłacił, a kto nie, a dzieciaki zaczną się zanosić od śmiechu i drażnić z medemoiselle, aż z irytacji zrobi się purpurowa na twarzy. Wtedy Allier będzie musiał wyjść ze swojego sklepu i pobiec na drugą stronę placu, żeby zrobić z tym wreszcie porządek.

O czwartej otworzy podwoje Dépôt du Pain i po całym placu rozejdzie się aromat świeżo upieczonych bagietek i chlebów. Zbiegną się gospodynie po zakupy do kolacji. Już zaturkotał wóz z rybami, już można obejrzeć ułożone w lodzie lśniące, srebrne John Dory, koralowe skorpeny, sterty obrosniętych zielonymi brodami małży, maleńkich węgorzy i drobnych, różowych krewetek, pachnących słodko i słono jak morze. Jarre wybrał rybę na niezwykle ważne „danie dnia” i złożył specjalne zamówienie na jeszcze ważniejszy lunch, który będzie podawał w następnym tygodniu rodzinie madame Rafaelli.

Zamarynował już małe krążki serków z koziego mleka, w ziołach i ciemnozielonej oliwie, tłoczonej z owoców własnych drzew oliwkowych. Laurent uprawia zioła w małym ogródku za domem, obok różnych odmian sałaty: kruchej, miniaturowej rzymskiej, endywii, rozspanki. Przywiązuje szczególną wagę do swoich produktów. Lubi nieduże, świeże warzywa; jego marchewki i kabaczki to idealne miniaturki, podobnie jak pomidory, i to nie tylko zwykłe, czerwone, ale także zielone, żółte, a nawet pasiaste. Kroi je w cieniutkie plasterki i podaje na dużych, białych talerzach, skropione odrobiną najlepszej oliwy i kroplą soku z cytryny, z dodatkiem zmielonego czarnego pieprzu. Posypuje wszystko świeżą bazylią, rwaną palcami; delikatnych listków nie można kroić nożem ani ciąć nożycami, żeby nie czerniały. To jego *petite symphonie*, jak mówi z dumą, serwując je latem, a czasem jeszcze w październiku, jeśli słońce dopisze.

Pomidory będą pierwszą potrawą specjalnego lunchu, jaki Laurent planuje dla rodziny Martenów. Chce, żeby pani Rafaella miała czym się pochwalić, by jej goście z wielkiego miasta nie poczuli się urażeni prostym, wiejskim jedzeniem. Jarre nauczył się gotować od babci, ale w młodości pracował też jakiś czas w wielkiej restauracji w Marsylii, skąd wyniósł wiedzę, jak pięknie aranżować danie na talerzu, by cieszyło nie tylko podniebienie, ale i oko. Teraz, przy okazji rodzinnego zjazdu, po raz pierwszy od wielu lat będzie mógł zabłysnąć jako kucharz.

W wytwórni win Domaine Marten, Scott Harris sprawdzał nowe etykiety, które zaprojektował dla specjalnego Cuvee Familie Marten. To wino ma być niespodzianką dla Rafaelli.

Wytwórnia wygląda jak stary klasztor i taki obrazek widniał na dotychczasowych etykietach Domaine Marten. Był to rysunek czarnym tuszem, wykonany przez któregoś z dawnych Martenów, prawie niezmieniony od tamtej pory. Tylko od czasu do czasu wprowadzano okazjonalne etykiety: na jubileusze, uroczystości z okazji zakończenia II wojny światowej i oczywiście na ślub Rafaelli. Ta nowa etykieta była jednak szczególna.

Scott zastąpił stary, czarno-biały rysunek płomienną czerwienią, ulubionym kolorem Rafaelli. Napis, opleciony wieńcem z liści winorośli głosił, że jest to Cuvee Reunion de la Familie Marten. Scott nie tylko zaprojektował etykietę; sam osobiście sporządził wino, używając gron z najbardziej kamienistych wzgórz, by nadać mu *nutę garrigue*, kamiennego tonu połączonego z gładkością ałtasu i owocami. Scott uważał, że jego opis wina pasuje do samej Rafaelli - moc kamienia, z jedwabistą, gładką powierzchnią i miękkim sercem.

Zadowolony z wyników swojej pracy wysłał etykiety do rozlewni pod miastem, z notatką, że mają być zrobione natychmiast. W tym samym czasie w *chdteau* trwały wielkie, wiosenne porządki. Zastęp wiejskich kobiet ubranych w kwieciste fartuchy zdejmował pokrowce z mebli, wywijał mopami i miotełkami z piórek. Haigh zapowiedział im, że mają wymyć wszystkie okna i okiennice, wypolerować do błysku mosiężne klamki i wytrzeć irchowymi ściereczkami złocone ramy obrazów. Stały więc na chwiejnych drabinach i plotkowały, nie przerywając przy tym pracy nad przywróceniem świetności nowo otwartym pokojom, tak jak tego życzył sobie Haigh.

- Rodzina nie może przyjechać do starego, zaniedbanego domu, madame - mówił do Rafaelli, która z uśmiechem spytała, co on ma zamiar zrobić ze starą i zaniedbaną panią tego domu. - Moglibyśmy pójść na strych, przejrzeć szafy i wybrać coś na pierwszy wieczór - odpowiedział. - Musi pani przecież wywrzeć dobre wrażenie. Będzie uroczysta kolacja z udziałem całej wioski i lunch u Jarrego w Colombe. Plus wielki finał.

- Wielki finał - powtórzyła zdziwiona. Czekwała jedynie na przybycie gości; nie pomyślała, że po trzech tygodniach każdy z nich wróci do swojego życia.

W szafach na strychu Rafaella przeglądała rzędy strojów wiszących na ałtasowych ramiączkach, każdy starannie opakowany w przezroczystą torbę.

- Popatrz tylko, Haigh. - Wyciągnęła puszystą kurtkę z lisa i przytuliła ją do policzka. - Miałam to na sobie tego dnia, kiedy Juliette poznała

Rufusa w La Coupole. Wtedy też kupiłam czerwoną suknię u Diora. Och, Haigh, koniecznie muszę ją włożyć. Jest bezkonkurencyjna. Myślisz, że będzie jeszcze pasować? - Odnalazła ją, przyłożyła do siebie i popatrzyła w lustro. Zmarszczyła nos z powątpiewaniem. A potem, w głębi szafy, wypatrzyła kaskady kremowego atłasu. - Och, moja suknia ślubna. Pamiętasz, Haigh, *maman* chciała, żebym przebarbowała ją na czarno, miałabym wieczorową kreację, ale atłas był za ciężki, przygniatał mnie. Podobnie jak mój mąż - dodała z grymasem.

Pamiętała, jaką miał minę, gdy szła wzdłuż nawy, z ogromnym bukietem lilii, który zasłaniał duży brzuch, a ciężki, atłasowy tren ciągnął się za nią z głośnym szelestem. Henri, jej mąż, dumny, bez śladu uśmiechu na twarzy, dostawał dokładnie to, co chciał - źródło utrzymania. Fakt, że panna młoda była czarująca i zakochana, a przynajmniej zauroczona, nie miał dla niego znaczenia. Rafaella wyczytała to z jego twarzy i zrozumiała, że popełniła fatalny błąd. W kościele, trzymając lilie na brzuchu, modliła się, by dziecko nie było do niego podobne, ale oczywiście Felix okazał się taki sam, jak tatuś. To dlatego pewnie bardziej kochała Alaina, bo odziedziczył po niej radość życia.

Przejrzała męskie garnitury wiszące na szerokich, drewnianych wieszakach w kolejnej szafie i wyjęła granatowy aksamitny smoking z jedwabnymi, wąskimi kłapami w stylu księcia Edwarda.

- Popatrz, Haigh. To należało do *grandpere* - powiedziała. - Na pewno na ciebie pasuje. Będziesz wyglądał wspaniale. Przymierz.

- Nie potrzebuję smokingu *grandpere*, madame - zaprotestował Haigh. - Nie mam kiedy go nosić.

- Teraz masz. Dajże spokój, Haigh, załóżysz go na wielką galę. - Przyłożyła do niego marynarkę i kiwnęła głową z aprobatą. - Bardzo *comme il faut*.

Po paru godzinach spędzonych z Rafaella na przeglądaniu garderoby Haigh wrócił do kuchni, żeby obejrzyć smoking. Spodobał mu się spiczasty krój kłap. Porządnie go wyszczotkuje i wywiesi na dwór, żeby wywietrzała zapach naftaliny. Na uroczystym przyjęciu będzie wyglądał elegancko.

Tymczasem musiał skontrolować kobiety sprząające dom i sprawdzić, co robi młodzież pomagająca w kuchni. Spiżarnia była zaopatrzona, fąchowcy od cateringu wynajęci, menu na wszystkie okazje gotowe, przyjęcia dopracowane w szczegółach. Haigh i Rafaella wybrali wina, stół w jadalni został już rozsunięty i czekał tylko na porcelanową zastawę i srebra. Później ogrodnicy zetną najpiękniejsze kwiaty, które Rafaella

ustawi w wysokich wazonach, i *chateau* znów napełni się świeżym, słodkim zapachem.

Haigh jeszcze raz zajął do kuchni. Lśniły czarno-białe kafelki podłogi i wielki, stalowy piec, błyszczały naczynia i szkło w staroświeckich, oszklonych kredensach. Haigh, wciąż przejęty, pobiegł na górę, żeby jeszcze raz rzucić okiem na pokoje gościnne, choć i tak zrobił to już wcześniej.

A Rafaella, wreszcie zadowolona, usiadła na tarasie, pod daszkiem z glicynii. Mimi wskoczyła jej na kolana, Louis położył się u nóg. Ukochany *chateau* znów oddychał. Jutro zatętni życiem.

RS

Część 3

Zjazd rodzinny

*Zakochać się to przeżyć najbardziej fantastyczne doświadczenie,
do jakiego zdolna jest większość istot ludzkich.*

A.N. Wilson

Rozdział 29

Franny i Clare wysiadły z niewielkiego samolotu na rozległe przestrzenie lotniska Charles'a de Gaulle'a, gdzie po odstaniu w kolejce pokazały paszporty, a potem długo czekały na odbiór bagażu. Oczywiście, pięć walizek Clare pojawiło się na samym końcu, kiedy już wydawało się, że zginęły. Potem, mimo znużenia, trzeba było stanąć w kolejce do taksówki, wdychając prawdziwe francuskie powietrze - no, w każdym razie spaliny i dym papierosowy - by wreszcie popędzić *Peripheñque*, obwodnicą Paryża, obok czarującej dzielnicy z kafejkami na świeżym powietrzu, dziesiątkami restauracyjek, butików, perfumerii i cukierenek. To, wyjaśnił taksówkarz, jest Montparnasse.

- Montparnasse - powtórzyła z przejęciem Franny. - Clare, jesteśmy w prawdziwym Paryżu, gdzie żył Picasso i gdzie gołe dziewczyny tańczą w Folie Bergeres, a artyści i pisarze pili absynt w Le Select, i wino, dużo wina, w Closerie des Lilas. - Obie patrzyły w okna i wchłaniały atmosferę Paryża.

Na dworcu Montparnasse roіło się od ludzi, którzy najwyraźniej dokładnie wiedzieli, dokąd zmierzają, czego Clare i Franny nie mogły powiedzieć o sobie. Clare, oszołomiona, pchała wózek z walizkami, Franny mocno ścisnęła w rękę swoją jedyną torbę. Ostrzegano ją przed kieszonkowcami i złodziejami wrywającymi bagaż podróżnym, jak też przed francuskimi oszustami, którzy chętnie wykorzystają swój galijski wdzięk po to, by przejąć czeiki podróżne.

Szybkim krokiem przeszły na peron, skąd miał odjechać superexpress TGV do Awinionu. W chwili kiedy pociąg gładko i cicho sunął wzdłuż peronu, podbiegła do nich wysoka, elegancka młoda kobieta ubrana na czarno, ciągnąc za rękę małą, opierającą się Chincezkę.

- Która z pań nazywa się Franny Marten? - spytała łamaną angielszczyzną. - *Oui? C'est vous?* - Spojrzała na Franny. - *Eh, bien*, jestem

z biura podróży pracującego dla Martenów tu, w Paryżu. Mam odwieźć tę małą do Awinionu, ale złapałam grypę. Fatalnie się czuję. - Przerwała, żeby zakaszkleć, wachlując się przy tym wolną ręką. - Teraz pani przejmuję opiekę nad dzieckiem. - Pchnęła dziewczynkę do Franny, po czym odwróciła się na pięcie i odbiegła.

Wszystko to wydarzyło się tak nagle, że Franny i Clare nie zdążyły nawet o nic spytać. Z osłupieniem śledziły kobietę wzrokiem, kiedy przeciskała się przez topniejący tłum. Zobaczyły, jak żwawym krokiem wchodzi do dworcowej kawiarni, rozsiada się wygodnie przy stoliku na zewnątrz, zamawia kawę i zapala papierosa. Chwilę później czytała już gazetę, wolna zarówno od obowiązku, jak i grypy.

- Suka! - parsknęła zdumiona Clare. - O, przepraszam. - Pochyliła się i pogłaskała małą po głowie.

Shao Lan wpatrywała się w swoje nowe buciki, lśniące, czarne i bardzo niewygodne. Cisnęły ją w palce. Podróż samolotem wlokła się w nieskończoność; nikt nie zwracał uwagi na małą pasażerkę. Całą drogę przesiedziała sztywno, nie odważyła się niczego zjeść ani wypić, zastanawiała się tylko jak się to wszystko skończy i czy kiedykolwiek jeszcze zobaczy Bao Chu. Przerazała ją hałas, bała się samotności w nowym miejscu i tego, co się z nią stanie.

Kobieta, która przysłała na lotnisko, trzymała ją za rękę tak mocno, aż bolało.

- Idziemy - powiedziała dziarsko, prowadząc małą do policjantów i kontrolerów. Długo przyglądali się papierom wyjętym z plastikowej koperty wiszącej na szyi Shao Lan. Dziewczynka chowała buzię i jeszcze mocniej przytulała wełnianą owieczkę. A teraz oddano ją znowu jakimś obcym. Shao Lan nie wiedziała, gdzie jest, kim są te dwie panie ani co ma się zdarzyć, ale postanowiła nie płakać. Nie chciała wyjść na mazgaja.

Franny spojrzała na małą Chinkę wpatrzoną w swoje buciki. Dziewczynka miała na sobie kusy płaszczyk, z którego dawno wyrosła, a lśniące, czarne włosy nad czołem przycięto jej w postrzępioną grzywkę. Wyglądała tak samo, jak zranione, oszołomione zwierzątka z kliniki. Mała nagle rzuciła jej krótkie spojrzenie i Franny dostrzegła jasnyniebieskie oczy. Na plastikowym pakieczku zawieszonym na szyi dziewczynki wypisano drukowanymi literami SHAO LAN CHING, a obok w nawiasie MARTEN.

- Biedne dziecko - powiedziała. - Wygląda jak mały uchodźca.

- Jaki uchodźca? Nie widzisz, że to kolejna panna Marten w drodze na zjazd rodzinny?

- Boże, przecież to jakaś moja *cousin!*

Franny przykucnęła, wzięła małą pod brodę i uniosła jej główkę.

- Cześć, Shao Lan - powiedziała łagodnie. - Jestem twoją kuzynką. Nazywam się Franny, a to twoja nowa przyjaciółka, Clare. Będziemy się tobą opiekować. Nie martw się niczym, dobrze?

Shao Lan nadal w milczeniu przyglądała się swoim buciikom.

- Myślisz, że mówi po angielsku? - spytała Franny z powątpiewaniem, a Clare stwierdziła, że dziewczynka z pewnością nie rozumie ani słowa.

Franny wzięła małą kuzynkę za rękę, podniosła plastikową walizeczkę, zdumiona niewielkimi rozmiarami bagażu - mogły się w nim zmieścić chyba tylko ubranka dla lalek. Wsiadły do pociągu, zapadły się w miękkie, wygodne siedzenia, zadowolone, że wreszcie zmierzają prosto do celu. Shao Lan sprawiała wrażenie nieobecnej. Kiedy ekspres pędził przez wiejską okolicę, zamknęła oczy. Marzyła tylko o tym, by wrócić razem z babcią do pokoiku przy ulicy Hu Tong. Pomyślała, że spróbuje uciec.

Franny zastanawiała się, jak wygląda Chateau des Roses Sauvages, czy ciocia Rafaella ją polubi, i jak będzie się jej mieszkało na francuskiej wsi. To tylko sen, upominała samą siebie. Za kilka tygodni wszystko się skończy i znów będziesz miłą doktor Marten, sympatyczną panią weterynarz z Venice Beach w Kalifornii, która punktualnie spłaca kredyt i kocha cudze zwierzęta, ponieważ nie ma czasu, by zajmować się własnymi. I unika mężczyzn, żeby nie popełnić kolejnego błędu.

Rozdział 30

Kiedy pociąg w końcu wjeżdżał do Awinionu, niebo było szare, w powietrzu wiał deszcz, a nogi smagał zimny, porywisty wiatr. Franny pozapinała guziki kusego płaszczyka Shao Lan i naciągnęła sweter, kuląc ramiona przed chłodem. Patrzyła, jak Clare, z rozwianymi czarnymi włosami idzie krokiem rozszoszczonej pantery w poszukiwaniu samochodu, który miał tu na nie czekać i zawieźć do *chateau*.

- Niedobrze - mruknęła Franny. Dygotała z zimna. - Pewnie zapomnieli albo pomylili dni. Musimy wynająć auto.

W wypożyczalni samochodów surowa dama w sztywnej białej bluzce i jedwabnym szaliku z logo firmy poinformowała szorstko, że żadnych aut nie ma.

- Jak to? Muszą być. - Franny wpadała we wściekłość, bo była już poznacznie przemarznięta i zaniepokojona. - Proszę jeszcze raz sprawdzić.

Kobieta leniwie przejrzała dane w komputerze.

- Cóż - oznajmiła niechętnie. - Coś chyba jest. Właśnie zwrócono samochód, ale trzeba go jeszcze umyć.

- Bierzemy - postanowiła Clare. - Proszę pokazać, gdzie mam podpisać. - Mrugnęła do Franny, podając kartę kredytową Marcusa.

Pół godziny później siedzieli w małym, czerwonym fiaciku, w którym unosił się zapach francuskich papierosów i mocnych perfum. Było tak ciasno, że większość walizek Clare leżało na stosie obok Shao Lan, wbitej w tylne siedzenie. Prowadziła Franny, a Clare pilotowała z mapą w dłoni. W płataninie jednokierunkowych ulic godzinę zajęło im znalezienie drogi wyjazdowej. Przez przypadek - a może cudem, zależy jak na to patrzeć, powiedziała Franny, dyskredytując kompetencje Clare jako pilota - znalazły się na właściwej drodze. Teraz deszcz już rozpadał się na dobre, a wycieraczki ledwie nadążały ze zbieraniem wody.

- Jasna cholera - zakląła Clare i natychmiast z przerażeniem zakryła dłonią usta. Obejrzała się do tyłu, na małą. - Myślisz, że słyszała? - szepnęła.

- Nigdy się nie dowiemy. Nie zamierza się odezwać - odparła Franny, z niepokojem wpatrując się w mrok. Wyobrażała sobie, że ciemniej już być nie może, a jednak z każdą chwilą mrok gęstniał. Zahamowała przy znaku „stop” i poczuła, że samochód ściąga w lewo.

- Ooch - jęknęła, kiedy błyskawica oświetliła zalany wodą krajobraz, a w górze przetoczył się grzmot.

Shao Lan wrzasnęła. Franny i Clare obróciły się zdumione.

- Wiemy przynajmniej, że ma struny głosowe - skomentowała Clare. Poświeciła latarką na mapę; modliła się, żeby droga okazała się właściwa, bo w ogóle nie widziały żadnej stacji benzynowej, a jak okiem sięgnąć, nie było przy tej zapyziałej szosie choćby jednego domu.

Samochód znów skoczył, ściągając w lewo. Nagle silnik zgasł; wpadły w poślizg i sunęły krawędzią rowu, aż w końcu auto stanęło po przeciwnej stronie drogi.

Zapadło długie milczenie. Franny kurczowo ścisnęła kierownicę. Patrzyła spanikowana przez przednią szybę.

- Jezu... - Clare była wstrząśnięta. - Tego nie przewidziałam. Jesteś pewna, że to Prowansja?

Franny pomyślała o wymarzonem błękitnym niebie, słońcu, o zapachach słynnej wiejskiej krainy, wspaniałym, starym *chateau*, jedzeniu, winie - i spojrzała na ponurą rzeczywistość za oknem. Była zmęczona

podróżą samolotem, a tu znalazła się w miejscu, gdzie diabeł mówi do-branoc.

- Nasze komórki nie działają - powiedziała. - Musimy poczekać na jakiś samochód i zabrać się stopem. - Wyjęła z torby dwa snickersy i podała jeden Shao Lan, która natychmiast odwróciła głowę. - Weź, proszę - zachęciła małą. - To dobry amerykański baton.

Clare ze złością wgryzała się w drugiego snickersa.

- Boże, Franny, mówisz jak na filmie z lat czterdziestych. Zwycięscy żołnierze amerykańscy zjedną sobie obce dzieci batonikami, a kobiety nylonami.

- Pierwszy raz widzę dziecko, które odmawia słodyczy - stwierdziła Franny. - Myślisz, że coś jej jest?

- Mam nadzieję, że nie będzie rzygać. - Clare, już w znacznie lepszym nastroju, zlizywała czekoladę z palców.

W deszczu błysnęły jakieś światła; Clare i Franny omal nie wypadły z samochodu z pośpiechu; podskakiwały na środku drogi i wymachiwały rękami.

- Stać, stać! Och, błagam! - wołały jedna przez drugą.

Znów mignęła błyskawica i zaraz po niej rozległ się grzmot. Wtuliły się w siebie z krzykiem.

Furgonetka ostrożnie zwolniła; toczyła się teraz powoli. Przez okno wytknął głowę mężczyzna z gęstą siwą czupryną i okrągłą, pomarszczoną twarzą. Z tyłu samochodu doleciała słodka woń.

- *Qu'est-ce qui se passe?!* - zawołał.

- *La voiture... arretee* - powiedziała Franny, przywołując z pamięci parę słów szkolnej francuszczyzny.

- *Merde*. - Kierowca wysiadł, stanął z założonymi rękami i skrzywił się na widok samochodu. - *Vous avez de la chance. Vous auriez pu finir dans un fosse*. Miałyście szczęście, że nie wylądowałyście w rowie. *Ou allez-vous? Dokąd jedziecie?* - dodał po angielsku.

Franny odgarnęła z oczu mokre włosy.

- Do Marten de Provence - wycodziła, szczękając zębami.

Nagle mężczyzna się rozpromienił.

- *Ah, eh bien, vous etes les Martens, n'est-ce pas?* - Wyciągnął rękę i Franny uściśnęła mu dłoń, modląc się w duszy, by powiedział: proszę bardzo, wsiadajcie do mojej ciężarówki. Ale kierowca, w strugach deszczu, postanowił się przedstawić. - *Je suis Philippe Allier, marchand de fruits et legumes dans la village de Marten. C'est un plaisir, mesdames, de vous rencontrer. Et pour madame Rafaella, j'ai l'honneur de diriger la familie au chateau. Eh, bien, mesdemoiselles, venez vite*. - Przebiegł

na drugą stronę drogi, wyszarpnął Shao Lan z fiacika, przeniósł do ciężarówky i ulokował na miejscu dla pasażera. Zapiął pas, starannie wytarł deszcz z buzi dziewczynki i zamknął drzwi. Potem znów podbiegł do zepsutego samochodu i zaczął wyciągać bagaż.

Clare wzdrygnęła się na widok swoich eleganckich walizek, stojących w kałuży na środku drogi, ale nie odezwała się ani słowem. Obie z Franny pomogły monsieur Allierowi zapakować wszystko na tył ciężarówky, tuż obok melonów.

- Okay, *mesdames*. - Allier otrzepał dłonie i podniósł plandekę. - *Montez avec vos valises and nous allons vite au chateau*.

Franny i Clare nie musiały znać francuskiego, żeby zrozumieć, że mają jechać z tyłu, pod płachtą, razem z melonami. Wskoczyły do środka i kucnęły za kabiną kierowcy, chroniąc się przed wiatrem; monsieur Allier nakrył je plandeką i ruszyli w drogę.

Rozdział 31

Clare odsunęła plandekę i łapczywie wciągała ustami powietrze, przydużona słodkim zapachem melonów, które toczyły się po podłodze i uderzały w nogi.

- Tak się przyjeżdża z klasą do siedziby przodków - przekrzykiwała grzmoty, kiedy monsieur Allier wjeżdżał pod górę do małej, ciemnej wioski. Franny zupełnie straciła humor.

Plastikowe stoły i krzesła mokły złożone pod tarasem kawiarni, odświętne flagi ociekały wodą i powitalny transparent zwiślał smętnie między drzewami.

Zostawili wieś za sobą; jechali teraz pod sklepieniem gałęzi. Mokre liście, które zerwał wiatr, przyklejały się autostopowiczkom do twarzy i włosów.

- Jak w bajce o złej czarownicy - mruknęła Clare przez zaciśnięte zęby.

Po chwili monsieur Allier zrobił nagły skręt w lewo i wjechał w wąską drogę wysadzaną spiczastymi drzewami, tak wysokimi, że wierzchołki ginęły gdzieś we mgle. Jaskrawa, niebieska błyskawica przecięła zyganiem niebo. Zobaczyły stalowoszare jezioro, a przed sobą wielki, mroczny dom.

Monsieur Allier otworzył okienko w tylnej ścianie szoferki.

- *Alors, le Chateau des Roses Sauvages* - zakomunikował, okrążając płaski kwietnik. Po chwili zatrzymał się przed kamiennymi schodami, prowadzącymi do masywnych wejściowych drzwi.

Franny patrzyła niepewnie na dom. Był zupełnie ciemny. Zerknęła na Clare. Wiedziała, że obie myślą o tym samym. Czy to na pewno tu? Rzucała okiem na Alliera, zajętego wyjmowaniem bagażu. Może to wariat. Wywiózł je na odludzie, a potem zabije.

- *Le lumieres ne marchent pas a cause de l'orage* - wyjaśnił, a gdy popatrzyły na niego bez słowa, dodał: - *L'electricite...Phut.* - Wyrzucił ręce w powietrze. - *Demain tout va marcher.* - Złożył walizki na schodach, otworzył drzwiczki kabiny i uklonił się szarmancko, podając dłoń Shao Lan.

Ku zdumieniu Franny dziewczynka bez wahania przyjęła pomoc i zgrabnie zeskokczyła na żyrowany podjazd.

- *Bien, ma petite.* - Allier czule pogładził małą po głowie. - *Je ne veux pas deranger madame Rafaella et ses invitees.* - Uprzejmie ścisnął im dłonie. - *Bonnes vacances, mesdemoiselles, et bonne chance. Je vous verrez a la soiree.* - Z długiego nosa monsieur kapał deszcz. Allier wskoczył do furgonetki, machnął krótko na pożegnanie, ostro zawrócił i turkoczając, z podskakującymi melonami, odjechał z powrotem.

Franny wzięła Shao Lan za rękę. Była zimna.

- A jeśli tu nikogo nie ma? - szepnęła do Clare. - A jeśli trafiliśmy pod zły adres?

- Dlaczego tak cicho mówisz? - szepnęła Clare i obie zachichotały.

- No, chyba jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. - Franny mocno nacisnęła dzwonek.

Rozdział 32

Kiedy Franny po raz drugi wcisnęła dzwonek, znów trzasnął piorun. Ponieważ nikt się nie pojawił, zaczęła walić w drzwi. A jeśli nikogo tu nie ma? Co wtedy zrobić? Nawet wioska wygląda na opuszczoną. Wszystko to jest zbyt straszne.

Clare i Shao Lan wcisnęły się za nią pod portyk. Nawet cisza wydawała się ciemna, wypełniona tylko bębnieniem deszczu i skrzypieniem cyprysów na wietrze.

Drzwi otworzyły się tak nagle, że Franny gwałtownie odskoczyła w tył. Patrzyła na trupią twarz mężczyzny, który trzymał w ręku kandelabr.

- O Boże - sapnęła Clare. - To jest zamek Frankensteina.
- *Ah, maintenant* - Haigh celowo mówił po francusku, żeby nieco spe-
szyć gości. - *La Petite Bleue, Mademoiselle Franny et madame Clare, je*
presume? Mais vous etes tres en retard - dodał z dezaprobatą w głosie.
Po czym, zaglądając za ich plecy, gdzieś w noc, spytał płynną angielsz-
czynną: - A gdzie samochód?

Franny zdenerwowana wyjaśniła, że nie ma żadnego samochodu, wy-
najęte auto się popsuło, a podwiózł je tutaj monsieur Allier ze sklepu
warzywnego.

- Tak mi się wydawało, że czuję melony. - Haigh pociągnął nosem, gdy
wprowadzał gości do domu. - Witajcie w Chateau des Roses Sauvages.
Jestem kamerdynerem, nazywam się Haigh. - Zamknął drzwi wejścio-
we.

W tym samym momencie przeciąg zgasił wszystkie świece. W ciemno-
ści coś głęboko zacharczało, zaskrzypiało, a potem rozległ się straszliwy
zgrzyt. Clare wrzasnęła się i wczepiła we Franny w chwili, gdy zegar
zaczął głucho i jednostajnie wybijać godzinę.

- To tylko zegar - uspokajał Haigh. - A dokładnie: osiemnastowiecz-
ny antyk.

- Wiedziałam, że w ogóle nie powinnyśmy tu przyjeżdżać - szepnęła
Franny. Ociekała wodą.

Kamerdyner zapalił świece i odwrócił się, by obejrzeć przybyłe panie;
na widok kałuż na świeżo wyfroterowanym parkiecie cmoknął z niezado-
woleniem.

Podniósł wysoko świecznik.

- Zaprowadzę panie do pokoiów. - Ruszył ku schodom, ale zatrzymał
się i spojrzął przez ramię na Shao Lan, która stała w miejscu. - Chodź,
moje dziecko - powiedział surowo. Dziewczynka nie ruszyła się na krok.
Nie zamierzała nigdzie iść. Stała ze spuszczoną głową, skulonymi ramio-
nami i patrzyła na kamerdynera spode łba intensywnie niebieskimi ocz-
ami Martenów.

- Odepierz się - powiedziała wyraźnie.

Clare stłumiła chichot.

- Pierwsze słowa naszego małżeństwa - szepnęła.

Kamerdyner popatrzył przenikliwie na dziewczynkę. Stał z ręką opartą
na biodrze i głową przekrzywioną na bok.

- No proszę, jakąż to małą damą jesteśmy - prychnął, po czym ruszył
w górę. - Proszę iść za mną i zabrać to dziecko - polecił, kryjąc grymas.

Poszły schodami biegnącymi pięknym łukiem. Zerknęły po drodze
na ogromne obrazy w złotych ramach i marmurowe posągi ustawione

w mrocznych niszach; pod stopami czuły cudowny, miękki dywan, wciąż jednak miały niemiłą świadomość, że w domu panuje upiorna cisza.

Haigh stanął przed wysokimi, dwuskrzydłowymi drzwiami. Otworzył je teatralnym gestem.

- Shao Lan - zwrócił się do dziewczynki i cofnął, by mogły dostrzec pięknie oświetlony świecami pokój, łożo osłonięte czerwonym, udrapowanym adamaszkiem i ciężkie zasłony z czerwonego jedwabiu. - Twoja babcia życzy sobie, żebyś zajęła Pokój Czerwony, bo wie, że czerwień jest w Chinach kolorem szczęścia i powodzenia.

Shao Lan zrozumiała każde słowo, nie pojęła tylko, dlaczego ponury kamerdyner mówi o babci. Czyżby Bao Chu tu była? Czy niedługo ją zobaczy? W sercu dziewczynki błysnęła iskierka nadziei.

Franny wzięła ją za rękę i wprowadziła do środka. Pokazała miękkie, wygodne łóżko, a potem uklękła, żeby dotknąć puszystego, białego dywanu, ale na buzi małej nie było śladu reakcji. Haigh przesunął się pod następne drzwi.

- To był pokój madame Rafaelli - powiedziała z dumą, kiedy trzy panie oglądały z lękiem przesłizny, biało-zielony buduar. - Madame życzyła sobie, by zamieszkała tu panna Franny i była tu równie szczęśliwa, jak ona kiedyś.

Franny wyczuła w pokoju leciutki ślad słodkiego zapachu mimozy. W nagłym przeciągu zaszeleściły pasiaste zasłony z jedwabnej tafty. Po plecach przebiegła dziwny dreszcz, jak lekkie, delikatne dotknięcie. Mogłaby przysiąc, że zna ten pokój.

Znów ruszyły za kandelabrem Haigha i znalazły się w niesamowitej, całkiem białej sypialni w stylu art deco, jakby nietkniętej od lat dwudziestych.

- To ma być pokój pani Clare - poinformował Haigh. - Należała do matki madame. Pani ma nadzieję, że przyjaciółka mademoiselle Franny pomoże przegonić stąd tutejsze duchy.

Na słowo „duchy” popatrzyły na siebie, ale Haigh uśmiechnął się z wyższością.

- W sensie przenośnym, oczywiście. Dobrze znałem matkę madame i wątpię, by miała ochotę nawiedzać to miejsce. Prędzej można by ją znaleźć w kasynie Hotel de Paris w Monte Carlo.

- Ałas. - Clare podeszła do łóżka i z zachwytem przesunęła palcami po haftowanej narzucie. - I te lustra! Popatrz: srebro i chrom. Mój Boże, to jak dla mnie zrobione!

- Kolacja zostanie podana o dziewiątej - oznajmił Haigh od drzwi. - Madame Rafaella zawsze ubiera się na kolację w strój wieczorowy. Proszę o punktualność. - Po czym, najwyraźniej spełniwszy swój obowiązek, zabrał kandelabr i zostawił panie same.

Rozdział 33

Shao Lan odmówiła pójścia do Czerwonego Pokoju. Usiadła na kraśwędzi łóżka Franny i machała nogami. Clare poszła już do swojej fantastycznej sypialni szykować się do kolacji. Na zewnątrz wiatr wciąż wył w drzewach, a gdzieś blisko przetaczały się grzmoty.

Franny starała się ośmielić milczącą dziewczynką. Pomogła jej się rozebrać, zaprowadziła pod prysznic i upewniła się, czy mała umyła się, jak należy. Potem zawinęła ją w ręcznik i Shao Lan znów skuliła się na łóżku.

Franny westchnęła. Umiała postępować ze zwierzętami, ale o małych dzieciach niewiele wiedziała. Ubrała się szybko, rozpuściła włosy i psiknęła odrobinę swoich ulubionych perfum. Popatrzyła w lustro i pomyślała, że może jednak należało dać się namówić Clare na zakupy przed wyjazdem.

Otworzyła walizeczkę Shao Lan. Z osłupieniem patrzyła na zawartość - kilka sztuk znoszonej bielizny, skarpetki i czysta bluzka. Wciąż wdychała, pomagając dziewczynce w ubieraniu, potem narzuciła na nią własny, niebieski sztybletowy szal, w nadziei, że jaskrawy kolor nieco ożywi okropny strój małej. Efekt był jednak mizerny.

Wpadła Clare, niesłuchanie przejęta i szykowna jak zawsze, w idealnej małej czarnej z koronki. Spojrzała na Shao Lan w bluzce i pomiętej, szarej szkolnej spódniczce. Przeniosła wzrok na Franny. Zmarszczyła czoło w rozpaczy.

- To wszystko, co mamy - wyjaśniła Franny, dziękując Bogu, że Clare nie zdąży już się spierać.

I rzeczywiście, antyczny zegar wybijał dziewiątą, kiedy schodziły po pięknych schodach, do holu, gdzie czekał Haigh. Franny trzymała za rękę Błękitkę, i nagle poczuła zdenerwowanie - w końcu spotkała za chwilę jedyną osobę ze swojej prawdziwej rodziny.

Rafaella słyszała uderzenia zegara, ale nadal siedziała przed lustrem toaletki. To wszystko bajki z tym światłem świec, pomyślała z pogardą. Jest takie samo, jak każde inne oświetlenie. Jak za mocne, daje cienie pod oczami i ustami, jak za słabe - twarz traci rysy i staje się płaska. Kobieta potrzebuje miękkiego różowego lub złocistego światła, padającego pod właściwym kątem, żeby naprawdę dobrze się prezentować. Zwłaszcza w jej wieku.

Ale kobiety, z którymi ma się spotkać, są tak młode, że w każdym świetle będą piękne. Haigh powiedział, że wyglądają jak zmokłe kury, ale ma-

ją w sobie „coś”. W ustach Haigha oznaczało to, że są naprawdę przy-
stojne.

Roześmiała się, kiedy powtórzył jej jedyne słowa, jakie wypowiedziała
Shao Lan.

- Biedna mała musi się bardzo bać - stwierdziła.

Haigh jednak dodał, że choćby po gwałtownym temperamencie mógł
poznać, że to Martenówna.

- Nigdy nie słyszałem, by coś takiego przeszło w młodości przez pani
usta, madame.

Patrząc na swoje odbicie w lustrze, Rafaella pomyślała: Ach, Haigh,
gdybyś tylko wiedział, co mówiłam do Lucasa w łóżku w te długie, bez-
księżycowe noce, opleciona jego ramionami, w parnej, letniej ciemności.

Potrząsnęła głową. Nie pora rozmyślać o Kochanku. Goście czekają.
Wpięta jaskrawoczerwony kwiat hibiskusa w srebrny kok, umocowała
go rubinową spinką, delikatnie spryskała szyję perfumami o zapachu mi-
mozy i podeszła do wysokiego lustra.

Czerwona, szyfonowa suknia od Diora otulała pierś i ramiona, wąskimi
fałdami miękko opadając do kostek, jak na posągu. Rafaella z przyjem-
nością przesunęła dłonią po materiale. Miło było stwierdzić, że suknia
leży tak samo idealnie jak w dniu, kiedy ją kupiła. Na stopach miała je-
dwabne pantofelki z ostrymi noskami, od Rogera Viviera, też z lat sześć-
dziesiątych. Cisnęły, ale Rafaella postanowiła założyć je tego wieczoru,
bo dzięki nim znów czuła się młoda.

- Próżność u starej kobiety jest żenująca - powiedziała do lustra. -
Ale tej wady chyba już nigdy się nie pozbędę. - Owinęła szyję długim
sznurem rubinów, ułożyła na ramionach powłóczysty, jedwabny szal w ko-
lorze fuksji, sięgnęła po laskę i wolno ruszyła do drzwi.

Nadeszła wielka chwila. Wreszcie zobaczy swoją nową rodzinę. Miej-
my nadzieję, że ją polubią.

Rozdział 34

W błękitnym, aksamitnym smokingu *grandpere* Haigh wyglądał jak
postać z filmów z Austinem Powersem. Wyprostowany czekał w ho-
lu na gości.

- *Bonsoir, mesdames, mesdemoiselles* - powiedział. Znowu udawał, że
tylko trochę zna angielski, w nadziei, że może którejś z pań zdarzy się

powiedzieć coś niedyskretnego, co zdradzi ich myśli. Po chwili poprowadzi je do głównego salonu.

W obu krańcach długiego, pięknego pokoju z seledynową boazerią i złocistymi, jedwabnymi zasłonami, strzelał ogień rozpalony w ogromnych kominkach z piaskowca. W kryształowych kandelabrach jak maleńkie, świetliste tęcze iskrzyły się dziesiątki świec zwielokrotnionych przez ogromne weneckie zwierciadła. Przeszkłone drzwi na taras były teraz szczelnie zamknięte z powodu burzy, ale wicher wciąż w nie uderzał i przeciskał się przez szpary, poruszając ciężkimi zasłonami.

W ciepłym świetle świec, bezpieczna przed burzą i wiatrem, Franny poczuła nagle ukojenie. Pierwszy raz znalazła się w miejscu, które mogła nazwać prawdziwym domem.

- Panie pozwolą, że zaproponuję szampana - odezwał się Haigh. Butelkę owiniętą białą, płócienną serwetką trzymał tak, by mieć pewność, że napis KRUG i rocznik zrobi na gościach odpowiednie wrażenie.

Franny nie potrafiła odróżnić dobrego rocznika od złego, ponieważ nie miała dotąd wielu okazji do picia szampana, ale Clare, doskonale zorientowana w tej materii, uśmiechnęła się do Haigha z aprobatą.

Stały w milczeniu obok ognia i sączyły szampana. Franny pomyślała, że to najwspanialsza rzecz, jakiej kiedykolwiek próbowała. Jakże mały i mizerny w porównaniu z tą wspaniałością wydał jej się własny domek ze starociami z pchłego targu. A przecież tu urodził się dziadek i gdyby sprawy potoczyły się inaczej, byłby to może dom ojca, a nawet i jej samej. Z ciekawością przyglądała się starym fotografiom w srebrnych ramkach. Grupki roześmianych ludzi stały na stopniach *chateau*; chętnie dowiedziałyby się, który z mężczyzn był jej pradziadkiem.

Każda rzecz w tym domu ma swoją historię, pomyślała, dotykając prześlicznego, małego stoliczka z palisandru inkrustowanego girlandami z jasnego drewna. Wszystko - krzesło, stół, nawet kanapy wyściełane wyblakłym, zielonym brokatem. Gdyby ściany mogły mówić, wiele opowiedziałyby o rodzinnych spotkaniach, narodzinach, chrzcinach i weselach, o walkach i romansach. Co takiego się wydarzyło, że w rodzinie nastąpił rozłam?

Haigh wyszedł, zostały same. Wiatr zamilkł, w ciszy usłyszały tylko stuk kopyt. Nagle przeszkłone drzwi otworzyły się z łoskotem i do wnętrza znów wtargnął wicher. Wydał zasłony i zdmuchnął świece. W szarych kłębach mgły przegalopował czarny koń z zakapturzonym jeźdźcem w rozwianej pelerynie.

- Założę się, że to duch - powiedziała Clare i szybko zamknęła drzwi.
- To jakiś nawiedzony zamek.

Chwilą później w drzwiach holu stanął „duch” w ociekającej wodą, długiej, nieprzemakalnej pelerynie, jakiej używają australijscy farmerzy. Ściągnął z głowy kapelusz z szerokim rondem, spuszczać przy tym potok wody na dywan z Aubusson, i posłał kobietom promienny uśmiech.

- Witam - powiedział z bardzo wyraźnym australijskim akcentem. - Jestem Scott Harris, winiarz Rafaelli. Mam nadzieję, że tu wszystko w porządku. Niezła burza.

Franny i Clare dokładniej przyjrzały się przybyszowi. Wysoki, szczupły, z opaloną twarzą i złocistymi włosami, które po uwolnieniu spod kapelusza sterczały jak mokra strzecha.

Clare uśmiechnęła się i szturchnęła Franny.

- Stara - szepnęła. - Facet serio, pamiętasz?

- Panie wybacza, ale prądu nie będzie do rana - odezwał się Scott z ołsniewającym uśmiechem. - Wieczór spędzimy przy świecach.

Ponieważ Franny robiła wrażenie oniemiałej, Clare zajęła się prezentacją.

- Nazywam się Clare Marks - powiedziała, ściskając wilgotną dłoń przybysza. - To jest Franny Marten, a to Shao Lan Ching Marten.

- Rodzina w komplecie - dodał Scott, wręczając Haighowi mokre okrycie. - Cieszę się, że mogę panie poznać. - Podeszedł przywitać się z Franny. Shao Lan schowała twarz w wełnianej owieczce. Scott przykleknął i delikatnie ujął drobną dłoń. - Nie bój się, ślicznotko. To tylko burza. - Nad jego głową Franny i Clare wymieniły spojrzenia i uśmiechnęły się.

Rafaella, niezauważona, stanęła w drzwiach, obserwując zebranych. Psy przysiadły obok, ucichły i oszołomione niecodziennym widokiem ludzi w salonie. Pierwsza spostrzegła Rafaellę dziewczynka. Patrzyła niebieskimi oczami Martenów, przyprawiając panią domu o dreszcz. Mała, chuda i przeżona wnuczka zdobyła jej miłość od pierwszej chwili. Rafaella uśmiechnęła się ciepło, ale Shao Lan znów schowała się za wełnianą zabawką.

Wysoka, niebieskooka kobieta to na pewno Franny. Niezwykle piękna z tą bladozłotą kaskadą włosów i śliczną, brzoskwiniową cerą. Jest w niej jeszcze coś nieuchwytnego, wrażliwość i delikatność. Smukła, szczupła, jak wszyscy Martenowie; z kolei ten brak stylu na pewno nie jest czymś, co po nich odziedziczyła.

A brunetka obok to jej przyjaciółka, Clare. Interesująca twarz, oceniała Rafaella, przyglądając się wnikliwie; elegancka, pewna siebie, bardzo nowoczesna piękność, przynajmniej takie robi wrażenie. Ale pod tą gładką powierzchnią Rafaella wyczuwała cień smutku. Dlaczego? Przecież są młode, śliczne, mają całe życie przed sobą. Westchnęła, zdając sobie sprawę, jak szybko mijają lata.

Nie chciała opierać się na lasce; stała wysoka i dumna, wspaniała w czerwonej szifonowej sukni i rubinach, z kwiatami we włosach.

- *Bonsoir, mes cheres amies* - odezwała się miłym, niskim głosem. - Witam w Chateau des Roses Sauvages. - Uśmiechnęła się. - Przepraszam za burzę i brak elektryczności. Mam jednak nadzieję, że Haigh się wszystkim zajął.

Scott podbiegł, podał ramię i pocałował Rafaellę w policzek.

- Wygląda pani olśniewająco - szepnął.

Rafaella wybuchnęła śmiechem, kiedy weszli do pokoju.

Spotkała wzrok Franny i jakaś więź zadzierzgnęła się między nimi, przez dziesięciolecia, wieki i kontynenty, jakby rozpoznały się dwie dusze połączone przeszłością, o której Franny nic nie wiedziała.

Rafaella westchnęła z ulgą - wyglądało na to, że jednak wszystko dobrze się ułoży.

- Taka jestem szczęśliwa, że cię widzę, Franny - powiedziała.

- Ja też się cieszę, ciociu Rafaello - wymamrotała nieśmiało Franny.

- Pocałuj mnie, moje dziecko. - Objęła dziewczynę i mocno przytuliła. - Po chwili odsunęła się odrobinę, ujęła dłonią brodę Franny i przyglądała się jej twarzy. - Masz uśmiech swojego dziadka - stwierdziła. - To był przystojny mężczyzna, a ty, *ma cherie*, jesteś śliczną kobietą.

Franny, zarumieniona, przedstawiła Clare.

- Kolejna piękność - powiedziała Rafaella z uśmiechem. - Witaj w moim domu, Clare. Mam nadzieję, że ci się tu spodoba. Kiedy minie burza, poznacie cały urok tego miejsca. - Wreszcie odwróciła się do wnuczki, która z wrażenia aż upuściła owieczkę. - Shao Lan - zaczęła łagodnie Rafaella. - Jestem twoją francuską babcią, chcę się z tobą przywitać. - Ale mała wpatrywała się gdzieś w dal i Rafaella domyśliła się, że dziewczynka szuka swojej „prawdziwej” babci. Wzięła Błękitkę za rękę i razem poszły na wielki, skórzany fotel przy ogniu. Wiedziała, że Shao Lan zna trochę angielski, więc powoli i wyraźnie powiedziała: - Popatrz na mnie, Shao Lan. Wiem, że twoja babcia Bao Chu została w Szanghaju i bardzo ją kochasz. Ale każda mała dziewczynka ma dwie babcie. Bao Chu jest twoją babcią chińską, a ja francuską. Twój tatuś był moim synem. Rozumiesz mnie, *ma petitel* - Mała stała bez słowa, całkowicie zdezorientowana, więc Rafaella dodała: - Będę do ciebie mówić Błękitka, usiądziesz przy kolacji obok mnie. Możesz jeść wszystko, co chcesz, i zostawić to, co ci nie smakuje. Zgoda?

Błękitka w milczeniu patrzyła na swoje buciki. Haigh westchnął. Ciężka sprawa, pomyślał i nalał szampana Rafaelli, Scottowi, a także sobie. Stał obok pani domu, ogarniając gości królewskim spojrzeniem.

- Witaj, nowa rodzinno. - Rafaella wzniosła toast. - Dziękuję wam, że odbyliście długą podróż, by uszczęśliwić starą kobietę. Zrobię wszystko, by każdy na długo zapamiętał pobyt w Chateau des Roses Sauvages.

Rozdział 35

W holu powstał nagle jakiś ruch. Zaszczekały psy, trzasnęły drzwi wejściowe i przez dom przeleciał wiatr, znów gasząc świece.

- Mimi, Louis! - zawołała ostrzegawczo Rafaella, ale psy już pędziły do wejścia.

W chwilę później rozległo się warczenie i przejmujący jazgot.

- To te cholerne szpice - oznajmił Haigh, wychodząc do holu.

Louis i Mimi leżały na plecach, powalone wściekłym atakiem małych, jasnych i triumfalnie warczących szpiców. Czwarty pies stał w drzwiach i przyglądał się temu ze znudzoną miną doświadczonego kundla, obeznanego z prawdziwą walką.

- Och, uspokójcie się, skarby. - Głos Juliette dobiegł wyraźnie spod mrocznego portyku. - Nie martw się, Haigh - dodała. - To wszystko na niby, na pewno ich nie zagryzą.

- Miejmy nadzieję - odparł sceptycznie kamerdyner. - Witamy, madame. Widzę, że przybywa pani, jak zawsze, w wielkim stylu.

Gromki śmiech Juliette zahuczał w holu. Wkroczyła do środka, zatrzymała się, by ucałować Haigha w oba policzki, dodając jeszcze trzeci pocałunek z czystej serdeczności.

- I ty się nie zmieniłeś, Haigh, na szczęście. Wciąż ten sam stary, marny despot - powiedziała, gdy wychodził po stertę bagażu. - Gdzie moja Rafaella. Och... jesteś, *cherie*. - Zatrzymała się w drzwiach, przyjrzała starej przyjaciółce siedzącej przy kominku. - Nie zmieniłaś się ani odrobinę - powiedziała lojalnie.

- Ani ty, moja kochana. - Rafaella z całej siły ścisnęła Juliette. - Z wyjątkiem obwodu w talii - dodała i Juliette zrobiła kwaśną minę. - Za dużo jedzenia, za mało kochania - szepnęła i obie roześmiały się, wspominając dawne, wspólne tajemnice. - Czyżby ten okropny pies też był twój, Juliette? - spytała Rafaella, która dopiero teraz zauważyła kundla, który spokojnie siedział w kącie.

- Mój? Och, nie. To Zbir Jake'a.

W głębi pokoju Franny ze zdumieniem podniosła wzrok. Musiałam się przeszłyście, pomyślała. Uśmiechnęła się, patrząc na Juliette, która rozjaśniła dom płomiennoczerwonymi włosami i szmaragdowym kaftanem.

- A teraz, kochanie - odezwała się Juliette szeptem słyszalnym w całym pokoju - powiedz, gdzie jest wnuczka i kuzynka?

Franny wyszła z cienia.

- Jestem Franny - przedstawiła się z uśmiechem.

- A ja Juliette. - Zmierzyła dziewczynę jednym, długim spojrzeniem. - Czy masz pojęcie, ile zrobiłby lekki, niebieski cień dla twoich fantastycznych oczu? - spytała. - Mam taki. Przypomnij mi, żebym ci go jutro dała. - Trzymała w dłoni pasmo włosów Franny. - Cudowne, kolor oczywiście naturalny, bo moje przeszły już do kategorii najwyższych kosztów utrzymania. Chyba powinnam zrobić tak jak Rafaella i zostawić siwiznę, ale mam stanowczo zbyt młodą duszę, by się na to zdecydować. Poza tym wcale nie byłoby mi w niej tak dobrze. Wiesz, Rafaella zawsze była elegancka. Ciemne włosy czy srebrne, wszystko jedno, i tak jest piękna. Jak i ty będziesz, *cherie* - dodała zamyślona.

Franny zarumieniła się i szybko przedstawiła Clare.

Juliette natychmiast doceniła chmurną elegancję Clare. Oto kobieta, która zna życie, pomyślała. Wie, kim jest, ale być może nie do końca, wie, czego szuka. Interesująca postać, trzeba przyznać.

Przyszła kolej na Shao Lan.

- A to moja wnuczka, Błękitka - powiedziała rozpromieniona Rafaela, biorąc małą za rękę.

Juliette nachyliła się i przyjrzała dziewczynce.

- Maleństwo, ale nie ma wątpliwości, że Martenówna - stwierdziła. - I kolejna piękność. - Westchnęła. - Zdajesz sobie sprawę, jakie masz szczęście, Raffaello? Moje wnuki odziedziczyły urodę po dziadku, nie po mnie. Są wypisz, wymaluj Labourde'ami, łącznie z wystającymi zębami, które pochłoną majątek u ortodonty. Wszyscy mają wielkie głowy i chude kończyny. - Słowo daję, wyglądają jak rodzinka małych kałamarnic. Ty natomiast, Błękitko - pocałowała małą w chłodny policzek - zapowiadasz się na prawdziwą rewelację, mimo tych okropnych butów, które muszą cisnąć twoje biedne, małe nóżki. Chodź, skarbie, *tante* Juliette ci je zdejmie. - Uklękła i rozpięła klamerki bucików.

- Dziękuję - powiedziała grzecznie Shao Lan.

Franny i Clare aż podskoczyły.

- Niesamowite! Wydobyła z siebie głos! - oznajmiła Clare w chwili, gdy wszedł Haigh, zgięty wpół pod ciężarem dwóch olbrzymich waliz od Vuittona.

- To znaczy, że zwykle się nie odzywa? - spytała zdumiona Juliette.
- Do tej pory odezwała się tylko raz i kazała mi się odpieprzyć, czy coś w tym sensie. - Haigh z łoskotem postawił bagaż na podłodze.

- Ktokolwiek ci to powiedział, miał zapewne rację - stwierdził Jake, wkraczając do holu za Haighiem i dokładając dwie kolejne torby Juliette.

Franny otwarła szeroko oczy. Czas stanął w miejscu. Patrzyła na Jake'a i czuła, jak fala gorąca pełźnie jej po plecach i oblewa twarz. Co on tu robi? Z osłupieniem obserwowała, jak Jake bierze w ramiona Rafaellę.

- Wiem, że dostałam swój dawny pokój - zagrzmiała Juliette w drodze do schodów, jakby była tu przed tygodniem, a nie dwadzieścia lat temu.

- Oczywiście - odparła Rafaella. -1 zauważ, że właśnie podają znakomitego szampana.

- Miło widzieć, że wszystko po staremu! - zawołała, biegnąc po schodach i stukając wysokimi obcasami. Tuż za nią pędziły szpice i Haigh; Louis i Mimi, najwyraźniej zakochane, zamykały kolumnę.

Franny jednak ich nie widziała. Stała jak wmurowana.

Jake podszedł do niej i wyciągnął rękę, ale zignorowała jego gest.

- Witam ponownie - powiedział.

Patrzyła spod przymrużonych powiek. Oczy miała zimne jak lód.

- Co tu robisz? - spytała chłodno.

- Zaprosiła mnie Rafaella. Kiedy mi przekazała, że przyjeżdżasz i cię nie zna, postanowiłem się z tobą spotkać.

- Jasne. Musiałeś mnie sprawdzić i upewnić się, czy zasługuję na to, by pojawić się u Martenów, i czy nie jestem naciągaczką, która poluje na rodzinny majątek. No, przynajmniej jeśli chodzi o psa, nie kłamałeś - zakończyła, odwróciła się i odeszła na drżących nogach.

Nie wiedziała, czy uciec, rozwrzeszczyć się, czy rzucić na niego z pięściami. Dłonie miała rzeczywiście zaciśnięte w kułak i gotowe do bicia, a potrafiła to robić od dziecka.

Jak mógł, jak śmiał kochać się z nią, wiedząc, że sprawdza ją tak jak pracowników na zlecenie wielkich firm. Sukinsyn, pomyślała, połykając łzy. Nie będzie, kurczę, przez niego płakać. Nie będzie, kurczę, płakać. Czuła się upokorzona. Wróciła do salonu i stanęła przy ogniu, usiłując rozgrzać nagle zlodowaciałe dłonie.

Clare, która została w holu, patrzyła na przyjaciółkę ze zdziwieniem. Odwróciła się do Jake'a.

- Przepraszam, o co chodzi?

Wyciągnął do niej rękę.

- Pani jest zapewne Clare. Nazywam się Jake Bronson. Mam nadzieję, że przynajmniej pani się ze mną przywita.

- Clare Marks. - Przytrzymała jego dłoń. Co za przystojny facet, pomyślała, patrząc mu w oczy. Trochę może sterany życiem, ale takich właśnie lubiła.

- Ach - powiedział Jake, przypominając sobie o Marcusie. - W takim razie pani to...

- Ta trzecia. A raczej druga - dokończyła za niego i oboje wybuchnęli śmiechem.

Clare lekko przechyliła głowę i uśmiechała się zalotnie. Oj, będzie kłopot, powiedziała sobie w duchu. A gdzie się podział facet serio, którego sobie obiecałaś? Znowu zaczynasz. Ale z promiennym uśmiechem powiedziała:

- Miło cię poznać, Jake.

- Dołączymy do reszty? - spytał, podając jej ramię.

Wsunęła rękę. Poczuli się jak panna młoda, kiedy prowadził ją do salonu.

A tam kamerdyner znów nalewał szampana. Roześmiane kobiety z wioski w swoich najlepszych czarnych sukniach i białych, falbaniastych fartuszkach z organdy roznosiły półmiski ze znakomitymi przystawkami przyrządzonymi przez Haigha. Zapowiadała się wspaniała kolacja.

Rozdział 36

Długi, mahoniowy stół zastawiony był najlepszą rodową porcelaną z Limoges, z zielonym i koralowym wzorem, oraz lśniącymi kieliszkami od Baccarata. Wykrochmalone, płócienne serwetki miały ozdobne monogramy M, a wzór na wiekowych srebrach był ze starości już niemal nieczytelny. Dzikie białe róże, *roses sauvages*, które Rafaella sama zebrała w ogrodzie, ułożono na środku stołu, w niskich srebrnych czarach oplecionych długimi zielonymi girlandami; królowała między nimi pięciopiętrowa, srebrna patera wypełniona stosami wspaniałych, ciemnych i jasnych winogron z winnic Martenów.

Pokój wypełniła woń róż i woskowy zapach kapiących świec. Wicher wciąż uderzał w szyby okien, szczelnie zakrytych ciężkimi zasłonami. Od ognia na kominku panowało w środku miłe ciepło.

Haigh okrążył stół z butelką Familii Marten Special Reunion Cuvee. Każdemu po kolei pokazywał piękną etykietę, co niemal doprowadziło Rafaellę do łez, ponieważ było to pierwsze uroczyste cuvee od czasu jej

ślubu. Z zachwytem stwierdziła, że smak trunku -jedwabisty, z delikatną kamienną nutą - przypomina zapach dziko rosnących kwiatów, i wygłosiła komplement pod adresem Scotta.

Siedziała u szczytu stołu. Haigh od lat nie widział, żeby uśmiechała się tak jak dziś, jakby po raz pierwszy od dawna myślała o tym, co dzieje się tu i teraz, a nie o przeszłości. Po lewej ręce miała Błękitkę, która tępo patrzyła w półmiski z jedzeniem; na nieodgadnionej buzi dziewczynki nie było ani śladu zamętu, jaki panował w małej głowie.

Rafaella zauważyła ten posępny wyraz twarzy. Odgadła myśli wnuczki i natychmiast wysłała Haigha do kuchni po pałeczki, których używał, kiedy przywoził z miasteczka gotowe chińskie dania. Oczywiście Shao Lan zabłysły; uśmiechnęła się nawet, kiedy Haigh kroił dla niej kawałek mięsa.

Jake siedział po prawej ręce Rafaelli, a obok niego Clare; naprzeciwko zajęli miejsca Scott i Franny, na końcu stołu natomiast rezydowała Juliette w asyście szpiców. Mimi i Louis zakotwiczyły się za krzesłem Rafaelli, tylko Zbir węszył nerwowo przy drzwiach i sprawił wrazenie psa, który w każdej chwili gotów jest błyskawicznie zniknąć.

Między Franny i Jakiem napięcie iskrzyło jak błyskawica. Franny konsekwentnie unikała jego wzroku; sprawa najwyraźniej stawała się bardzo poważna. Jake pomyślał, że chyba lepiej by było, gdyby wcześniej nie poznał Franny, gdyby nie doszło do zbliżenia; mógłby teraz wszystko zacząć od początku. Do diabła, przez lata bronił się przed jakimikolwiek związkami, a gdy tylko się ugiął, proszę, jakie są skutki.

- Jestem pewien, że gdzieś już panią widziałem - powiedział nagle Scott do rozbawionej i odprężonej Clare, która po tych słowach zamarła.

- Nigdy nie byłam w Australii - oznajmiła chłodno.

Spojrzał na nią zdumiony.

- To mogło być w San Francisco. Parę lat pracowałem w Napa.

- Przykro mi, ale jestem z Georgii - ucięła tak lodowatym tonem, że odwrócił się speszony i zajął swoim talerzem.

Haigh uważnie obserwował całe towarzystwo. Pomyślał z zadowoleniem, że przyjęcie zaczyna przypominać dawne czasy. Intryga wisi w powietrzu.

Juliette rozmawiała z Franny o psach i jej pracy.

- Nie potrafiłabym żyć bez moich słodkich maleństw - powiedziała, gdy jeden ze szpiców wskoczył na jej kolana i zaczął obwąchiwać talerz, a dwa pozostałe podniosły wrzask, drapiąc pazurami brokat na oparciu krzesła.

- Juliette, czy kolację też musimy jeść z psami? - Rafaella westchnęła, ale odpowiedział jej tylko gromki, serdeczny śmiech przyjaciółki.

- Nie bądź taka sztywna, *cherie*. Chcą tylko wiedzieć, co je mamusia. To zupełnie normalne. Poza tym bywały we wszystkich słynnych restauracjach. Czemu by nie miały towarzyszyć mi tutaj?

- Bo to moje brokatowe krzesło niszczą w tej chwili.

- Krzesła pojawiają się i znikają. Przyjaciele zostają - oznajmiła Juliette. - Ważne jest to, jakie masz szczęście, że możesz zebrać przy stole tych wspaniałych młodych ludzi.

Rafaella podparła brodę dłonią i uśmiechała się, bo Juliette zawsze zmierzała prosto do celu i jak zawsze miała rację.

- Co u ciebie, Franny? - Jake spróbował raz jeszcze.

Spiorunowała go spojrzeniem i od razu pożałował, że się wysił.

- Dziękuję, dobrze - powiedziała tak zimno, że poczuł igiełki lodu.

- Mam nadzieję, że lilie ci się podobały.

- Piękne. Tylko nie miałam okazji, żeby ci podziękować.

- Ani ja tobie - odparł sarkastycznie.

- Nie wiedziałam, że się znacie. - Clare była zaskoczona, bo Franny nigdy nie wspominała o Jake'u; poza tym wołałaby wiedzieć, czy teren jest wolny, czy przyjaciółka ma do niego jakieś prawa.

- Krótko - stwierdziła Franny.

- Rozumiem. - W rzeczywistości Clare nic nie rozumiała i zastanawiała się, co tu, u diabła, się dzieje.

Rafaella, nieświadoma burzy grzmiącej nad stołem, siedziała na honorowym miejscu i uśmiechała się tak jak kiedyś. Patrząc na panią domu, Haigh był szczęśliwy.

- Wznoszę następny toast - oznajmiła gospodynii. - Za Haigha, mojego starego przyjaciela, bez którego w ogóle nie przeżyłabym tych wszystkich lat.

- Zdrowie Haigha! - odpowiedzieli chórem, roześmiani.

Nagle otworzyły się wejściowe drzwi. Znow do wnętrza wtargnął wiatr, zdmuchnął świece i powiał czarnym dymem z kominka.

W holu rozległy się kroki, potem ktoś otworzył drzwi do jadalni. Mężczyzna, który w nich stanął i przyglądał się obecnym, miał na sobie garnitur w drobne prążki, najwyraźniej od dobrego krawca, i buty szyte na zamówienie. Włosy z pasemkami siwizny były gładko zaczesane do tyłu, a orli nos nadawał twarzy odcień arogancji. Usta lekko wykrzywiały lekki uśmieszek, ale spojrzenie pozostało twarde.

Rafaella wydała krótki okrzyk i odchyliła się na krzesło. Przez chwilę wydawało jej się, że patrzy na Feliksa, którego pochowała przed kilkoma tygodniami.

- *Mon dieu* - wymamrotała cicho Juliette. - Syn marnotrawny wraca.

- No, mamó - odezwał się Alain Marten. - Nie przywitasz się z dawno zaginionym dzieckiem? Słyszałem, że wysłałaś Jake'a, żeby mnie znalazł, więc przyjechałem do domu.

Jake w mgnieniu oka stanął przy Rafaelli. Obok niego wyrósł Haigh. Tylko spróbuj się ruszyć, mówił jego wzrok.

- Dziwne, prawda, jak Felix i ja staliśmy się z czasem podobni do siebie. - Alain cały czas uśmiechał się kpiąco. - Jak widzisz, łączył nas ten sam wykwintny gust, garnitury na zamówienie i angielskie buty ręcznej roboty. Wszystko, co miał Felix, mam i ja. Jesteś ze mnie dumna?

Rafaella w milczeniu przyjęła jego uścisk.

- Witaj w domu - powiedziała w końcu.

Alain uśmiechnął się drwiąco do Haigha i Jake'a. Wygrał.

Rozdział 37

Franny zauważyła triumfujące spojrzenie Alaina. Coś dziwnego się tu działo i instynktownie wiedziała, że nie ma w tym nic dobrego. Jake też zdawał sobie z tego sprawę. Dlatego właśnie znalazł się u boku Rafaelli, rycerz w lśniącej zbroi, gotów bronić swojej damy. Miło mieć kogoś tak całkowicie oddanego, pomyślała Franny z nutką zazdrości, i nagle zrozumiała, że Rafaella była pierwszą wielką miłością Jake'a. To przecież dlatego właśnie znalazł się tu, w *chateau* i dlatego ją chroni. Wreszcie poszczególne elementy układanki zaczęły do siebie pasować.

Alain wyciągnął rękę do Jake'a, ale w odpowiedzi otrzymał tylko zimne spojrzenie. Skrzywił się.

- Nie podasz mi ręki? Przecież wszystko zostało wybaczone i zapomniane.

- Ja nigdy nie zapomnę - stwierdził Jake. - Tak jak i Felix.

- Ale Feliksa tu nie ma, więc nie może się skarżyć. Tylko ty, Jake. I Haigh, oczywiście. - Alain odwrócił się do kamerdynera, który z nieprzeniknioną twarzą stał obok Jake'a. - Jak się masz, Haigh? Jak widzę, ciągle tu rządzisz. No, teraz, skoro wróciłem, to musi się zmienić. - Nie podał dłoni Haighowi, który zresztą odwrócił się, zanim jeszcze Alain skończył swoje przemówienie. - *Maman*, naprawdę powinnaś nauczyć służbę lepszych manier. - Alain mówił z irytującym grymasem. - I kogoż tu jeszcze mamy? Juliette... - Podszedł do stołu i stanął za krzesłem

płomiennowłosej kobiety. Położył jej dłonie na ramionach i mocno ścisnął. - Wciąż tęskni za Rufusem...

Strząsnęła z siebie jego ręce.

- Nie zmieniłeś się, Alain. Ciągle grasz wysoko.

- Co? Żadnego: witaj w domu, Alain? Dajże spokój, Juliette, zawsze byłaś moją przyjaciółką.

- Byłam przyjaciółką twojej matki. I widziałam, co musiała znosić przez ciebie.

- A, nasz nowy specjalista od produkcji wina. - Wyciągnął rękę do zdeorientowanego Scotta, który odruchowo ją uściśnął. - Będziemy musieli teraz wynagrodzić zmiany - dodał. - W dziedzinie uprawy winorośli stałem się ekspertem. Zobaczysz pan, że znam się na tej robocie, Scott, kiedy znowu obejmę wytwórnię. - Z uznaniem spojrzął na Franny i zatrzymał na niej wzrok.

- Zapewne odnaleziony po latach członek rodziny - powiedział słodkim głosem. - Franny, prawda? - Zajrzał kuzynce głęboko w oczy, po czym podniósł jej dłoń i złożył długi pocałunek.

Franny patrzyła jak zahipnotyzowana. Skąd to napięcie? Dlaczego Jake obserwuje Alaina spod przymrużonych powiek, jak drapieżnik? Dlaczego spojrzenie Haigha jest ostre jak laser?

- Franny, jesteś piękna. - Alain nie puszczał jej ręki. - Jak wszystkie kobiety z rodu Martenów. Po co sobie zawracasz głowę jakąś weterynarią, skoro możesz z łatwością złapać bogatego faceta, który obsypie cię klejnotami i futrami, kupi ci apartamenty i prywatny samolot.

- Wolę swoją pracę - odpowiedziała chłodno, okrążając stół, by znaleźć się przy Clare.

Clare przyglądała mu się. Wziął ją pod brodę i unióś jej twarz ku sobie.

- Clare - wyszeptał. - Znam ciebie. Musimy później porozmawiać.

Patrzyła na niego ze zdumieniem.

Na koniec odwrócił się do małej, która zamarła na swoim miejscu. Niebieskie oczy z przerażenia zrobiły się okrągłe jak spodki; palce wciąż ścisnęły pałeczki.

Obrócił krzesło dziewczynki i przysuwając blisko twarz, dokładnie studiował jej rysy. Było coś przykrego w ruchu palca, którym wodził po małym nosku, po krótkiej górnej wardze i smukłej szyi, w muśnięciu zaciśniętych powiek i dotyku kruczoczarnych włosów.

Roześmiał się w końcu.

- *Maman!* - zawołał. - Przedstawiam ci moją córkę. Oczywiście, że to moje dziecko. Widzisz, jaki jestem z niej dumny? Ty też znowu będziesz dumna z Martenów. Przysięgam ci, *maman*, na honor.

Nie tylko Jake z całego towarzystwa doskonale wiedział, że czegoś tak cennego, jak honor Alain nie posiadał nigdy. Ale Rafaella wciąż kochała syna. Nadal chciała mu wierzyć, więc i teraz objęła go, i jeszcze raz serdecznie powitała.

Rozdział 38

Przyjęcie błyskawicznie się skończyło. Wszyscy poszli spać, tylko Rafaella siedziała jeszcze w starej bibliotece na kanapie i rozmawiała z synem. W świetle świec Alain wyglądał bardzo młodo, przystojnie i niezwykle przypominał Feliksa, ale na twarzy miał zmarszczki, a w spojrzeniu zawziętość; nie było tego, kiedy widziała go po raz ostatni.

- Dobrze, że wreszcie wróciłeś do domu - powiedziała, myśląc o tym, że Felix powrócił w trumnie. - Bardzo chciałam cię zobaczyć...

- Przed śmiercią - dokończył za nią Alain. - Zamierzasz umrzeć w najbliższym czasie? - Śmiał się, obracając pytanie w żart, ale ani on nie żartował, ani Rafaella się nie uśmiechnęła.

- Mam nadzieję, że jeszcze pożyję, zwłaszcza teraz, kiedy znów odnalazłam rodzinę.

- Moją córkę.

- I kuzynkę.

- Ach tak, kuzynkę. Zawsze lubiłem ładne kobiety.

- Pamiętam - stwierdziła sucho.

Rozparł się wygodnie na perkalowych poduszkach, tak swobodnie, jakby nigdy stąd nie wyjeżdżał.

- Szczerze mówiąc, wcale nie chciałam cię widzieć przed śmiercią. - Głos Rafaelli był niespodziewanie stanowczy, aż Alain odwrócił się i uniósł brwi. - Raczej musiałam cię zobaczyć... żeby mieć pewność, że słusznie postąpiłam, wyrzucając cię z domu. Gdzie byłeś przez wszystkie te lata, Alain? Co robiłeś? Na czym zbiłeś fortunę, o jakiej wspomniałeś?

Patrzyła na niego surowo, ale Alain nie po raz pierwszy przechodził takie przesłuchanie i był ekspertem w unikaniu konkretów.

- Gdzie byłem? Och, niedaleko od Feliksa. Krążyłem po Azji jak on. Wiesz przecież, że od czasu do czasu się widywaliśmy.

Jake niepostrzeżenie wszedł do biblioteki. Oparł się o drzwi, słuchał i obserwował z założonymi rękami.

- A kiedy dokładnie widziałeś go po raz ostatni? - spytał nagle.

Alain obejrzał się na niego i westchnął.

- Należało się spodziewać, że znowu tu się zjawisz.

- Naprawdę sądziłeś, że zostawię cię sam na sam z matką? To ty jesteś szalony, Alain, nie ja.

- A co cię właściwie to wszystko obchodzi?

- Bo ja poprosiłam, żeby go to obchodziło - wtrąciła ostro Rafaella. - Miał dowiedzieć się o tobie jak najwięcej.

Alain popatrzył na Jake'a.

- I udało się?

- Na tyle, żeby wiedzieć, że jesteś podejrzewany przez FBI o handel narkotykami, że miałeś konszachty z najbardziej bezwzględnyimi kartelami w Azji, że zostawiałeś za sobą długi i przemoc... i że przebywałeś w Hong Kongu tej nocy, kiedy zginął Felix.

- Felix sam się zabił. Zawsze był tchórzem - skomentował lodowatym głosem Alain.

- Ale to ty zepchnąłeś ze skały tę biedną dziewczynę - olśniło nagle Rafaellę. - Nigdy tego nie byłam pewna, aż do dziś. Jake zawsze miał tę pewność. W przeciwieństwie do mnie, potrafił cię przejrzeć. Biedny Felix. Nie mógł znieść, że uwierzyłam tobie, nie jemu. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

- Felix wyjechał, bo nie mógł ścierpieć obecności Alaina, a nie przez ciebie, Raffaello - wtrącił się Jake. - W końcu Alain go zabił, bo nie chciał, by córka Feliksa odziedziczyła wszystko, co uważał za swoje.

- Nie zabiłem ani Feliksa, ani tamtej dziewczyny. - Alain mówił spokojnie. - Wiesz, że mam niepodważalne alibi. Poza tym Shao Lan jest moją córką. Spróbuj tylko udowodnić, że nie.

- Już to zrobiłem. - Jake odwrócił się do Rafaelli. - Miałem ci o tym powiedzieć dziś wieczorem, ale nie było okazji. DNA Feliksa zgadza się z próbką DNA Shao Lan, a Felix w testamencie zapisał wszystko swojej córce.

Rafaella była skonsternowana.

- Dlaczego nie uznał jej wcześniej? Czemu pozwolił im żyć w nędzy?

Jake wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że Alain zna odpowiedź na to pytanie.

Rafaella patrzyła na syna. Siedział rozparty na kanapie, jakby nic się nie stało. Wiedziała, że to człowiek pozbawiony zasad moralnych, który kłamał i gotów był zabić ciężarną dziewczynę, byle tylko uniknąć odpowiedzialności. Mógł wreszcie zabić brata, bo chciał przejąć jego pieniądze. Jak to możliwe, że urodziła kogoś takiego?

- Nie masz żadnych dowodów. - Alain nie tracił pewności siebie. -
A poza tym władze umorzyły sprawę.

To prawda, nie było żadnych dowodów przeciw Alainowi, nawet świadków, którzy widzieliby go razem z Feliksem tamtego wieczoru. Zresztą inaczej Jake nie mógłby legalnie zrobić tego, co zamierzał, ponieważ musiałby wezwać policję. Popatrzył na zegarek. Dochodziła trzecia nad ranem. Musiał chronić Rafaellę. Pozbyć się stąd Alaina. Został mu tylko bluff.

- Mylisz się - odparł. - Ja mam dowody, ale przez wzgląd na twoją matkę nie zrobię z nich użytku. Pod warunkiem że w tej chwili stąd wyjedziesz. Ułatwię ci to. Mój samolot stoi na lotnisku Marignane w Marsylii. Możesz tam pojechać i zmyć się z powrotem do Wietnamu w ciągu kilku godzin. Jeżeli nie - wzruszył ramionami - natychmiast wzywam *gendarmes* i FBI. Wybór należy do ciebie.

Alain patrzył na niego niepewnie. Wiedział, że Jake jest sprytny i znakomity w swoim fachu. Wydawało mu się, że nie zostawił żadnych śladów, ale w tej chwili zastanawiał się... Cholera, nigdy nie wiadomo; a jeśli mu coś udowodnią, to wyrok śmierci murowany, w najlepszym przypadku dożywocie. Pieprzyć Feliksa i matkę, i Jake'a, pomyślał. Nie może ryzykować sprawdzania, czy Jake nie blefuje.

Wstał.

- Zatem wyrzucasz mnie po raz drugi, *maman*, ale ostrzegam: tym razem pożałujesz. Oboje pożałujecie.

Rafaella patrzyła na niego ze smutkiem.

- Żałuję jedynie tego, że nigdy nie powiedziałeś mi prawdy.

Alain podszedł, zbliżył do niej twarz.

- Zawsze mówiłem ci prawdę. Tyle tylko, że ty wolisz wierzyć innym. Nie zostawiasz mi wyboru.

Jake wziął Rafaellę pod ramię i odciągnął nieco. Alain gwałtownie otworzył drzwi, po czym odwrócił się i popatrzył na nich z pogardą.

- Nie będę się żegnał, *maman* - mówił znów szyderczym tonem. - Nie znasz dnia ani godziny, kiedy znów się spotkamy.

Usłyszeli jeszcze jego kroki na parkiecie w holu, potem huk zatraskanych drzwi wejściowych. Ruszył samochód, na zwirze zachrzęściły opony. Alain zniknął równie nagle, jak się pojawił.

Rafaella odwróciła się do Jake'a i opuściła ręce. Wzięła ją delikatnie w ramiona i przytulił.

- Bardzo mi przykro - szepnął. - Żałuję, że tak wyszło. Przepraszam.

Gładził jej włosy i trzymał w objęciach, kiedy płakała mu na ramieniu, i przez Feliksa, i przez Alaina.

Rozdział 39

Rano następnego dnia Franny poczuła w łóżku obok siebie drobne ciało. Przewróciła się na drugi bok i zobaczyła Błękitkę. Mała leżała z mocno zaciśniętymi oczami. Pewnie przestraszyła się czegoś w nocy i przyszła tutaj. Franny przyglądała się słodko śpiącej dziewczynce, zachwycona subtelną urodą; widziała, jak pod twardą, zewnętrzną skorupą stworzoną przez biedę kryje się zwyczajne, niewinne dziecko. Czuła to samo, co wobec zranionego zwierzęcia: chciała po prostu się nią zająć, wyleczyć i opatrzyć rany. Obiecała sobie, że to zrobi. Cokolwiek się stanie, zawsze będzie się opiekować swoją małą kuzyneczką.

Wysunęła się z pościeli i podeszła do okna. Pchnęła okiennice i osłupiała. Patrzyła na coś, co wyglądało jak poranek pierwszego dnia stworzenia. Miękkie, chłodne powietrze owiewało policzki, przynosząc zapach niezliczonych kwiatów; tuż za oknem okazała magnolia wznosiła ku niebu swoje woskowe, kremowe kwiaty. Na dole kamienny taras schodził do regularnego parteru roślinnego, gdzie starannie przycięte, niziutkie żywopłoty, otaczały miniaturowe ogródki z ziołami i krzaczkami, błyszczącymi jeszcze od nocnego deszczu. Po prawej stronie, nad trawiastym zejściem, upstrzonym tu i ówdzie metalowymi stoliczkami i krzesłami, górowała kasztanowa aleja. Dalej, w promieniach słońca, srebrzyło się jezioro. Franny zobaczyła wąski, drewniany mostek, który wyglądał jak dekoracja z *Madame Butterfly*, wygięty i czerwony niczym pomadka do ust. Przez gałęzie magnolii widać było tylko, że prowadzi na małą wysepkę, z białą, filigranową drewnianą altanką.

Z lewej strony ciągnęły się rozległe trawniki i kępy białych dzikich róż, a w tle - wzgórze porośnięte idealnie prostymi rzędami winorośli, w pełnej krasie niezliczonych odcieni zieleni, żółci, czerwieni i fioletu. Kamienne zabudowania Domaine Marten wspinały się łukiem na dalekie zbocze, a jeszcze dalej i wyżej strzelało w niebo, jak na obrazku z bajki, coś, co Franny, której aż zaparło dech, uznała za starodawny zamek.

Przyjazd w burzy do ciemnego, ponurego *chateau* poszedł w niepamięć. Znalazła się w raj. To dopiero jest Prowansja. O takiej właśnie śniła.

Odwróciła się od okna i zauważyła karteczkę wsuniętą pod drzwi. Popatrzyła nieufnie, zastanawiając się, czy to przypadkiem nie od Jake'a, ale okazało się, że liścik napisał Haigh. Kamerdyner zawiadomił, że wieczorne uroczystości rozpoczną się o godzinie szóstej, od cocktailu

w wielkim salonie, wyłącznie dla członków rodziny. O siódmej przewidziany jest początek przyjęcia, a kolacja zostanie podana na tarasie o ósmej. Obowiązują cocktailowe suknie i smokingi. Mile widziana będzie punktualność.

Cocktailowe suknie! Z całej garderoby Franny taki strój mogła udawać jedynie nowa, kwiecista spódnica w błękitach i żółciach, a do tego top. No i dobrze, to musi wystarczyć.

Podniosła wzrok. Błękitką siedziała z kolanami podciągniętymi pod brodę, do piersi mocno przytulała wełnianą owieczkę i patrzyła na Franny szeroko otwartymi oczami, wyrażającymi niepewność.

- Cześć. - Franny uśmiechnęła się i mała odpowiedziała jej nikłym uśmiechem. - Jesteś głodna? - spytała. Na co dziewczynka kiwnęła głową. - Dobra, to bierzemy prysznic, ubieramy się i idziemy sprawdzić, czy dostaniemy śniadanie.

Zegar w holu wykonał serię skrzypnięć i zgrzytów, po czym powoli wybił godzinę. Franny liczyła. Dopiero szósta. Czy ktoś o tej porze już będzie na nogach? Nieważne, najwyżej we dwójkę z Błękitką na własną rękę spenetrują kuchnię.

Dziesięć minut później, w dżinsach i podkoszulce, z małą ubraną w szkolną bluzkę, spódniczkę i okropne buty, myszkowały już po przestronnym, wyłożonym biało-czarnymi kafelkami królestwie Haigha.

Na niewielkim podwórku Haigh z gazetą w ręku popijają poranną herbatę. Nagle usłyszał otwieranie drzwi i cichą rozmowę. Zerwał się natychmiast. Czy naprawdę nie rozumieją, że w takich domach herbatę i grzanki dostaje się do pokoju punktualnie o siódmej? A śniadanie jest podawane na tarasie od godziny ósmej? Prawdę mówiąc, we wczorajszym wieczornym zamieszaniu zapomniał o tym uprzedzić. Do licha, teraz zrobią mu nalot na kuchnię, czego bardzo nie lubi.

- *Bonjour, mesdemoiselles* - przywitał się chłodno, zawiązując fartuch. Miał na sobie „poranny” strój kamerdynera: białą koszulę i czarne spodnie; wyniosła mina tylko troszkę złagodniała na widok promiennego uśmiechu Franny.

- *Bonjour*, Haigh. Myślałam, że tylko my już wstałyśmy.

- Nic podobnego! - Haigh zdobył się na kolejne ustępstwo i przeszedł na angielski. - Zawsze wstaję wcześniej, a zwłaszcza dziś, skoro czeka nas wielkie przyjęcie.

- Ach, przyjęcie.

Oczy Franny błysnęły, ale Haigh oparł się jej uśmiechowi, bo po prostu taki miał sposób bycia. Do licha, pomyślał, podobna jest do Rafaelli, kiedy była młoda.

- Cała wioska tu przyjdzie, miss Franny - oznajmił. - Madame zna okolicznych mieszkańców od urodzenia. W dzieciństwie chodziła z nimi do szkoły, potem razem zbierali winogrona. Bardzo wielu nadal dla niej pracuje w wytwórni.

Franny usiłowała wyobrazić sobie wczorajszą damę rodem z magazynu „Vogue” na kamienistym wzgórzu, przy pracy pod piekącym słońcem, ale jakoś jej się nie udało.

- To musi być bardzo miłe zajęcie - stwierdziła.

- Może pani sama sprawdzić. Pan Scott mówił wczoraj wieczorem, że zbiory będą w tym roku wczesne. Łada dzień się zaczyna.

- To znaczy, że wszyscy moglibyśmy pomagać? Pójdziemy tam razem, kochanie - obiecała Błękitce, która nie rozumiała, ale gorliwie kiwnęła głową.

- A teraz, jeśli pani pozwoli, przygotuję śniadanie - powiedział Haigh.

- Będzie podane na tarasie, na dużym stole pod glicynią. Na pewno pani znajdzie. - Zerknął z dezaprobatą na dziewczynkę. - A po południu myślę, że byłoby dobrze, gdybyśmy pojechali do miasta i kupili dziecku stosowniejsze ubranie.

- Doskonale. - Franny uśmiechnęła się do niego i Haigh poczuł, jak jego stare serce znów troszeczkę zmiękło.

W drodze na zalany słońcem taras, do altanki oplecionej glicynią, Franny przemknęło przez głowę pytanie, gdzie może być teraz Jake. Nie zauważyła nigdzie w pobliżu Zbira, co mogło oznaczać, że właściciel zabrał go na spacer. Albo poszedł gdzieś razem z „synem marnotrawnym”. Wczorajszego wieczoru nastąpiła wielka rodzinna awantura, choć Franny nadal nie rozumiała, o co poszło; tylko Clare powiedziała, że Alain to zły człowiek.

- Jeszcze gorszy niż Marcus - szepnęła do Franny, kiedy wyczerpane podróżą i oszołomione wieczornymi przeżyciami szły po ciemnych schodach na górę, do swoich pokoi. - To nie jest tak po prostu ktoś zwyczajnie zły, moja droga, to szatan.

I Franny uwierzyła, że z jakichś powodów Clare wie, co mówi.

Sama siebie pytała, dlaczego mimo wszystko wciąż myśli o Jake'u. Nie chciała wiązać się z kolejnym marnym facetem, który sądzi, że gotowa jest od razu iść z nim do łóżka. Raz ją upokorzył, ale teraz Franny odzyskała dumę i poczucie wartości. Nigdy więcej. W końcu czegoś się nauczyła.

Rozdział 40

Clare obróciła się na szerokim łożu, w atlasowej pościeli. Spojrzała na śliczny, mały zegar z macicy perłowej. Złote, filigranowe wskazówki pokazywały dziesiątą. Zasnęła, ale, u diabła, jest naprawdę usprawiedliwiona - męczący lot, rodzinna kłótnia przy kolacji, ten odrażający synalek Alain i... Scott Harris, który wynurzył się nieproszony z twardej, brutalnej przeszłości, o której wolałaby zapomnieć.

Odrzuciła okrycie, przełożyła długie nogi przez krawędź wysokiego łóżka i podeszła do okna. Tak jak Franny, otworzyła okiennice i głęboko wciągnęła powietrze. Jakby łyknęła cudownego, klarownego wina. Kto to słyszał, żeby tlen potrafił tak odurzyć? Uśmiechnęła się na widok ogrodu i krzewów winorośli na kredowych wzgórzach, i skalistego krajobrazu, zamkniętego potężnym urwiskiem, na którym przycupnęła wioseczka jak z bajki. Chyba ta Prowansja nie okaże się w końcu taka zła.

Dziesięć minut później, po szybkim prysznicu, w białych szortach i śmiesznej podkoszulce z błyszczącym na piersi napisem: KLAMALIŚMY, ROZMIAR SIĘ LICZY, wiedziona aromatem kawy trafiła do kuchni.

- O, cześć, Haigh! - zawołała, kiedy się do niej odwrócił. - Jak tam sprawy?

- Dobrze, panno Clare, dziękuję. - Pomyślał kwaśno, że coś jest nie w porządku z tymi Amerykankami, nachodzącymi mu kuchnię jak swoją. Nie rozumieją, że to jego terytorium?

Clare posłała kamerdynerowi szeroki uśmiech, poczęstowała się kawą i wycofała do holu, a stamtąd przez otwarte frontowe drzwi na taras. Z filiżanką w ręku przysiadła na kamiennym lwie i bujała smukłymi nogami. Tego właśnie potrzebuje rano, żeby się porządnie rozbudzić. Kawy. A ta jest naprawdę dobra. Ciekawe, czy Franny już wstała. Och, na pewno. Jest skowronkiem, musiała wcześniej zrywać się z łóżka, skoro miała mnóstwo zajęć w czasie studiów, a teraz oczywiście o siódmej rano operuje zwierzęta. Clare to raczej człowiek sowa. Tak było zawsze, również wtedy, gdy utrzymywała się z tysiąca drobnych zajęć, choć na ogół różniły się od tego, co robiła Franny.

Skusił ją ługi podjazd wysadzany cyprysami. Zeskoczyła z lwa, została filiżanką na stopniach i powędrowała przed siebie. Doszła do bramy i wtedy zobaczyła Jake'a. Szedł w jej stronę ze swoim szarym, kosmatym psem, szpicami, Mimi i Louisem.

- Hej. - Pomachała mu energicznie. - Wyglądasz jak Szczurołap z Hamelin, tylko zamiast szczurów otaczają cię psy.

Jake roześmiał się.

- Mam nadzieję, że komunikat na twojej koszulce to nieprawda - powiedział. Zatrzymał się i francuskim zwyczajem ucałował ją w oba policzki.

- To nie powinno cię niepokoić - odparła. Uśmiechnęli się do siebie. - Nie wiedziałam, że znasz Franny - dodała, jak zawsze dociekliwa.

- Chciałbym znać ją lepiej, ale jest pewien problem.

- O co chodzi? - Clare oparła się o kamienny filar bramy z łuszczącą się farbą, skrzyżowała ręce na piersi.

Jake wyjaśniał, co się wydarzyło, choć pominął wątek seksu. Jednak pamiętając zwierzenia Franny przy lunchu w Shutters Hotel, Clare z ła-twością dośpiewała sobie resztę.

- Wcale się nie dziwię, że jest na ciebie zła - stwierdziła, kiedy skończył. - Nie zachowałeś się zbyt elegancko, choć rozumiem, że miałeś dobre intencje. Franny ma w sobie coś, czemu mężczyźni nie mogą się oprzeć, choć sama o tym nie wie.

- I to mi się w niej podoba - powiedział.

Clare kiwnęła głową.

- Cała Franny. No więc, co dalej?

Popatrzył na nią zdziwiony. Do tej pory nie zadał sobie tego pytania.

- Nie mam zielonego pojęcia! - Wzruszył ramionami.

- Ach, tak. - Clare opuściła ramiona i wyprostowała się na całą wysokość swojego metra osiemdziesiąt. - A zatem ostrzegam, panie Bronson, jeśli nie ma pan poważnych zamiarów wobec Franny, niech się pan trzyma od niej z daleka. Nie zasługuje na to, żeby znów ktoś się bawił jej kosztem, i ja na to nie pozwolę. - Wbiła mocno palec w jego pierś. - Zrozumiano?

- Tak jest - odparł posłusznie.

- Do zobaczenia. I uważaj - powiedziała, po czym pomaszzerowała zieloną ścieżką wśród wysokich traw, trybuli i białych, kredowych skał, prosto do wioski Marten de Provence.

Laurent Jarre szykował właśnie stoliki na tarasie, kiedy zobaczył idącą w jego stronę długonogą kobietę w białych szortach. Ustawił ostatnie nakrycia na różowych obrusach, poprawił szklane pojemniczki z przyprawami i wygładził fartuch wiszący nisko na brzuchu.

- Cześć! - zawołała Clare, pokonując jednym susem kilka kamiennych stopni.

Nie mógł nie zauważyć, jak ładnie przy tym zakołysały się jej piersi pod koszulką.

- *Bonjour, madame* - odpowiedział uprzejmie.
- *Bonjour* panu. - Zdjęła ciemne okulary i uśmiechnęła się. - Rogaliki? Nie dostałam nic do jedzenia w *chateau* i umieram z głodu.
Przez kilka sekund Jarre przekładała to sobie w głowie na francuski.
- *Pardon, madame, mais on n' a pas de croissants.*
- Clare opadła na krzesło, podparła dłonią brodę i prześlicznie się nadała.
- *Quel dommage* - powiedziała z tak straszliwym akcentem, że Jarre parsknął śmiechem. - Bardzo śmieszne, przynajmniej się starałam. - Wzruszyła ramionami.
- Jarre zrozumiał i teraz śmieli się oboje.
- Mogę tylko zaproponować świeżą bagietkę - stwierdził z miną wyrażającą przeprosiny.
- Clare z zachwytem walnęła pięścią w różowy stół.
- Poproszę. I największą kawę, jaką pan ma.
- *Bien, un grand cafe* - powtórzył, przy czym jego prowansalskie *bien* zabrzmiało jak *bieng*.
- Jestem Gara Marks, przyjaciółka Martenów - przedstawiła się. Nie była pewna, czy zrozumiał, ale spodobały się jej czarne oczy, ciemne włosy i budząca zaufanie postać Laurenta. Poklepała sąsiednie krzeselko. - Przysiadzie się pan? Puczę się trochę francuskiego.
- Jarre spojrzął na Clare. Już zauroczony, usiadł obok.
- *Eh, bien* - powiedział rozpromieniony. - Zaczynamy. Nazywam się Jarre.
- Bardzo mi miło.
- Prowansja okazała się zachwycająca.

Rozdział 41

Jake nie spał, ale do tego zdążył się przyzwyczaić. Przychodzi taki moment, kiedy przekracza się granicę zmęczenia. Dzięki Bogu blef się udał. Alain oczywiście mógł próbować ucieczki, ale Francja to niewielki kraj i trudno w niej zniknąć, zwłaszcza kiedy ktoś jest na liście poszukiwanych przez FBI. Jake liczył na to, że Alain skorzysta z okazji, by dostać się za granicę i uniknąć oskarżenia, i miał rację.

Samolot był zatankowany, a załoga gotowa do lotu, podobnie jak i Oscar, najpotężniejszy i najtwardszy ochroniarz z Marsylii, uprzedzony

o wszelkich ewentualnych problemach, jakie mógłby sprawić młody Marten.

Oscar zadzwonił z pokładu. Zawiadomił, że szałwz w drodze do Hoszimi-
nu, a pasażer złości się, ponieważ nie dostał alkoholu ani nic do jedzenia,
i wygraża załodze, ale nie ma się czym martwić, sytuacja jest pod kontrolą.
Chyba nie zaryzykuje już powrotu do Francji, pomyślał Jake.

Rano poszedł na długi spacer. Rozmyślał, co mógłby powiedzieć Fran-
ny, żeby zrehabilitować się w jej oczach, a teraz miał cichą nadzieję, że
Clare wstawi się za nim jakimś ciepłym słowem. Ciekaw był, czy Franny
już wstała, co robi i co o nim myśli. Podejrzewał, że na to ostatnie pytanie
odpowiedź jest łatwa. Franny całkiem jednoznacznie dała wczoraj wie-
czorem do zrozumienia, że ocenia go dokładnie tak samo, jak oszusta
i kłamcę Marcusa Marksa.

Pamiętał, jak wyglądała przy kolacji, skromna, w białej bluzce i kwie-
cistej spódnicy. Pamiętał ruch lśniących, jasnych włosów, kiedy odwróci-
ła się od niego i nieufnie spojrzała przez ramię. Miała rację, oczywiście
- nie znała go; usłyszała tylko historyjkę o Zbirze, a potem poszli do
łóżka.

Westchnął. Nie bardzo wiedział, co robić. Uznał, że przede wszystkim
musi skłonić Franny, żeby go wysłuchała. Po drugie, powiedzieć prawdę.
Po trzecie, wytłumaczyć, że nie mógł zawieść zaufania Rafaelli, a po
czwarte, zdać się na miłosierdzie Franny. Pomny żelaznej osobowości
pod powierzchownością delikatnej blondynki nie widział dla siebie więk-
szych szans. Chyba że Franny, tak jak i on, nadal czuje, że coś między
nimi iskrzy.

Minał fontannę i usiadł na schodach przed wejściem. Oparty o kamien-
nego lwa czekał na Zbira. Pies najwyraźniej dobrze się bawił, choć za-
chowywał dystans do ujadających szpiców i zarozumiałej pary z *chateau*.

- Kundle rządzą. Tak trzymaj, Zbirze. - Uśmiechnął się.

Pies przemknął przez podjazd, podbiegł do Jake'a, stanął zdyszany i rzu-
cił mu pod stopy zakrwawionego królika, po czym usiadł i triumfalnie
popatrzył panu w oczy. Jake nie bardzo wiedział, czy powiedzieć „niedo-
bry pies”, czy „dobry pies”. Ostatecznie wymyślił „cwany pies”, zawiązał
biednego królika w poranną gazetę, którą przyniósł z wioski, i poszedł do
kuchni.

Haigh skrzywił się na widok krwawego zawiniątka.

- Cholerne psy - mruknął i dodał: - Mimi ani Louis nigdy by tego nie
zrobiły. Nawet muchy nie złapią. - Pozwolił sobie na krótki śmiech. Szyb-
ko spowaźniał i popatrzył na Jake'a. - Dzięki za wczorajszy wieczór.
Tylko pan mógł wyrzucić stąd tego sukinsyna.

Jake wzruszył ramionami.

- Jest teraz tam, gdzie jego miejsce.

- I oby jego noga więcej tu nie powstała. - Haigh znów się skrzywił. - Od początku wiedziałem, że to on zepchnął dziewczynę z urwiska, mimo że miał alibi. Zresztą zawsze miał alibi na wszystkie okazje. Był zepsutym dzieciakiem i wyrósł na diabła. Dzięki Bogu Rafaella wreszcie przetrzała na oczy.

Jake kiwnął głową. Myślał o Feliksie. Był przekonany, że zna prawdę, ale z braku dowodów nic nie mógł zrobić. Wciąż nad tym pracował.

- Ktoś już wstał? - Sięgnął po filiżankę kawy i oparł się o kuchenny blat. Starał się, by jego słowa zabrzmiały swobodnie i naturalnie.

Haigh popatrzył na niego kątem oka. Wiedział, o kogo Jake pyta.

- Madame zjadła śniadanie u siebie. A madame Juliette jeszcze się nie pokazała, choć pewnie te cholerne szpice chcą sikać. Mam nadzieję, że nie na moje dywany. A mademoiselle Clare poszła pewnie do wsi.

- Cholerne szpice były ze mną na spacerze, więc się nie martw. - Jake czekał, że usłyszy coś o Franny, ale Haigh krzątał się wokół tac z kanapkami na popołudniowy cocktail, nucąc sobie fałszywie pod nosem coś, w czym Jake rozpoznał stary standard *As Time Goes By*. Westchnął ciężko. - Dobra, Haigh, mów, gdzie ona jest - wydusił w końcu.

Stary kamerdyner na chwilę podniósł głowę.

- A o kogo chodzi, panie Jake? - Udało mu się zrobić tak niewinna minę, że Jake się roześmiał.

- W porządku, kapituluję - sapnął. - Szukam Franny.

- Hmm. - Haigh wrócił do układania trójkącików z ciasta francuskiego na drewnianej desce do krojenia. - A więc jest pan nią zainteresowany?

- Powiedzmy, że mamy pewne sprawy do wyjaśnienia.

Haigh odchrząknął.

- Jak zwał, tak zwał, i tak o jedno chodzi. Poszła na spacer po ogrodzie. Znajdzie ją pan pewnie nad jeziorem.

Jake tak serdecznie walnął Haigha w ramię, że kawałki ciasta pofrunęły na podłogę, a na jego głowę sypnęło się kilka przekleństw. Uśmiechnięty, pobiegł trawiastą ścieżką nad jeziorem. Słońce stało wysoko na niebie. Rozłożyste gałęzie kasztanów rzucały mu pod stopy rozedrgane cienie. Na końcu liściastego tunelu lśniło zielone jezioro. Jake pamiętał, że jako chłopiec biegał tędy, żeby choć przez chwilę zobaczyć Rafaelę, побыć trochę w jej towarzystwie, słuchać opowieści o rodzinie Martenów i srebrzystego śmiechu, pławić się w ożywczym blasku fascynującej kobiety i topnieć od środka, gdy napotkał spojrzenie pięknych oczu, niebieskich jak Morze Śródziemne.

A jednak osoba, którą poślubił, bardzo różniła się od Rafaelli. Amanda była cichą, nieśmiałą dziewczyną o delikatnej urodzie, pracownikiem naukowym z widokami na profesurę. Chciała wykładać angielski.

Jake zatrzymał się. Oparł dłonie o potężne drzewo i zrobił kilka skłonów. Biegał znakomicie, jeszcze i teraz z łatwością pokonałby trasę maratonu, choć nie zmieściłby się już w pierwszej dziesiątce. Jak na czterdzieści cztery lata - niezłe.

Wyprostował się i zobaczył Franny. Przechylna przez barierkę na czerwonym mostku, wpatrywała się w zielonkawą wodę. Przeszedł wolno ostatnie kilka metrów i stanął obok Franny. Obejrzała się przez ramię, po czym wróciła do obserwacji karpia, który rzucał się w dole, pod mostkiem. Przez dobrą minutę trwało milczenie.

W końcu Jake odezwał się.

- Przepraszam. Wiem, co myślisz, ale byłem w kłopotliwym położeniu. Nie mogłem ci powiedzieć, dlaczego naprawdę chciałem się z tobą spotkać, bo zawiódłbym zaufanie Rafaelli. Zaproszenie miało być niespodzianką. - Gdy Franny odsunęła się, powtórzył z pokorą:

- Przepraszam. Pewnie sądzisz, że cię wykorzystałem, ale tak nie było. Spodobałaś mi się już w chwili, kiedy besztiałaś właściciela Marmolady. Zachwycała mnie twoja siła, niezależność. Wiedziałem, że miałaś ciężkie życie i potrafisz zdobyć się na poświęcenie. A kiedy zobaczyłem, jak bardzo troszczysz się o zwierzęta, polubiłem cię jeszcze bardziej. - Westchnął, nie był nawet pewien, czy Franny go słucha. - Kiedy tak starannie zajmowałaś się moją kostką, czułem się jak owczarek niemiecki, któremu uratowałaś życie. Twoja opieka sprawiła mi ogromną przyjemność.

Położył dłoń na jej ramieniu, ale Franny ją strząsnęła. Odeszła dwa kroki. Przyniósł się. Zmarszczyła brwi i szybko ruszyła przez mostek do altanki. Opadła na starą, niebieską kanapę i odwróciła głowę. Patrzyła na jezioro.

Jake sięgnął po krzesło. Usiadł naprzeciwko, oparł łokcie na kolanach. Trzymał w ręku białą różę zerwaną po drodze z jednego z krzewów, gęsto rosnących wokół pawiloniku.

- Franny - odezwał się po kilku minutach pełnej napięcia ciszy. - Czy kiedykolwiek się do mnie odezwiesz?

- Nie.

Patrzył skonsternowany na jej odwróconą głowę, na jasne włosy. Nie mógł mieć do niej pretensji. W końcu prawie go nie znała. Był tylko facetem, który podstępem wdarł się do jej życia i łóżka. Nienawidził opowiadania o sobie. Nigdy i przed nikim nie odsłaniał swoich ran i lęków, ale skoro pragnie tej kobiety, właśnie to musi teraz zrobić.

Rozdział 42

Siedział nieruchomo, wpatrzony we Franny. Miał ochotę odgarnąć do tyłu jej długie włosy, patrzył w twarz, ale wiedział, że ona na to nie pozwoli. Pozostało tylko jedno wyjście. Spróbować wytłumaczyć, kim jest.

- Kiedy miałem szesnaście lat - zaczął - zamieszkałem w *chdteau* i poznałem Rafaellę. Była kochanką mojego ojca i najpiękniejszą kobietą, jaką widziałem w życiu. Sam z kolei byłem najbardziej samotnym dzieciakiem na świecie; żyłem snami i nadzieją na wyjazd z hacjendy, rozbudzana za każdym razem, kiedy Lucas, mój ojciec, wracał do domu. Ale przyjeżdżał nie po to, żeby być ze mną, tylko żeby jak najszybciej wybrać nowe konie do gry w polo dla swoich bogatych klientów. Kiedy skończyłem szesnaście lat, Lucas w końcu zorientował się, że jestem nieokrzesanym prostakiem. Podejrzewam, że doszedł do wniosku, iż trzeba coś ze mną zrobić, i swoim zwyczajem podrzucił mnie Rafaelli, po czym zostawił nas razem, żebyśmy sobie jakoś radzili, podczas gdy on podróżował po świecie i grał w polo. A grał dobrze, był jednym z najlepszych na świecie. Nie mogę mieć do niego żalu, że wybrał karierę, ale mam pretensję, że zapomniał o synu. I o to, co zrobił Rafaelli.

Jake widział tylko nieruchome plecy Franny. Nie miał pewności, czy jego słowa do niej trafiają, ale czuł potrzebę opowiedzenia wszystkiego. A mówił o sprawach, których nigdy nie wyjawiał nikomu, nawet Rafaelli. Ani Amandzie, wyznającej zasadę, że przeszłość trzeba zostawić za sobą i żyć bieżącą chwilą.

- Rafaella miała przed sobą samotnego chłopca, który nie wiedział ani kim jest, ani do czego dąży w życiu - mówił cicho. - Kiedy zobaczyła mnie po raz pierwszy, otworzyła ramiona i mocno mnie pocałowała. Mówię ci, Franny, myślałem, że umrę od tego pocałunku. Od razu pokochałem tę kobietę. Zrobiłbym dla niej wszystko, oddałbym nawet życie. I do dziś czuję to samo. Dlatego nie zdradziłem tajemnicy i nie powieiedziałem ci o zaproszeniu, dlatego musiałem wyznać Rafaelli prawdę o Alanie i ostatecznie usunąć go z jej życia. - Wzruszył ramionami. Nadal nie wiedział, czy Franny słucha, ale ponieważ zabrnął już tak daleko, mógł równie dobrze wyznać wszystko do końca. - W każdym razie - ciągnął - Rafaella zrobiła ze mnie cywilizowanego człowieka i nauczyła obracać się w towarzystwie. W końcu umiałem wtedy tylko jeść z kowbojami i jeździć konno. Wynałazła mi nauczycieli, potrafiła zrozumieć, na czym

mi w życiu zależy. Wiedziała, że jestem w niej zakochany, a ja zdawałem sobie sprawę, że ona szaleje za moim ojcem. Łączyło nas coś w rodzaju układu o neutralności, założenie, że sprawy tak właśnie się ułożyły i na zawsze takimi pozostaną, ale to nie znaczyło, że przestaliśmy się nawzajem kochać. Była dla mnie jak matka, a ja, żółtodziób, zмагаłem się z pierwszą miłością mojego życia. Rok później w stosunkach Rafaelli z moim ojcem nastąpił kryzys. Ojciec odbił to sobie na mnie, kazał mi się wynosić i żyć od tej pory na własną rękę, a nie na jego koszt. Spakowałem się i wyjechałem. Nigdy go już nie zobaczyłem. - Popatrzył na Franny, która ukryła twarz w dłoniach. - Rafaella utrzymywała ze mną kontakt - mówił dalej. - Ale mijały lata, a ja nie spotkałem się z nią ani razu. I nagle, parę miesięcy temu, zaprosiła mnie tutaj. Początkowo wahałem się. Bałem się, że dzisiejsza rzeczywistość nie dorówna moim wyidealizowanym wspomnieniom, ale potem zrozumiałem, że muszę przyjechać, ochronić Rafaellę. Przyznaję, że chciałem cię sprawdzić. Musiałem upewnić się, że nie jesteś pazerną babą, która będzie chciała ograbić Rafaellę ze wszystkiego, bo to ona zajmowała najważniejsze miejsce w moim życiu. A potem poznałem ciebie i wszystko się zmieniło. - Patrzył z niepokojem na sztywne plecy Franny. Nie odezwała się. Westchnął i mówił dalej: - Pojechałem do Hong Kongu, żeby namówić Feliksa na przyjazd do domu. Nie zgodził się. Odkryłem, że później, tej samej nocy, był u niego Alain, zapewne chciał pieniędzy. Felix odmówił i jestem pewny, że to Alain go zabił. Widzisz więc, dlaczego musiałem sprawdzać wszystkich gości, nawet rodzonych synów Rafaelli - kończył cicho. - I teraz rozumiesz, co znaczyła ta przykra scena wczorajszego wieczoru. - Wydawało mu się, że plecy Franny odrobina się rozluźniły; zauważył minimalny ruch ramion i lekkie pochylenie karku, ale wciąż nie padło ani jedno słowo. - Przez Feliksa trafiłem na ślad Błękitki. Kiedy tylko zobaczyłem te niebieskie oczy, wiedziałem, że mała jest wnuczką Rafaelli. Sprawdziłem wszystkie okoliczności i upewniłem się, że jej ojcem był Felix. Załatwiłem, by przyjechała tu i poznała swoją francuską babcię. Bardzo liczę na to, że znów wniesie w serce Rafaelli choć trochę radości. - Wziął głęboki oddech. - A jeśli chodzi o powrót do miejsca, które we wspomnieniach zawsze nazywałem swoim domem... - Wzruszył ramionami. - Obawy były bezpodstawne. Rafaella okazała się jak zawsze piękną i pełną życia, ale samotną kobietą. Mój ojciec zostawił ją wiele lat temu. Nigdy nie poznałem szczegółów, ale wiem, że umarł. Tak naprawdę nie miałem ojca, więc nie odczułem żadnej straty, ale też nie pytałem Rafaelli, jak ona to przeżyła. To jej tajemnica, którą pewnie zabierze ze sobą do grobu.

Franny popatrzyła na niego przez ramię.

- Okropne - szepnęła. - Coś ty, na Boga, robił po wyjeździe z *chateau*?

Pochylił się do przodu, wciąż z łokciami opartymi na kolanach; patrzył na różę, którą obracał w swoich dużych dłoniach.

- Wstąpiłem do marynarki, dostałem się do Annapolis. Skończyłem studia, jakiś czas pływałem na atomowych okrętach podwodnych. Potem zaproponowali mi pracę w wywiadzie marynarki. Kochałem życie, przyjaźń i ryzyko. Byłem par excellence ryzykantem i to w końcu mnie zgubiło. - Zamilkł. - Opowiem ci o mojej żonie - odezwał się znów po chwili. - Miała na imię Amanda. Poznałem ją na Harvardzie, w bibliotece. Chodziłem tam na wykłady, a ona przygotowywała pracę dyplomową z angielskiego. Wyjątkowo zdolna, intelektualistka. Dziewiętnaście lat i już tytuł naukowy. Na dodatek była prześliczna. - Oparł głowę na dłoniach, patrzył w podłogę. - Wciąż ją widzę, jak siedzi przy biurku, z zielonkawą poświatą od lampy na bladej twarzy. Drobną, szczupłą, z długimi, czarnymi włosami i piwnymi oczami; zawsze żartowałem, że są podobne do oczu małego spaniela: łagodne, ciepłe, a jednocześnie inteligentne. Nosiła obcisłe czarne golfy, krótkie spódniczki, czarne rajstopy i ciężkie, czarne buciory. Mówiłem że jest reliktem pokolenia bigbitowców, że pasowała by do epoki Juliette Greco i Simone de Beauvoir, i właściwie przyznawała mi rację. - Westchnął. - Pobraliśmy się jeszcze przed końcem semestru. Napisaliśmy o tym do Rafaelli, bo wiedziałem, że jest jedyną osobą, którą naprawdę to obchodzi. Przesłała nam prezent ślubny, stary, wspniany kandelabr ze srebra. Mam go do dziś w domku w lesie. I za każdym razem, kiedy na niego patrzę, myślę o Rafaelli.

- I Amandzie. - W głosie Franny było zrozumienie i współczucie.

Kiwnął głową.

- Amanda wiedziała, że pracuję w wywiadzie, ale nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Dwa lata po ślubie zaszła w ciążę. Nie wiedziałem, jak się zachować. Nie miałem żadnego doświadczenia w opiece nad dziećmi: „Wszystkiego się nauczysz”, stwierdziła ze śmiechem, i wtedy uświadomiłem sobie, że chcę mieć córkę taką samą, jak ona. Pojechaliśmy do Tunezji na krótkie wakacje. Pewnego wieczoru wybraliśmy się do restauracji. Nie zachowałem czujności; wydawało mi się, że nie ma powodu do niepokoju. Wyjechaliśmy z za rogu; nagle zobaczyłem blokadę, a wokół niej rozlaną benzynę. Samochód wpadł w poślizg, uderzył w barierę... i wybuchł. To był starannie opracowany zamach kontrwywiadu. Miałem zginąć. Ale zamiast mnie zabili moją żonę i nie narodzone dziecko. O włos uniknąłem śmierci. I wierz mi, Franny, żałowałem, że żyję. - Patrzył na nią pośepnie, jak człowiek, który na nowo

przeżywa koszmar. Poczuł na swojej dłoni jej rękę; gładziła go delikatnie, tak jak się uspokaja rannego psa. - Wciąż mam poczucie winy. Setki razy zastanawiałem się, gdzie popełniłem błąd. Amanda ufała mi bezgranicznie, aja ją zawiodłem. Tego nie da się wybaczyć. - Wzruszył ramionami. - Po roku intensywnej terapii psychologicznej uznałem, że mogę już wrócić do gry. Ale moi szefowie byli innego zdania. Wiedzieli, że rwę się do zemsty i dlatego jestem niebezpieczny. Zaproponowali mi więc robotę papierkową, jaką zwykle daje się w takich przypadkach „niepełnosprawnym” pracownikom. Wolałem się wycofać. - Wstał, podszedł na skraj altanki. Wsunął ręce do kieszeni, patrzył pustym wzrokiem gdzieś ponad jeziorem. - Przez rok włóczyłem się po barach. Piłem za dużo i nie obchodziło mnie, co się stanie z moim życiem. Potem się pozbierałem i kupiłem osiem hektarów ziemi w górach. Znalazłem tam schronienie i wybudowałem dom, od początku do końca własnymi rękami. Nikomu nie pozwoliłem go tknąć, nikomu nie wolno było tam przyjeżdżać. Ciężka praca, samotność i zwykła dobroć zwierząt, Zbira i Harry’ego, ocaliły moje zdrowie psychiczne. W końcu jednak poczułem, że trzeba mi czegoś więcej, i tak znalazłem się na Manhattanie w charakterze prywatnego detektywa. Ludzie pamiętali nazwisko mojego ojca, wiedzieli więc, kim jestem. Zajmowałem się wielkimi skandalami towarzyskimi, rozwodami, próbami podważania testamentów, poszukiwaniem żon, które uciekały z innym mężczyzną... A ponieważ byłem w tym dobry, zaczęli zjawiać się poważni klienci: korporacje, spółki farmaceutyczne i wielkie firmy gospodarcze chroniące się przed szpiegostwem przemysłowym. Po nich przyszły zlecenia ochrony i stworzenia specjalnych środków bezpieczeństwa. Zaczęłem obsługiwać zagranicznych polityków, którzy boją się zamachów, i największe gwiazdy Hollywoodo nagabywane przez wielbicieli. Dla miliarderów mieszkających na Riwierze zatrudniłem ochroniarzy szkolonych w Mossadzie i nadal blisko współpracowałem z wywiadem. Śledziłem facetów, którzy mogą sprawić kłopoty, tropiłem terrorystów, ale cały czas szukam zabójców Amandy. - Odwrócił się i spojrział na Franny. Siedziała z podwinętymi nogami i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. - Dużo wiem o najwyższych sferach - ciągnął - a jeszcze więcej o najniższych. Mam informacje niemal o każdej grubej rybie, więc wszyscy są moimi przyjaciółmi. Ale prawdziwi przyjaciele to faceci, z którymi razem służyłem. Teraz pracują dla mnie. Tylko im mogę całkowicie ufać. - Jeszcze raz wzruszył ramionami; wreszcie udało mu się pochwycić jej wzrok. -I dlatego jestem taki, jaki jestem, Franny. - Podniósł z podłogi porzuconą przez siebie różę i przytknął ją do nosa, potem podał kwiat Franny. - Nie jest to bukiet lilii - powiedział miękko - ale znów coś na przeprosiny.

- Dziękuję. - Ton Franny brzmiał łagodnie.

Jake ukląkł koło niej.

- Jesteśmy do siebie podobni, Franny. - Trzymał w dłoniach jej ręce. - Dwaj rycerze walczący z samotnością.

Zsunęła się z ławki obok, na ziemię, a Jake wziął ją w ramiona i pocałował. W ciepłe jego warg, w dotyku długiego, smukłego i mocnego ciała, w uścisku ramion była namiętność, o jakiej mogłaby marzyć każda kobieta na świecie.

Rozdział 43

Juliette przysiadła na brzeżku łóżka Rafaelli, tak samo jak to robiła wielokrotnie w ich młodych latach; wtedy jednak prowadziły babskie rozmowy o mężczyznach, dzieciach i ciuchach. Teraz nie było już mężczyzn, o których można by plotkować, a dla Rafaelli skończyły się też dyskusje o dzieciach.

Louis i Mimi rozciągnęły się w nogach łóżka, wyczerpane po długim spacerze z Jakiem. Pochrapywały, wciąż polowały przez sen i pachniały lasem, w którym niedawno kopały nory, ale Rafaella nie zwracała na to uwagi. Leżała oparta na poduszkach, trzymała na kolanach białą wiklinową tacę ze śniadaniem i nietkniętą kawą.

Juliette popatrzyła na przyjaciółkę zaniepokojona.

- Lepiej, że znasz prawdę, *cherie* - powiedziała. - Dzieci mogą być jedną z największych radości, jakie daje życie, ale równie często mogą rozdzierać serce. Wiesz mi, nie popełniłaś żadnego błędu, jeśli chodzi o Alaina. No chyba że za bardzo go kochałaś. I tylko dlatego przymykałaś oczy na jego wady. A teraz musisz pozbyć się tego ogromnego poczucia winy, bo to Alain sam decydował o swoim życiu, nie ty. - Odstawiła filiżankę z kawą i przytuliła się do Rafaelli tak jak w dawnych czasach. - Pamiętaj, że masz teraz Błękitkę i Franny, Jake'a, Clare i Scotta. Życie przed nimi, Rafaello. Musisz otrząsnąć się, *cherie*, i ja chcę ci w tym pomóc.

Rafaella spojrzała na nią z wdzięcznością.

- Jak ja przeżyłam te wszystkie lata bez ciebie, Juliette?

- Widocznie nigdy nie musiałaś chodzić na zakupy. - Juliette rozśmieszyla Rafaellę tą odpowiedzią. Śmiech przyjaciółki sprawił jej dużą przyjemność. - A więc - ciągnęła - co wkładasz dziś wieczorem? - Tym właśnie zawsze się zajmowały; planowaniem ubiorów i dobrej zabawy.

Rafaella zmusiła się do zastanowienia.

- Chyba ciemnognanatową koronkę. Tę od Saint Laurenta, pamiętasz? Razem ją kupowałyśmy.

Z pozoru życie znów toczyło się normalnie. Juliette pomyślała, że w tej chwili na więcej nie powinna liczyć.

Rozdział 44

Błękitka siedziała przy wyszorowanym sosnowym stole w kuchni - liczyła białe i czarne płytki podłogi. Było ich tyle, że wystarczyłoby chyba na pokrycie dziesięciu takich pokoików, w jakim mieszkała z Bao Chu. Bardzo tęskniła za babcią. Wełniana owieczka tkwiła na krześle, zawinięta starannie w ręcznik, który zastępował koc. Na stole przed dziewczynką stała szklanka mleka.

Haigh wyszedł ze spiżarni. Niósł na talerzyku czekoladowe ciasteczko. Postawił je przed małą, a obok położył serwetkę.

- Mleko i ciasteczka. To stary amerykański zwyczaj - mruknął. - Ale my tu ograniczamy się do jednej sztuki. Od cukru psują się zęby.

Dziewczynka popatrzyła na niego niezbyt przytomnie; nie rozumiała, o co chodzi.

Haigh usiadł po drugiej stronie stołu. Nachylił się, oparł ręce na łokciach i splótł dłonie. Mała była tak chudziutka, zmęczona i nieufna, tak wruszająca, że Haighowi aż zwilgotniały oczy.

- Opowiedz mi o Bao Chu - poprosił.

Znad blatu błysnęło spojrzenie.

- Chciałby pan poznać Bao Chu?

- Przecież to twoja babcia, prawda? A ja chcę wiedzieć o tobie wszystko. Gdzie mieszkasz, jak wygląda Szanghaj i twoja szkoła...

- Najbardziej kocham szkołę i babcię - odparła szybko.

- Hm, a nauczycieli też lubisz?

Z entuzjazmem kiwała głową.

- Uczę się angielskiego.

Kamerdyner zmarszczył czoło.

- Właśnie słyszałem twój angielski.

Zarumieniła się i spuściła głowę.

- Och, tego nauczyłam się na ulicy, od innych.

- Rozumiem. Jestem pewien, że Bao Chu nie chciałaby, żebyś tak mówiła.

- Och, nie, nigdy - **odparła z przejęciem. - W życiu nie powiedziałam** tak do babci.

Haigh uśmiechnął się.

- Do tej babci też lepiej tak nie mów.

- Och, nie. Nie. Obiecuję.

- Musimy pojechać na zakupy, zanim zamkną sklepy. - Zastanawiał się właśnie, gdzie jest Franny i Jake, gdy do kuchni wtargnęła Juliette, wśród ogólnego zamętu i jazgotu psów.

- Czy ktoś mówił o zakupach? - Juliette pocałowała powietrze nad głową Błękitki. - *Bonjour, mon petit chou* - przywitała się, z zapałem ściskając małą w objęciach. - Jeśli tak, panienska Juliette chętnie służy pomocą.

Haigh rzucił jej znaczące spojrzenie.

- Chyba nie panienska, madame.

- Wiek to sprawa stanu ducha, Haigh, powinieneś to zapamiętać. W każdym razie jestem młodsza od ciebie, prawda?

- Możliwe, madame - odpowiedział wyniośle. - Panna Franny miała nam towarzyszyć do miasta, ale gdzieś się zapodziała.

- Jest nad jeziorem z Jakiem - wyjaśniła uprzejmie Błękitka.

Spojrzeli na nią zdumieni.

- Teraz? - spytał sucho Haigh.

- *Et alors!* - zawołała Juliette. - Wypij mleko, kochanie, i jedźmy. Trzeba ci kupić elegancką sukienkę na dzisiejszy wieczór.

Rozdział 45

Była szósta po południu. Rafaellę czekało wyjście z pokoju do gości. Siedziała przy otwartym oknie, w starej bibliotece na parterze, która od pewnego czasu stała się sypialnią; otoczona dębowymi półkami pełnymi oprawnych w skórę książek, nabytków pradziadka, pragnącego olśnić narzeczoną, i srebrnymi ramkami, w których tkwiły fotografie kolejnych psów, a także ciotek, wujów, matki i ojca. Mnóstwo drobiazgów w zasięgu wzroku przypominało wydarzenia z jej długiego życia: jedwabny szal w kolorze róży, kupiony dawno temu w Indiach, misterna, marokańska lampa z koralików i srebrne pudełeczko z Anglii, w którym leżały pierwsze, miękkie loczki jej synów. Na toaletce wciąż stał prezent od Lucasa, weneckie lustro ozdobione kwiatami i zawijasami.

Kiedy je kupił, byli kochankami dopiero od kilku miesięcy. Wrócił wtedy po dłuższej nieobecności, gdy -jak sądziła - grał w polo. Nigdy nie była pewna, czy nie robił czegoś poza tym, ale duma nie pozwalała jej go szukać. Wiedziała też, że Lucas nie należy do grona wiernych mężczyzn.

Wszystko mu wybaczyła, gdy dostała to piękne zwierciadło. „Jak mógłbym kiedykolwiek o tobie zapomnieć”, szepnął. Pocałował ją wtedy, a ich profile odbiły się w lustrze. Prawdę mówiąc, pomyślała teraz Rafaella, niewiele było rzeczy, których by ono nie widziało.

Zegar w holu jęknął, zgrzytnął i głuchym tonem, tak jak od kilku dzieciątków lat, wybił szóstą. Tego wieczoru było jednak inaczej; w *chateau* nie panowała już cisza. Rafaella słyszała bulgot wody w rurach, gdy jej goście brali kąpiel. Ryczał telewizor - to na pewno Juliette; jak zawsze, nałogowo, ogląda wiadomości. Na schodach rozbrzmiewały dziecięce kroki, cienki, podniecony głosik wołał Franny. Dźwięki te mieszały się ze stukaniem wysokich obcasów na parkiecie, ujadaniem szpiców i auto-rytatywnym głosem Haigha, który wydawał polecenia kelnerom sprawdzonym z miasta, ponieważ dziś wieczorem wszyscy mieszkańcy wioski występowali w roli gości. Muzycy wynajęci na noc sprawdzali mikrofony na tarasie. Brzęczały tace i srebra ustawiane na stołach, wszędzie rozchodził się zapach kwiatów.

Zniknęła cisza, ulotniło się poczucie samotności. Rafaella podniosła głowę. Wciągnęła potężny haust słodkiego powietrza i uśmiechnęła się na myśl, że razem z nią oddycha cały dom. Znowu ożył, a dziś wszystko zaczyna się od początku.

Shao Lan brała prysznic we własnej łazience. Nigdy dotąd nie miała łazienki ani nawet porządnego prysznica, dlatego obracała się pod ciepłymi strumieniami i trzepała głową jak szczeniak pod ogrodowym zraszaczem. Przeżyła wspaniałe chwile. Juliette wynalazła najpiękniejsze sukienki, jakie Błękitka w życiu widziała, dobrała do tego jeszcze szorty, podkoszulki, letnie sukienki na ramiączkach, kostiumy kąpielowe, zabawne tenisówki i delikatne, mięciutkie sandałki. A po powrocie do *chateau* Juliette po prostu wyrzuciła okropne czarne buty do śmietnika. Potem pocałowała małą i powiedziała: „Idź, poszukaj Franny, *ma petite*. Pomoże ci się ubrać”.

Błękitka popędziła na górę, stanęła na chwilę na podeście, zatańczyła z emocji i zatrzymała się zamyślona. Coś wydało jej się dziwne. Jeżeli tata naprawdę jest synem babci Rafaelli, musi być bogaty. Dlaczego więc, pomyślała smutno, nie zaopiekował się nią i Bao Chu? Dlaczego nigdy

jej nie odwiedził i nie przywiózł tutaj na spotkanie z *grandmerel* I czemu, no właśnie, czemu nie kocha swojej córki?

Zbiegła po schodach, by zadać te ważne pytania Haighowi. Instynktownie wiedziała, że stary kamerdyner jej nie okłamie. Ale Haigh stwierdził, że to skomplikowana sprawa. Powiedział, że później Rafaella wszystko jej sama wytłumaczy, trzeba tylko cierpliwie poczekać. Potem, powoli, żeby dziewczynka na pewno zrozumiała, dodał: „Babcia Rafaella cię kocha. Możesz mi wierzyć”. I po raz pierwszy w życiu Błękitka uwierzyła.

Teraz wyskoczyła spod prysznic i zawinięta w ręcznik tańczyła wokół swojego Czerwonego Pokoju: dokładnie przyglądała się starym domowi dla lalek, zdobionym meblom, stoliczkom z obrazkami, przy których stawała, żeby złożyć ukłon, na wypadek gdyby pojawił się w pobliżu ktoś z przodków, o których opowiadała jej Bao Chu. W kilku piruetach dotarła do okna, wskoczyła na wyłożone poduszkami siedzisko i wychyliła się na zewnątrz. Długo porównywała widok z tym, co oglądała przez okno małego pokoiku w Szanghaju - wymarła uliczka, śmieci w rynsztoku, domy podparte bambusowymi kijami i halogenowe światła, w których twarze wyglądały jak maski. Tak bardzo chciałyby mieć przy sobie Bao Chu, mieszkać z nią w tym wspaniałym *chateau*, razem cieszyć się swobodą, zielenią, kwiatami i ludźmi, którzy ją kochają. Szczęście było dla Błękitki nowym doznaniem, smakowała je więc jak rzadki, cudowny przysmak.

Krzyknęła z radości na widok małego, niebieskiego pudełeczka obwiązanego białą wstążką. Stało na poduszce, z kartką: *To jest drobny upominek dla ciebie, Błękitko. Niech ci przyniesie szczęście na dzisiejszym wieczornym przyjęciu u grandmere. Ucałowania, ciocia Juliette.*

Przeczytała napis jeszcze raz, chwyciła pudełeczko, poprawiła ręcznik i popędziła do sąsiedniego pokoju, żeby pochwalić się Franny, która właśnie szcztokowała włosy przed lustrem.

- Zobacz, zobacz. Prezent! - wołała, pokazując paczuszkę.

Franny uśmiechnęła się. Na jej toalecie stało podobne pudełko.

- Jak to cudownie, że Juliette o nas pomyślała, kochanie - powiedziała.

W tej samej chwili do pokoju wpadła Clare otulona chmurą perfum i niemal niczym poza tym. W jednej ręce trzymała wieszak z sukienką, w drugiej niebieskie pudełko od Tiffany'ego.

- Dostałam od Juliette - oznajmiła ze zdumieniem. - Wyobrażasz sobie? Jest tak fantastyczna, że chciałybym być już starsza i choć trochę do niej podobna.

Błękitka nie mogła dłużej czekać. Pierwsza otworzyła swoją paczuszkę. W środku była srebrna bransoletka z breloczkiem w kształcie serduszka.

- To naprawdę dla mnie? - pytała, patrząc na Franny, a kiedy usłyszała, że tak i powinna włożyć ją wieczorem na szczęście, rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

Clare i Franny z okrzykami zachwytu zajrzały do swoich pudełeczek.

Franny z niepokojem spoglądała na zegarek, kiedy szybko ubierały Błękitkę w nową sukienkę z cukierkoróżowej bawełny, związaną na ramionach atłasowymi kokardami. Mała wsunęła stopy w nowe sandałki z różowego zamszu, Clare pomalowała jej na różowo paznokcie, a Franny wyszczotkowała krótkie, czarne włosy. Podziwiała właśnie efekt swoich zabiegów, kiedy Błękitka wsadziła na czubek głowy mały, błyszczący diadem, który Juliette wynalazła na ulicznym straganie. Będziesz dziś księżniczką, *mapetite*, obiecała jej Juliette. Teraz, patrząc z zachwytem w lustro, dziewczynka doszła do wniosku, że obietnica się spełniła.

Clare szybko wśliznęła się w białą taftową suknię bez ramiączek, podkreślając oliwkowy odcień aksamitnej skóry, do tego czarne, atłasowe kłapki, kopertowa torebka, czarne włosy ściągnięte do tyłu w kok, odrobina czerwonej szminki - i gotowe. Oceniła całość w lustrze i podciągnęła górę sukienki.

- Dziewica gotowa do złożenia w ofierze - oznajmiła, szczerząc zęby.
- Odwróciła się i zobaczyła Franny w kwiecistej, niebiesko-żółtej spódnicy i żółtym topie bez rękawów. - O, nie, nie. Nie i nie! Trzeba było mnie słuchać, Franny!

- Za późno. - Franny wiedziała, że wygląda beznadziejnie.

- To za mało wytworne na wielki wieczór Rafaelli - zirytowała się Clare. - Zaczekaj tu, zobaczę, co da się zrobić. - Stukając kłapkami po parkiecie, pomknęła do swojego pokoju.

Błękitka i Franny usiadły w oknie. Franny z przerażeniem zerkała na zegarek. Minuty pędziły jedna za drugą. Błękitka machała nogami. Franny zmarszczyła brwi. Nie ma gustu, to jej odwieczny problem; martwiła się, co pomyśli o niej Rafaella. A Jake? Jęknęła. Dziewczynka zaniepokojona poklepała ją po ręce.

Wpadła Clare z naręczem ubrań.

- Ściągaj to - zakomenderowała. Wbiła przyjaciółkę w obcisły, czarny top z jedwabiu i koronki, który ładnie eksponował biust, choć Franny narzekała, że za wiele odsłania, i w jedwabną spódnicę w kolorze fuksji, rozkloszowaną na wysokości kolan. Czerwone, zamszowe sandałki okazały się o numer za małe, ale Clare stwierdziła, że nie czas martwić się

drobiazgami. Zdjęła nieduże, perłowe kolczyki z uszu Franny i założyła jej długie, srebrne, darowane przez Juliette. Potem pospiesznie zebrała włosy Franny na czubku głowy, przytrzymała je tuzinem spinek, pozwalając jednak opadać kosmykom swobodnie w seksownym nieładzie. Mocniejsza szminka, odrobina różu na policzki i mała torebka ze srebrnej siatki na długim łańcuszku wieńczyły dzieło.

Clare cofnęła się, sprawdzając efekt swoich starań.

- Teraz Kopciuszek musi pójść na bal. - Złapała Franny za rękę, by przyjaciółka nie mogła dłużej oglądać się w lustrze i protestować, że pokazuje za dużo ciała i nie wygląda naturalnie. Wypchnęła najpierw przez drzwi Błękitkę i kiedy stary zegar wybijał godzinę szóstą, wszystkie trzy zbiegały po schodach.

W swoim pokoju za kuchnią Haigh wbijał się w fantazyjną, barwną brokatową kamizelkę. Zapiął ją, obciągnął jak należy i uznał, że Juliette zawsze wiedziała, czym sprawić człowiekowi przyjemność. Założył na to ciemnogranatowy, aksamitny smoking z wąskimi, jedwabnymi kłapami, należący jeszcze do pradziadka Martena, i z podziwem popatrzył w lustro. Smoking z kamizelką wyglądał dobrze, a biała, wykrochmalona koszula, czarna jedwabna muszka i czarne spodnie tworzyły razem strój bardzo odpowiedni na wieczór. Hm, pomyślał, nieźle, mimo wszystko.

Mimo co? Cóż, mimo upływu czasu, mimo faktu, że jest to pierwsze przyjęcie od ponad dziesięciu lat, i tego, że... tak, że dziś wieczorem jest szczęśliwym człowiekiem. Nawet się uśmiechał, kiedy wychodził na taras, gotów dowodzić wynajętymi pomocnikami.

Juliette, w wąskiej, dopasowanej sukni ze srebrnej lamy i w brylantach migotała, schodząc do pokoju Rafaelli. Po raz pierwszy w życiu była punktualna, bo chciała mieć pewność, że z przyjaciółką nie dzieje się nic złego. Szpice zostały zamknięte w sypialni; zostawiła im w srebrnych miseczkach stopy mięsa z kurczaka. Później, kiedy przyjęcie będzie w pełnym toku i nikt nie zauważy, wypuści je, bo nie może znieść myśli, że miałyby stracić taką uroczystość.

- Rafaella?! - zawołała, zapukała i, nie czekając na odpowiedź, weszła do środka.

Rafaella siedziała przed weneckim lustrem od Kochanka, obojętnie wpatrzona w swoje odbicie, ubrana w długą suknię z granatowej koronki. Delikatne żabki wycięcia zdobiły obojczyki, a długie szyfonowe rękawy nadawały całej sylwetce szczególny wdzięk. Na obu nadgarstkach zapięła ogromne szmaragdowe bransolety, a włosy zwinęła w prosty kok,

odstaniający długą szyję i ciężkie kolczyki z brylantami i szmaragdami, sięgające niemal do ramion.

Juliette otworzyła usta. Przez moment zobaczyła Rafaellę taką, jaką przed laty musiał ją widzieć Kochanek - zmysłową, podniecającą kobietę, której uroda może obezwładnić każde męskie serce.

- Kochanie. - Podeszła, żeby ją uściskać. - Jesteś prawdziwą królową balu. *Cherie*, nawet jeśli obie dożyjemy setki, nigdy nie stracisz tego czaru, podczas gdy ja... - Przesunęła dłońmi po swojej pulchnej figurze. - Cóż, będę coraz grubsza i głośniejsza, i nie pozostanie mi nic innego, jak tylko liczyć na swój wdzięk.

- Naprawdę mamy szczęście - przytaknęła Rafaella. - Uroda i wdzięk, nieźle jak na dwie stare *femmes du monde*.

Juliette popatrzyła badawczo na przyjaciółkę.

- Wiesz - powiedziała - nigdy nie mówiłaś mi, co tak naprawdę zdarzyło się między wami na końcu.

W oczach Rafaelli pojawił się cień smutku. Potrząsnęła głową.

- Kiedyś ci opowiem - obiecała.

I dwie stare przyjaciółki ruszyły pod rękę do wielkiego salonu, na spotkanie oczekującym gościom.

Rozdział 46

W tej samej chwili ze schodów zbiegł Jake, świetnie wyglądający w smokingu, a przez drzwi wejściowe wpadł Scott, też w smokingu, ale starym, i błękitnych džinsach - stwierdził, że tylko taki strój zdołał wybrać ze swojej skromnej garderoby. Jake wziął pod rękę Rafaellę, Scott podeszedł do Juliette i tak wkroczyli do salonu, gdzie czekała „rodzina” i gdzie Haigh, jak paw w barwnym upierzeniu z jedwabiu i aksamitu, rozlewał ostatnią butelkę Kruga.

Rafaella stanęła w drzwiach i patrzyła na swoją nową „rodzinę”.

- Jakie one piękne - szepnęła do Jake'a. - Spójrz tylko na moją wnuczkę. Całkiem odmieniona.

Ale Jake nie odrywał wzroku od Franny, nieznanej mu osoby na wysokich obcasach, ze spiętrzonymi włosami, seksownym dekoltem i pomalowanymi ustami. Czy to ta sama kobieta, którą całował zaledwie kilka godzin temu? Franny odwróciła głowę w ich stronę. Ich spojrzenia, biegnące z przeciwległych końców pokoju, spotkały się. Widząc to, Rafaella

i Juliette popatrzyły na siebie znacząco. *Chateau* znów roztaczał swój odwieczny urok, tak jak za ich młodości.

Błękitka podbiegła do babci. Rafaella ujęła ręce dziewczynki i rozłożyła szeroko, podziwiając nową różową sukienkę i błyszczący diadem.

- Babcia Bao Chu byłaby dumna z ciebie dziś wieczorem - powiedziała. - Tak jak ja.

Potem nastąpiły powitalne pocałunki, a Haigh z uśmiechem maskowanym powściągliwością dolewał szampana i wysyłał kelnera w białym smokingu po specjalne przystawki, które mimo nieustannych przeszkód zdołał zrobić dziś osobiście. Juliette wprawiła w zachwyt Jake'a, obdarowując go czerwonym, kaszmirowym swetrem, i Scotta, który dostał od niej jedwabny krawat w paseczki. Franny wręczyła Rafaelli prezent od siebie - fotografię swojego ojca i dziadka, oprawioną w srebrną ramkę. Rafaella omal nie wybuchła płaczem, ale wzięła się w garść i wygłosiła toast.

- Nic nie może zepsuć dzisiejszego wieczoru - mówiła z uśmiechem, wznosząc kieliszek. - To jest uroczystość na cześć młodych. I na cześć *chateau*, w który tchnęliście nowe życie.

Wszyscy wypili, śmiali się i gawędzili, zniknęły wszelkie napięcia, jakby nigdy nie było tamtego pierwszego okropnego wieczoru.

Scott podszedł do Clare i zaprosił ją na zwiedzanie wytwórni. Przyjęła propozycję z przyjemnością, posyłając mu spod rzęs zalotne spojrzenie. Jake stał obok Franny; nie dotykali się, choć i bez tego bił od nich zar.

- Wyglądasz fantastycznie - powiedział. - Świetna sukienka.

- Podziękuj Clare, to jej kreacja.

- Pokazuje więcej ciebie niż zwykle.

Zabrzmiało to odrobinę karcąco i Franny uśmiechnęła się szelmowsko.

- Być może nie zapomniawsz, że jest coś jeszcze.

- No, przestańcie już flirtować i chodźcie przywitać się z gośćmi. - Juliette rozdzieliła ich w chwili, gdy pierwsze samochody okrążyły kwiatnik, a mieszkańcy wioski, odświętnie wystrojeni, wysiadali, zdumieni, że ich auta natychmiast są odprowadzane na parking przez młodych mężczyzn w czerwonych marynarkach.

Przyjechała też na swoim motocyklu mademoiselle Doritee, w spódnicy podkasanej do pół uda, co Haigh uznał za nieszczerólny widok. Miała na sobie długą suknię z ciemnozielonego jedwabiu, z głębokim dekoltem, na szczęście przysłoniętym białym, koronkowym kołnierzem. W niesforne, kręcone włosy wpięta żółty kwiat; fryzjerka z miasteczka dokładała wszelkich starań, by wyprostować loczki, ale w miarę jak przyjęcie się rozwijało, fryzura panny Doritee wracała do pierwotnego stanu. Doritee

promieniała zachwytem, gdy ścisnęła dłonie i brała kieliszek szampana tak swobodnie, jakby co tydzień uczestniczyła w podobnie eleganckich przyjęciach, bo w końcu przecież, tak jak i inni, znała Rafaellę i *chateau* przez całe swoje życie.

- Wszystko jest jak dawniej - mówili ludzie z wioski, radośnie całując Rafaellę na powitanie. To dla nich zaszczyt, że mogą poznać nową rodzinę właścicielki *chateau*; takie piękne „dzieci” to wielkie szczęście. Nikt oczywiście nie wspominał o Alainie, choć dzięki pocztce pantoflowej, czyli kobietom, które podawały kolację poprzedniego wieczoru, cała wieś wiedziała, co się wydarzyło. Nie zamierzali jednak pozwolić, by cokolwiek zepsuło przyjęcie Rafaelli.

Starym Citroënem wturłał się na podjazd Jarre, ciągnąc za sobą drewnianą przyczepkę, tę samą, której używał jego ojciec, jadąc codziennie na targ; Laurent nie widział powodu, by wymieniać ją na nową. Miał na sobie najlepszy czarny garnitur ożywiony fantazyjną, czerwoną muszką. Wszedł po schodach, zapinając marynarkę i witając się ze znajomymi, czyli ze wszystkimi, prócz młodego człowieka, który, ku zdziwieniu Laurenta, zaparkował jego pojazd. Rafaella ucałowała go serdecznie i przedstawiła członkom rodziny. Kłaniał się, z szacunkiem ściskając im dłonie, ale wzrokiem natychmiast odszukał Clare. W eleganckiej białej sukni wydała mu się nieosiągalna jak kobieta z innej planety, szybko więc ruszył w inną stronę. I za chwilę usłyszał za sobą jej głos.

- *Bonsoir*, monsieur Jarre, witam słynnego kucharza - powiedziała, a kiedy się odwrócił, błyskawicznie wycisnęła na jego policzkach dwa całusy.

Jarre czuł, że oblewa się rumieńcem. Powiedział „dobry wieczór”, i jak bardzo się cieszy, że może tu być, po czym odsunął się i przyjął kieliszek szampana od starego kumpla Haigha.

- Piękna kobieta, co? - Haigh uśmiechał się porozumiewawczo. Jak zwykle, nic nie uszło jego uwadze.

Państwo Allier przyjechali z dziesięcioletnią córeczką, która od razu wzięła za rękę Błękitkę i poprowadziła ją na taras, żeby pokazać, gdzie w fontannie żyje ropucha. Nawet starsi panowie z placyku, odświętnie ubrani, zostali przywiezieni na przyjęcie mikrobusem. Usiedli rządkiem na złoconych krzesłkach, w staroświeckich, już nieco za luźnych garniturach, z różowymi podbródkami pozbawionymi zwykłego, siwego zarostu i pachnący cytrusową wodą ze sklepiku mademoiselle Doritee. Franny poszła przywitać się z nimi, przedstawiała się jako kuzynka Rafaelli. Uśmiechali się, kiwali głowami; któryś nawet pocałował ją w rękę.

Łał się szampan, piwo płynęło strumieniami, a na zewnątrz, na tarasie, zespół z keyboardami, skrzypcami, akordeonem i gitarą grał wiazanki melodii, które zawsze kojarzyły się Franny z Paryżem i Edith Piaf.

Haigh spojrzła na zegarek i pomaszerowała do kuchni sprawdzić stan przygotowań, po czym wróciła do holu, uderzył w mosiężny gong i oznajmił, że podano do stołów. Całe towarzystwo natychmiast zajęło swoje miejsca.

Wielki stół na całą długość tarasu, nakryty był adamaszkowym obrusem i ozdobiony dzbanuszkami pełnymi białych róż i woreczków liści laurowych zmieszanych z szałwią, rozmarynem i lawendą, pachnących tak, jak zapewne pachnie w raju. Z drzew zwieszały się kolorowe lampiony, a na pędach glicynii i balustradzie tarasu migotały maleńkie lampki. Gdy zapadła ciemność, rozbłysły światła na fasadzie - cały dom zalała delikatna, złocista poświata, odbijająca się w kroplach wody tryskającej z fontann od frontu.

Franny chłoneła piękno otoczenia i starała się wszystko zachować w pamięci. Był to najwspanialszy wieczór w jej życiu; spędzała go właśnie tu, z bliskimi, w prawdziwym rodzinnym domu.

Rafaella usiadła pośrodku długiego stołu. Na honorowym miejscu, po prawej ręce posadziła mera Marten de Provence, gospodarza, który uprawiał swoje i jej pola. Po lewej stronie siedział stary przyjaciel Rafaelli, Jarre, a obok niego Juliette. Franny znalazła się nieco dalej, między monsieur Allierem i Jakiem, natomiast Clare na przeciwległym końcu, między Scottem i notariuszem z miasteczka, który zajmował się drobnymi sprawami całej okolicy. Starsi panowie znaleźli miejsce naprzeciw Rafaelli, a Błękitka przycupnęła obok swojej nowej przyjaciółki Mireille Allier; niedaleko mademoiselle Doritee, która z serwetką zatknięą na obfitym biuście, rozglądała się już, czym też zostaną poczęstowani.

Na srebrnych tacach stały rzędem butelki z wodą i Domaine Marten. Duże talerze z białoróżowego szkła pochodziły jeszcze z lat dwudziestych. Serwis był z pozłacanego srebra, a kieliszki na długich, smukłych nóżkach - z cieniutkiego kryształu; i jedno, i drugie stało nieużywane przez wiele lat. Nawet Haigh miał wreszcie powody do zadowolenia. Nie zrobił zawodu Rafaelli, wszystko przebiegało idealnie. Firma cateringowa z Avignonu sprawiła się znakomicie; Haigh z uznaniem kiwnął głową na widok entree - soczystych ravioli z homarem w sosie maślanym, ozdobionych pojedynczą, różową langustą.

Nad tarasem płynęła muzyka; lało się wino; rozmowy ożywiały się z każdą chwilą, coraz częściej słychać było śmiech. Błękitka i Mireille Allier chichotały, trzymając się za ręce - bariera językowa nie miała dla nich

żadnego znaczenia. Talerze po ravioli wycierano kawałkami bagietki, bo zaraz zastąpiło je nowe danie - apetyczne, malutkie filety z okonia morskiego zawinięte w liście sałaty i duszone w białym winie. Po nich podano potrawkę z kurcząt w zielonym sosie przygotowanym ze świeżego szczawiu, pietruszki i estragonu, z dodatkiem delikatnych kwiatów dyni napełnionych musem z grzybów. Goście westchnęli z zachwytu i ochoczo zabrali się do jedzenia. Tymczasem Haigh, jak sierżant, przeprowadzał inspekcję tarasu, sprawdzał dania, upewniając się, czy smakiem dorównują prezencji. Przyjęcie toczyło się w najlepsze, goście coraz częściej sięgali po wino, a muzyka rozbrzmiewała już odrobinę głośniej.

Clare spojrzała na Scotta. Był mężczyzną niewątpliwie atrakcyjnym, na dodatek miał staroświecki, męski urok, który tak ceniła. Westchnęła, kiedy kelner postawił przed nią sałatkę, delikatną mieszaninę drobnych listków, ledwie wyczuwalnie przyprawionych cytryną.

- Czy naprawdę mogę jeszcze coś zjeść? - spytała Scotta.

Uśmiechnął się.

- Radzę jeść. Haigh idzie właśnie w naszą stronę na kontrolę.

Clare spojrzała na zarządcą spod rzes.

- Czy w Prowansji jada się tak co wieczór?

- Ja na pewno nie. Wystarcza mi kanapka z serem i szynką. Czasem jednak idę na lunch do Cafe des Colombes. Jarre świetnie gotuje. Zwyczajnie, ale nie prostacko.

- Hm... - Clare zamyśliła się. - Sam też jest taki.

Scott popatrzył na nią zdumiony.

- Znasz go?

- Poznaliśmy się dziś rano. Mówił mi o swoim życiu, a ja powiedziałam mu nieco o swoim. - Scott zmarszczył czoło, więc dodała: - Moje było trochę bardziej skomplikowane. Poza tym nie wchodziliśmy w szczegóły. Ja za słabo znam francuski, a on angielski.

Dolał jej wina.

- Nie spotkaliśmy się w San Francisco - wyznał cicho. - Ale widziałem twoje zdjęcie.

Clare okręciła kieliszek z winem.

- No i?

- Uważam, że w naturze jesteś jeszcze piękniejsza.

Popatrzyli sobie w oczy.

- A ja uważam, że jesteś niezwykle miłym mężczyzną...

- ...który właśnie spotkał bardzo miłą kobietę.

- Tak czy inaczej, sytuacja przedstawia się interesująco - przytaknęła z powagą.

W tej samej chwili rozległ się gromki śmiech Juliette, oboje odwrócili więc głowy w stronę, gdzie gitarzysta właśnie wyśpiewywał serenadę. Juliette wstała, natychmiast zerwał się Jarre, i już za chwilę, w jego ramionach wirowała we wspaniałym walcu.

Haigh zmarszczył czoło. Kolacja jeszcze się nie skończyła. Na tańce była pora później, ale wyglądało na to, że sprawa jest przegrana, bo już większość gości ruszała w tany, a zespół znów zwiększył nasilenie decybeli.

Obok Haigha przewinał się w walcu Allier, mocno ściskając mademoiselle Doritee, której uszczęśliwiona mina była zapewne skutkiem zarówno wypitego wina, jak i faktu, że tańczy z sąsiadem. Potem Scott ukłonił się przed Clare, a dziewczyna lekko, jak płatek śniegu, wsunęła się w jego ramiona. Jake tańczył z Franny. Trzymał ją delikatnie, nie tulił tak blisko, jak by chciał, bo nie był to stosowny moment.

- Musimy się spotkać, sami - mruzczał do jej ucha, a Franny kiwnęła głową.

Rafaella wyciągnęła rękę.

- Zatańczymy? - zwróciła się do Haigha i ruszyli razem, patrząc sobie w oczy z uśmiechem.

- Jest cudownie - powiedziała.

- Oczywiście. Pracowałem nad tym tygodniami. - Haigh roześmiał się. - I teraz już wszystko w twoim życiu będzie cudowne, Raffaello. - Mówił do niej po imieniu tylko wtedy, gdy był głęboko przejęty. Z wdzięcznością uściśnieła jego dłoń.

- Wiem.

Kelnerzy zabrali talerzyki po sałatkach i ustawili drewniane tace z serami; tancerze wrócili na swoje miejsca. Odsuwano krzesła, tworzyły się nowe grupki - kobiety na jednym końcu stołu, mężczyźni przy drugim. Panie otoczyły Rafaellę, gratulowały wspaniałego przyjęcia i pięknej iluminacji *château*. Tak jak za dawnych lat, mówiły z błyskiem radości w oczach. Chwaliły śliczną wnuczkę i piękną, a na dodatek miłą, panią weterynarz. Wiele osób pamiętało, rzecz jasna, Juliette i cieszyło się ze spotkania i wypytywało ją o dzieci.

Podano deser, słodką tartę napełnioną poziomkami i malinami, rozpluwającym się w ustach kleksem kremu waniliowego i gorzką czekoladą. Haigh podał do tego specjalnego różowego szampana, Piper-Heidsieck Rosé Sauvage, na cześć Château des Roses Sauvages. Zaczęły się toasty, każdy z mówców składał hołd pani domu, ciepło mówił o jej nowej rodzinie i *château*, a Rafaella odpowiadała komplementami pod adresem gości i swoich najbliższych.

Błękitka już zasypiała na krześle, a Franny była tak najedzona, że nie mogła się ruszać. Tylko Clare, jak dama w każdym calu, siedziała prosto, nie wykazując śladu zmęczenia. Juliette bawiła się świetnie, ale makijaż zaczynał jej się leciutko rozmazywać. Rafaella wyglądała pięknie, uśmiechała się; długie, szmaragdowe kolczyki kołysały się, gdy skłaniała głowę w odpowiedzi na hołdy i oklaski.

Muzyka zabrzmiała teraz na nowo i wszyscy ruszyli do tańca. Haigh otworzył Marc, dobry rocznik, wyszperaną w zakamarkach piwnicy pradziadka Martena.

- Kiedyż może nam się trafić równie dobra okazja, by wypić to w gro- nie tylu przyjaciół? - mówił, obficie napełniając kieliszki.

Jarre nie pił Marca. Poprawił muszkę, zapiął marynarkę i przygładził włosy. Osmielony winem, z nastroszonym wąsem, pomaszerował ku Clare.

- Mademoiselle Clare, czy zechce pani ze mną zatańczyć? - spytał.

Clare przeprosiła Scotta i wsunęła się w potężne ramiona Laurenta z westchnieniem, w którym najwyraźniej brzmiała nutka przyjemności.

Księżyc wznosił się wysoko nad *chdteau*, nadając niebu mlecznogrnatowy odcień, niemal pasujący do sukni Rafaelli. Błękitka usiadła babci na kolanach. Rafaellę ogarnęła czułość. Patrzyła na swoich przyjaciół, prawdziwych przyjaciół, rozbawionych i tańczących, na śliczną kuzynkę i Jake'a, który najwyraźniej tracił dla niej głowę. Poszukała wzrokiem Haigha i uśmiechnęła się do niego. Zdjął smoking i siedział w grupce mężczyzn, których znał równie długo, jak ona. Popijał dobrą brandy i wspominał dawne czasy. Potem spojrzała na migoczącą od brylantów Juliette, która głośno skarżyła się na obolałe stopy, aż zrzuciła pantofle i poszła tańczyć boso. Szpice, wypuszczone ze swojego luksusowego aresztu, jazgotały i kłapały zębami, Mimi i Louise przyglądały się im z podziwem, tylko Zbir obserwował towarzystwo z odcieniem pogardy, po czym wyniósł się chyłkiem przez podjazd w jakichś swoich sprawach.

Rafaella pamiętała wiele takich wieczorów, jak dzisiejszy, kiedy był jeszcze przy niej Kochanek, ale odsuwała te wspomnienia i tylko mocniej przytulała do siebie śpiącą dziewczynkę. Dziś będzie żyć jedynie bieżącą chwilą.

Dochodziła druga w nocy, gdy ostatni goście wyruszali zakosami do domu, składając pożegnalne pocałunki i zapewnienia, że nigdy w życiu się tak dobrze nie bawili.

Chwilę potem, z okna sypialni, Rafaella zobaczyła Franny i Jake'a. Szli kasztanową aleją, objęci i przytuleni do siebie. Rafaella westchnęła. Nie mogła wymarzyć sobie nic lepszego niż miłość młodego człowieka, któ-

rego kochała jak syna, do młodej, świeżo odzyskanej kuzynki. Było to doskonałe zakończenie idealnego wieczoru. Mimo że tak samo jak Juliette, cierpiała z powodu obolałych stóp, a oba psy chrapały już na jej łóżku w towarzystwie zdradzieckich szpiców, zbyt zmęczonych, by choćby zaczekać, aż ułoży się obok nich.

Rozdział 47

Światła przygasły, wkrótce zapadła ciemność. Lampiony i sznury czarodziejskich światełek znikają kolejno jak blednące gwiazdy, zostawiając tylko księżyc, który wisiał teraz nisko na błękitnym, nocnym niebie i rzucał delikatne, przesiane promienie na kratki altany, gdzie siedzieli Franny i Jake.

Świerszcze grały już ciszej, a ptaki, zaniepokojone światłem i hałasem, w końcu ułożyły się w swoich gniazdach. Na tle nieba rysowała się czarna sylwetka *chateau*. Wszyscy spali; tylko tych dwoje było teraz na świecie. Nocne powietrze przepełniały aromaty ogrodu i trzciny nad jeziorem. Franny wdychała je głęboko i porównywała do wina Martenów - zmysłowego i przepyszego.

- Franny? - Jake trzymał jej dłoń w swoich rękach.

- Tak?

- To może zabrzmieć śmiesznie - zaczął z wahaniem. - Prawie się nie znamy...

- Ja ciebie znam. Wiem, kim jesteś. Tamtej nocy, u mnie w domu, sama siebie ostrzegałam przed tobą. Tłumaczyłam sobie, że przecież niedawno miałam kłopoty z innym mężczyzną. Uważałam, żeby się nie zakochać. A potem nie zadzwoniłeś i wiedziałam, że już za późno. Stało się.

Jake oglądał dłoń Franny, jakby miał z niej wyczytać swoją przyszłość.

- Podjąłem pewne decyzje w czasie ostatnich tygodni - mówił cicho, więc Franny nachyliła się, żeby usłyszeć każde słowo. - Po śmierci Amandy praca była mi potrzebna, żeby nie myśleć o tym, co się stało. Absorbowała umysł. Cały czas musiałem być czujny, działać o jeden ruch z wyprzedzeniem. Myślałem nie tylko za siebie, ale i wczuwałem się w sytuację przestępców, przewidywałem każde ich następne posunięcie. Czasami igrałem ze śmiercią, ale nic mnie to nie obchodziło; życie czy śmierć, co za różnica. Bawiłem się nawet tą grą. A kiedy już nie mogłem wytrzymać,

uciekałem do chaty w lesie, zabierałem ze sobą psa, konia i zaszywałem się tam na całe tygodnie. Z nikim nie utrzymywałem kontaktu. Myślałem tylko o tym, że któregoś dnia kupię sobie prawdziwe ranczo i odseparuję się od ludzi kilometrami pastwisk i lasów. Kochałem tę samotność. Nie chciałem jej z nikim dzielić. Potem poznałem ciebie i moje życie się zmieniło.

Ujęła w dłonie jego szczupłą, opaloną twarz, czuła pod palcami poranny zarost. Popatrzyła w szare oczy, blade w świetle księżyca. Schyliła się i powoli, delikatnie przesunęła językiem po jego wargach. Odsunęła usta tylko po to, by powiedzieć:

- Wiem. I kocham cię, Jake.

Przyciągnął ją do siebie.

- Boże, Boże - szepnął. - Byłem pewien, że mi powiesz, że nie możesz zdecydować się na życie z mężczyzną po takich przejściach.

- Pamiętasz tę kolację wieczorem, kiedy się poznaliśmy? Spytałeś, kogo widzę przy sobie. Powiedziałam, że dobrego człowieka. To była prawda, Jake. Dlatego tak mnie bolało, kiedy nie zadzwoniłeś. Tamtej nocy spałam wtulona w twoją poduszkę, jak zadurzona nastolatka, która przeżywa pierwszą miłość. I wiesz co? To była pierwsza miłość. Cała reszta się nie liczy.

- Co do Amandy... - zaczął. Chciał wytłumaczyć, co czuje wobec swojej zmarłej żony, ale Franny położyła mu palec na ustach.

- Zawsze będziesz kochał i pamiętał Amandę i dziecko, którego nigdy nie widziałeś. Ale musisz się z tym pogodzić, że życie toczy się dalej.

Oparła się o poduszki, otworzyła ramiona i przytuliła go do siebie. Czuła drżenie jego ciała.

- Franny - powiedział głosem pełnym pożądania. - Chcę się z tobą kochać.

Podłużne, zmrużone oczy Franny rozszerzyły się, kiedy napotkała jego wzrok.

- Wiem - odparła tylko, bo zamknął jej usta pocałunkami.

Kochali się nadzy, jak wcześniej ich poprzednicy, w tej samej altanie.

Rozdział 48

Leżąc w łóżku, Rafaella myślała o tym, że stara altanka jest świetnym miejscem do miłości w ciepłą noc późnego lata. Pamiętała, jak na

czerwonym japońskim mostku Lucas pocałował ją po raz pierwszy, jak ugięły się pod nią kolana i wszystko inne na świecie przestało być ważne.

Dziwne, jakimi drogami chadza przeznaczenie, pomyślała. Gdyby pewnego popołudnia nie odczuła tak mocno ciężaru samotności w cichym *chdteau*, ze smutnymi pokojami, zamkniętymi okiennicami i meblami w pokrowcach, nigdy nie wymyśliłaby familijnego zjazdu i nie nawiązała kontaktu z Jakiem. Nie poznałaby też Franny. Życie każdego z nich potoczyłoby się własną drogą. Los potrafi czasem wspaniałomyślnie ulla-
twiać pewne sprawy.

A gdyby nie znalazła się w Cap d'Antibes tamtego cudownego, letniego wieczoru, od którego minęło niestety tak wiele lat, nigdy nie spotkałaby Lucasa Bronsona i jej własne życie też wyglądałoby inaczej.

Miała wtedy czterdzieści jeden lat i była sama w Hotel du Cap. Zauważyła przystojnego mężczyznę, który stał nad pustym basenem i patrzył na morze. W taki ciepły wieczór cały świat przybiera odcień błękitu. Błękitna mgiełka wisiała nad morzem w kolorze indygo, a słońce schowało się za niebiesko-czarną chmurą. Może powinna potraktować wtedy tę chmurę jak omen? Usiadła, obserwowała nieznajomego i słyszała tylko głośne bicie własnego serca.

Był najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała. Miał długie nogi, wyprostowaną sylwetkę i złotą opaleniznę. Zbyt długie, czarne włosy, jeszcze wilgotne po kąpieli, odgarnął za uszy. Małe strumyczki potu spływały na ciemny, kędzierzawy zarost na piersi; zauważyła też - któraż kobieta by to pominęła - że nosił skąpe kąpielówki, pozostawiające niewiele miejsca wyobraźni.

Pół życia była żoną dużo starszego człowieka, którego w ogóle nie obchodziła. Przewijali się przez jej życie i inni mężczyźni, nic poważnego, ot, krótka przygoda od czasu do czasu, ale tym razem poczuła falę nieznanego, ale cudownego uczucia. Z tyłu, w barze, ktoś grał na białym fortepianie i cicho śpiewał o miłości: „Pocałunek to tylko pocałunek...” Rafaella wiedziała, że na całe życie zapamięta tę piosenkę *As Time Goes By* i przyciszony, lekko schrypnięty głos.

Mężczyzna odwrócił się i ponad leżakiem posłał jej przeciągłe, leniwe spojrzenie. Speszona wygładziła czerwoną spódnicę i usiadła prosto, odpowiadając wyniosłym wzrokiem, z czego miało wynikać, że w żadnym wypadku na niego nie patrzyła.

- Wiedziałem, że ktoś ma mnie na oku - powiedział.
- I miał pan rację. Ja - przyznała zarumieniona.
- Roześmieli się oboje.

Nieznajomy podszedł do jej stolika.

- Jestem Lucas Bronson - przedstawił się. - Miło mi panią poznać. Niesamowite, pani oczy są tak błękitne, jak dzisiejszy dzień.

Podziękowała za komplement. Czuła lekki zawrót głowy. Miała dziwne przeświadczenia, że los postawił tego człowieka na jej drodze. Dłoń Lucasa była mocna i jeszcze chłodna od wody, kiedy ujął jej rękę i długo nie wypuszczał. Patrzył na nią tylko i brał w posiadanie. Był tak blisko, że czuła zapach morskiej soli na jego skórze.

W końcu odezwał się.

- Podoba mi się pani, Rafaello, i lubię pani wino. Domaine Marten, prawda? - Kiedy kiwnęła głową, dodał: - Wiem o pani wszystko, ktoś mi mówił, że pani tu będzie i że powinniśmy się poznać. - Puścił jej dłoń, wrócił do swojego leżaka, zabrał ręcznik i przewiesił go przez szyję. - Do zobaczenia. - Patrzył na nią tak, jak nigdy dotąd żaden mężczyzna; przenikliwym spojrzeniem ciemnych oczu, zniewalającym pełnym zmysłowych obietnic. Odszedł wolnym krokiem, ścieżką w stronę hotelu.

Rafaella miała wrażenie, że sam Zeus zszedł do niej z niebios.

- „Nigdy nie zapomnisz...” - śpiewał dalej pianista.

Przez cały tydzień, codziennie, kręciła się w pobliżu baru, w nadziei, że zobaczy Lucasa albo dostanie jakąś wiadomość - zaproszenie na lunch w Antibes, kolację w Cannes, randkę na księżycu... zgodziłaby się na wszystko. Ale nie wydarzyło się nic.

Wróciła do *chdteau* zdruzgotana, tłumacząc sobie, że to śmieszne czuć się porzuconą przez człowieka, którego spotkała tylko raz i zamieniła z nim zaledwie kilka słów. Wiedziała, że nie wypowiedziały one tego, co mówiły sobie ich spojrzenia. Nie wiedziała natomiast, że był to zwykły sposób postępowania Lucasa z kobietami. Słyszała oczywiście, że jest słynnym graczem w polo, ale teraz odkryła także, że słynie także z romansów, zazwyczaj z bogatymi kobietami z towarzystwa.

Nie miało to znaczenia. Musiała go mieć, napisała więc i zaprosiła Lucasa do *chdteau* na weekendowe przyjęcie, na którym spodziewała się jeszcze kilkorga gości. Nerwowo snuła się z kata w kącie, czekając na odpowiedź. Dwa dni później zadzwonił telefon.

- Witam piękną Rafaelłę w czerwonej spódnicy - powiedział, całkowicie pomijając fakt, że gdyby nie zaproszenie, nigdy pewnie by się do niej nie odezwał.

Tłumaczyła sobie, że ma czterdzieści jeden lat i powinna wiedzieć, w co się wdaje, i to wiedzieć naprawdę dobrze. Lucas był niebezpieczny, ale to jej nie powstrzymywało. Oznajmił, że z przyjemnością spędzi z nią weekend... „sam”, więc oczywiście natychmiast odwołała wszystkich innych gości.

- Włóż dla mnie tę czerwoną spódnicę - poprosił i odłożył słuchawkę.

Przyjaciółka ostrzegała ją, że Lucas Bronson kocha konie i kobiety, i to w tej kolejności. Konie za piękno, siłę, inteligencję i wrażliwość, z jaką reagują, gdy ich dosiada. A kobiety za to, że są piękne, zabawne i czule reagują na jego ciało, gdy się z nimi kocha. Według tej samej „przyjaciółki”, Lucas był dumny z tego, że kochał się z wieloma kobietami. Uwielbiał je wszystkie - niektóre przez kilka godzin, inne przez kilka dni albo miesięcy. Oczywiście skłoniło to Rafaellę do rozważań, do której kategorii zostanie zaliczona.

W piątek po południu, kiedy miał się zjawić w *chateau*, stała w oknie. Patrzyła, jak podjeżdża jej wytęskniony gość. Dach perłowszarez lagondy był opuszczony; w powietrzu unosił się rzeński zapach cyprysów. Lucas wyskoczył z samochodu przez zamknięte drzwi. Haigh, który stał na stopniach wejścia, by przywitać przybysza, pośłał mu spojrzenie mówiące, że nie jest to zachowanie godne dżentelmena. Lucas odpowiedział znaczącym uśmiechem: wiem, ale nic mnie to nie obchodzi.

Ukryta w drzwiach biblioteki Rafaella patrzyła, jak Lucas rozgląda się dookoła. Hol skąpany był w słońcu późnego popołudnia i upojnie, jak zawsze, pachniał woskiem, lawendą i mimozą. Wielkie bukiety stały w kryształowych wazonach na konsolach i odbijały się w nieskończoność w wysokich zwierciadłach.

Miała na sobie czerwoną spódnicę, jak prosił, i cienką bluzkę; włosy związała sznurkami rubinów. Pomyślała, że pewnie przypomina prowansałską cygankę z Arles. Wtedy ją zobaczył. Podszedł i pocałował jej dłoń.

- Nie wiesz, jakie to szczęście, że cię widzę - wyznał cicho.

Ku swojemu zdumieniu Rafaella zrozumiała, że to prawda. Czuła na sobie sceptyczny wzrok Haigha, ale to zlekceważyła. Zaprosiła Lucasa na drinka na tarasie.

Teraz, przywołując w pamięci tę chwilę, westchnęła. Zatopiona we wspomnieniach przeżywała wszystko na nowo, jakby właśnie w tej chwili stali oboje pod krzewem glicynii. Długie pędy pachnących kwiatów zwisały się nad jej głową. Bryza unosiła w powietrze pojedyncze, aksamitne płatki, które jak lekkie pocałunki opadały na jej obnażone ramiona. I był Lucas, szczupły, ciemnowłosy, przystojny. Patrzył na nią spokojnie. Nagle przestraszyła się tego sam na sam. Wolałaby ludzi dookoła, żeby nie zrobić czegoś szalonego, na przykład nie wskoczyć z nim natychmiast do łóżka. Zdecydowała więc, że pójdą na kolację do kafeiterii we wsi.

Zdawała sobie sprawę, że choć na wpół ukryci w kąciku z lampką, są obiektem obserwacji. Znajomi uśmiechali się do Rafaelli i kiwali głowami,

a turyści i goście, którzy przyjechali na festiwal muzyczny, patrzyli z zaciekawieniem na bosonogą kobietę w czerwonej, cygańskiej spódnicy i Lucasa. Jego pełna uroku twarz musiała im się wydawać znajoma z gazet. Nie zwracał na nich uwagi, siedział swobodnie, odprężony, opowiadał o egzotycznym życiu, jakie prowadzi światowej sławy gracz w polo, i o tym, jak osobiście wybiera sobie konie na rancho w Argentynie, gdzie mieszka jego syn.

Syn! Rafaelę wyrwało to słowo z krainy marzeń. Usiadła sztywno wyprostowana. Nie wiedziała, że jest żonaty.

Lucas popatrzył na nią i parsknął śmiechem. Domyślał się, że chodzi o żonę. Wyjaśnił, że była Amerykanką. Rozwiedli się zaraz po narodzinach dziecka i najpierw Jake mieszkał z matką w Connecticut. Umarła, gdy mały miał dwa lata, i wtedy przyjechał do Lucasa, a przynajmniej na hacjendę.

- Wiesz, jak wygląda życie gracza w polo - tłumaczył Lucas. - Musiałem jechać tam, gdzie się grało, choćby to było bardzo daleko. W końcu za to płacą mi sponsorzy.

Serce Rafaelli znów zaczęło bić. Nie ma żadnej żony, choć nurtowała ją myśl o samotnym chłopcu bez ojca.

- Twoi sponsorzy? - zapytała, nie mając pojęcia o świecie graczy w polo.

- Multimilionerzy, którzy płacą za tę kosztowną zabawę. Wożenie czterdziestu koni po świecie nie jest, jak się domyślasz, tanie. Sam mogę sobie pozwolić tylko na małą hacjendę...

- Gdzie mieszka twój syn - wtrąciła.

- Owszem.

Rafaella powiedziała wtedy, że chłopiec na pewno czuje się tam bardzo samotny, ale Lucas wzruszył tylko ramionami i stwierdził, że Jake i tak chce jedynie jeździć konno. Po czym zmienił temat, znów zaczął mówić o niej, drażnił się z nią i rozśmieszał.

Nigdy nie chodziła do kafeterii tylko we dwójkę z żadnym mężczyzną; zawsze w większej grupie. Zdawała sobie sprawę, że cały czas ma ich na oku stojący za barem stary monsieur Jarre. Kiedy zamknie cafe, porozmawia o tym ze swoją żoną, a madame Jarre z pewnością omówi to następnego ranka z sąsiadami, którzy będą potem dyskutować w wytwórni, i już w południe całą wieś obiegnie wiadomość, że Rafaella Marten jest zakochana. Nic jej to nie obchodziło.

Teraz, u progu starości, leżąc w łóżku i wspominając, jak szczęśliwa była tamtej nocy, wdychała. W miarę zagłębiania się we wspomnieniach

westchnienia zdarzały się coraz częściej, bo życie kiedyś było słodkie, a to, o którym myślała teraz, najśłodsze ze wszystkich.

Siedzieli do późna, popijając wino. Dochodziła już północ, kiedy wrócili do *chdteau*. Potem poszli na spacer nad jezioro. Noc była bezksiężycowa, niebo miało barwę mlecznogrnatową, a tuż nad ziemią kłębiła się biała mgła. Trawa deptana bosymi stopami Rafaelli pachniała ciepłym sianem; w powietrzu unosiło się coś czarodziejskiego.

Lucas krzyknął z zachwytu na widok czerwono lakierowanego mostku. Opowiedziała mu wtedy o swoim pradziadku, który pokochał gejszę. Ten związek oczywiście nie miał szans; kochankowie nie mogli się pobrać, nie pozwalała na to kultura jej... ani jego. W tamtych czasach nie można było wyrwać kobiety z takiego życia. Może zresztą teraz jest tak samo, trudno powiedzieć. Kiedy romans się skończył, przygnębiony pradziadek zbudował ten piękny most, by przypominał mu śliczną gejszę.

Lucas objął Rafaellę. Zesztywniała; bała się nawet dotknąć jego ręki, gdy razem przechodzili mostkiem na wyspę.

- Raffaello - obrócił ją ku sobie. - Raffaello - powtórzył. Usta miał chłodne i niezwykle delikatne; smakował ją, delektował się nią jak owocem. Potem wtulił twarz w jej kark i Rafaella odchyliła głowę; jej długie, ciemne włosy opadły na plecy. Owinął sobie kilka czarnych kosmyków dookoła palców; przesuwał teraz ustami wzdłuż zarysu brody, składał lekkie, delikatne pocałunki na jej zamkniętych powiekach, dotykał dłonią wyraźnych kości policzkowych. A potem jego wargi przywarły do jej ust, syciły się nimi, chłoneły jej oddech pachnący owocami i winem rosę.

Rafaella objęła go, wtuliła się tak mocno, że najbliższy powiew nie mógłby się między nich wśliznąć. Kręciło się jej w głowie. Znowu czuła podniecającą wilgoć między udami, twardniejące sutki i fałę gorąca, jakiej nigdy jeszcze w życiu nie przeżyła. Zapadała się w otchłań.

Oderwała się od niego.

- Chodźmy - szepnęła niskim, gardłowym głosem, którego sama nie poznawała. Wzięła Lucasa za rękę, zaprowadziła na trawiastą wysepkę, do małej, białej altany, na pół ukrytej w różach i jaśminach. W środku stały meble: dwie kanapy, stół, krzesła i stary, malowany kredens z drinkami i szklaneczkami.

Opadli na kanapę; Lucas zsunął z ramion Rafaelli cygańską bluzkę. Odsunął się na chwilę i patrzył ze zdumieniem.

- Nigdy nie przypuszczałem, że jesteś taka piękna - szepnął, a potem znowu odszukał wargami jej usta.

Pragnęła go tak bardzo, że nic innego się nie liczyło.

- Boże - jęknęła z rozkoszy, kiedy w nią wszedł. Było całkiem inaczej niż na greckiej plaży, gdzie kamienie wbijały się w plecy, a Henri ciężko dyszał. Teraz cudowna ekstaza uniosła ją gdzieś ponad rzeczywistość, w chaos, w którym była tylko rozkosz. Tylko to ważne jest w miłości do mężczyzny, pomyślała półprzutomna.

Lucas przyjechał na weekend, a został miesiąc. W końcu, nie licząc wyjazdów na mecze polo, minęły ponad dwa lata, zanim opuścił *chateau* - i Rafaellę - na zawsze.

Rozdział 49

Patrząc wstecz, Rafaella zdawała sobie sprawę, że tamte dwa lata przeżyła jak w szalonym, zmysłowym śnie. Skórę miała bardziej wrażliwą na dotyk, włosy bardziej lśniące i jedwabiste, piersi napięte, a łono przepełnione pragnieniem. Wiele razy przy kolacji spotykała ponad stołem głębokie, mroczne i gorące spojrzenie Lucasa, które topiło ją jak wosk. Zostawiali wtedy gości, roześmianych, gawędzących i popijających wino, i wymykali się do delikatnie oświetlonej sypialni Rafaelli i ogromnego łóża, w którym wpadali sobie w objęcia, mrużąc z rozkoszy, nigdy niesyci siebie.

Kiedy Lucas wyjeżdżał (a jak sobie teraz uświadamiała, najczęściej go nie było), roztaczała wokół specyficzną aurę zakochanej kobiety; zajmowała się domem pełnym przyjaciół własnych i synów. Choć obaj chłopcy byli już dorośli - Felix miał dwadzieścia trzy lata i studiował biznes, a dziewiętnastoletni Alain uczył się na Sorbonie - kiedy przyjeżdżali do domu, poświęcała im, jak zawsze, cały swój czas.

Robiła wszystko, by czuli się szczęśliwi, choć w przypadku Feliksa nigdy nie wiedziała, czy cokolwiek - a jeśli tak, to co - może mu sprawić przyjemność. Za to Alain dotrzymywał jej towarzystwa i nieustannie bawił. Zawsze śmiał się i żartował, a gdzieś w pobliżu kręciły się jakieś jego dziewczyny. Mówiła mu, że podobny jest do ciotki Marguerite, flirtiary, na dodatek nieprzyzwoitej. Roześmiał się.

- I co w tym złego? - spytał.

- Właściwie nic - odpowiedziała Rafaella, śmiejąc się razem z Alainem. Nie zdawała sobie wtedy sprawy, że jest jeszcze drugie oblicze syna; poznała je później, i było to ciężkie przeżycie.

Lucas mieszkał już w *chateau* około roku, kiedy pewnego dnia wrócił z rozgrywek w Argentynie ze swoim synem.

- To jest Jake - przedstawił chłopca. - Właśnie skończył szesnaście lat. Pomyślałem, że najwyższa pora, by dowiedział się, że w życiu jest coś jeszcze poza kowbojami, byłem i tysiącami hektarów pampy.

Rafaella popatrzyła na przystojnego i nieśmiałego młodzieńca - wrostem dorównywał ojcu i miał jak on jasnoszare oczy. Nosił dżinsy, stare i zniszczone kowbojskie buty i koszulę, która najwyraźniej robiła się przyciasna w ramionach. Przyglądał się Rafaelli nieufnie, więc się uśmiechnęła. Zastanawiała się, co też zobaczył tym swoim skupionym wzrokiem; co myślał o niej, kochance ojca.

- Jest pani bardzo piękna. - To były pierwsze słowa, jakie do niej powiedział.

- *Et alors, vous etes un homme du monde!* - wykrzyknęła ze śmiechem. - Jesteś światowcem. Już potrafisz prawie komplementy. - Gdy Jake zarumienił się i przygryzł wargę, zmieszany, dodała: - Chodź, Jake. - Wzięła go pod ramię. - Pokażę ci *chateau*. Skoro będziesz teraz mieszkał z nami, musisz wybrać sobie pokój. Jaki tylko ci się spodoba. Nawet jeśli mieszka tam teraz ktoś z gości, przeniesiemy go gdzie indziej. Powiem po prostu: przepraszam, ale od tej pory to jest pokój Jake'a.

Spuścił głowę, całkowicie onieśmielony.

Rozglądał się dokoła, kiedy szli przez wielki, stary dom; zatrzymał się nagle na widok wiekowego, srebrnego kandelabru stojącego na lśniącym, palisandrowym stole. Dotknął go ostrożnie; z bezbrzeżnym zachwytem.

- Nigdy w życiu nie byłem w takim miejscu - powiedział. - Ten dom ma swoją historię. Jest wspaniały. Czuje się, że jest szczęśliwy. On żyje.

Rafaella kiwnęła głową.

- Zawsze tak uważałam. Kiedyś opowiem ci jego historię. A potem zobaczysz, jak robimy wino, obejrzyś stajnię i kupimy ci konia, bo podejrzewam, że nasze, poza własnym koniem Lucasa, nie będą odpowiadały twoim ambicjom. I poznasz moich synów.

Odwróciła się, popatrzyli sobie w oczy. Miał to samo głębokie, intrygujące spojrzenie jak ojciec; wiedziała, że któregoś dnia też będzie mógł łamać kobietom serca.

- Bardzo serdecznie mnie pani przyjmuje - powiedział z nutką skrępowania.

Wyciągnęła do niego ręce - a był wysokim młodzieńcem - i pocałowała go w policzek.

- Zawsze będziesz tu mile witany, Jake.

Rafaella wiedziała oczywiście, że Jake się w niej zakochał. Nietrudno było zgadnąć, skoro wszędzie napotykała jego spojrzenie i jakoś tak się składało, że zawsze pojawiał się w zasięgu jej wzroku, a to rzucając psom

piłkę, a to oporządzając konia czy kręcąc się na tarasie. Był czarujący jak szczeniaki.

Alain, który spędzał w domu parę miesięcy wakacji, nie ukrywał, że nie akceptuje Jake'a, ale też nie przepadał za Lucasem. Rafaella rozumiała to; zresztą Alain, jak zawsze, prowadził własne życie. Felix natomiast polubił chłopca i robił wszystko, by poczuł się jak w domu, choć nie traktował go jak przyjaciela, bo też Felix nie miał przyjaciół, a poza tym uważał Jake'a za dziecko. Nie odnosił się jednak do niego protekcjonalnie, oprowadził go po wytwórni i tłumaczył tajniki produkcji. Wpuścił go nawet do swojego pokoju i pokazał kolekcję modeli samochodów wyścigowych. Jake i Felix zawsze traktowali się z szacunkiem, choć nie rozumieli się nawzajem, a Rafaella cieszyła się z takiego obrotu spraw.

Jake nie pytał Rafaelli o jej związek z ojcem. Nigdy nie zadał pytania, czy się pobiorą, ale też Rafaella sama o to nie pytała. Pomyślała teraz, zapadając w sen, że chyba za bardzo bała się odpowiedzi.

Życie zatoczyło koło. Jake znów był w domu, a biała, filigranowa altanka przyjęła nową parę zakochanych.

Rozdział 50

Następnego ranka Clare była pierwsza na nogach. Wciągnęła krótką, dzinsową spódniczkę, białą koszulę, i tenisówki i wyszła na korytarz. Drzwi do pokoiów Franny i Błękitki były jeszcze zamknięte, postanowiła więc, że nie będzie budzić swoich towarzyszek.

Na dole panowała cisza, choć Clare podejrzewała, że Haigh już wstał; w końcu dochodziła dziesiąta. Wolała jednak mu nie przeszkadzać, w obawie, że trafi na jego gorszy nastrój po wczorajszym długim przyjęciu; wyszła więc na zewnątrz.

Poszła wolno długim żwirowym podjazdem, wdychając ostry cyprysowy zapach, który przypominał sosnowe lasy w jej rodzinnych stronach. Wkrótce znalazła się na wąskiej drodze wzdłuż granicznego muru, okalającego tereny *chdteau*. Drózkę porastały po bokach wysokie, polne kwiaty o mocnych odcieniach błękitu, fioletu i żółci. Clare zerwała ich trochę; znów poczuła się jak w dzieciństwie, kiedy zbierała dziko rosnące kwiaty, wkładała je do słoika z wodą i patrzyła, jak błyskawicznie wędną.

Śpiewały ptaki, ranne powietrze było czyste i upajające; w mieście nic takiego nigdy się nie zdarzało.

Uznała, że przez czysty przypadek znalazła się w końcu na placyku w centrum wsi. Pomachała na dzień dobry do monsieur Alliera, który mozolnie przyczepiał pisane kredą ceny do dyń i melonów.

- *Bjour, Mademoiselle!* - zawołał. - *Ca va bien!*

Uśmiechnęła się.

- *Bien, merci, Monsieur Allier, et vous?* - odpowiedziała głośno.

Zdecydowanym krokiem pomaszerowała po kocich łbach do Cafe des Colombes. Potrzebowała filiżanki dobrej, mocnej kawy, a także, przy odrobinie szczęścia tego ranka, paru rogalików. Miło byłoby też pogawędzić z Laurentem Jarrem. A może tak naprawdę to z jego powodu tu się znalazła?

Zepchnęła te przypadkowe myśli gdzieś głęboko, wbiegła po stopniach na taras i z uśmiechem na twarzy weszła do café. Ale Laurenta nie zastała. Okrążyła ladę, wypróbowała ekspres i nalała sobie filiżankę kawy. Znalazła cukier, zawinięty jak małe kiełbaski w zabawny biało-różowy papier, i wróciła na taras, zabierając po drodze sfatygowany egzemplarz wczorajszej gazety. Usadowiła się przy stoliku w cieniu, pod markizą, oparła stopy o krzesło i popijała kawę, kartkując niezrozumiałe pismo. Czekała.

Nie trwało to długo. Jarre wyłonił się z ogrodu za café, z koszykiem pełnym zieleniny. Oślupiał, gdy zobaczył Clare, a jego czarne oczy pociemniały jeszcze bardziej. Odchyliła się w krzesło i obejrzała na niego przez ramię, unosząc brew.

- *Bonjour, Monsieur Jarre* - powiedziała, szelmowsko akcentując słowo „monsieur” i szczerząc zęby. - Jeśli nadal mam mówić „monsieur” do kogoś, z kim przetańczyłam ostatnią noc...

- To grzecznościowy zwrot, przyjęty w naszej wiosce, mademoiselle - powiedział szybko po francusku, nieco zdenerwowany.

Clare wygramoliła się z krzesła.

- W takim razie, trzeba to zmienić. Mogę mówić do pana Jarre? Wołę niż Laurent. A pan będzie do mnie mówił Clare. Zgoda?

Jarre kiwnął głową, jak zawsze poważnie.

- Zgoda - odparł z ociąganiem.

- Jak widzisz, poczęstowałam się kawą.

- Zrobię świeżą. - Rzucił się pędem do baru.

- Jarre! - zawołała, a gdy wytknął głowę na zewnątrz i popatrzył na nią z wyczekiwaniem, spytała: - Co mam zrobić, żebyś się uśmiechnął?

Uśmiechał się, kiedy sięgał do ekspresu i szykował *grand creme* dla pięknej kobiety siedzącej przy jego stoliku. Przygotował też drugą porcję dla siebie, zabrał obie filiżanki i usiadł naprzeciwko Clare.

- Świetnie tańczysz... Clare - powiedział.
- Ty też... Jarre.
- Wyglądałaś wczoraj naprawdę pięknie.
- A ty wyjątkowo przystojnie.
- Długo tu zostaniesz?
- Myślałam o paru tygodniach, ale teraz... to zależy...
- Zależy?
- Zależy.

Kiwnął głową. Patrzył na nią tak, jak zaden mężczyzna do tej pory. Clare była przyzwyczajona do podziwu, nawet pożądanego we wzroku mężczyzny, ale w oczach Prowansalczyka była ufność.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś była tu szczęśliwa - powiedział.

I nagle Clare doznała olśnienia.

- W takim razie wiem, co możesz zrobić. Naucz mnie gotować. Rozpostarła ręce, kręciła głową z zachwytu nad swoim wspianiałym pomysłem. - Jarré, nie potrafię nawet ugotować jajka, nie umiem zrobić puree z ziemniaków. Sądzisz, że zdołasz to zmienić?

Wzruszył ramionami.

- *Bien sur* - powiedział z lekkim powątpiewaniem w głosie.
- No, to załatwione. - Clare tryskała szczęściem. - Będę tu co dzień rano, żeby pomagać ci w kuchni, a ty nauczysz mnie gotować. - Wyciągnęła rękę. - Umowa stoi?

Ujął jej dłoń.

- Stoi - odparł, tym razem uśmiechnięty.

Rozdział 51

Zwiedzanie wytwórni Domaine Marten miało się zacząć o szóstej, po czym zaplanowano kolację w Moulin d'Argent w Saint Sylvestre, *village perche*.

Pierwsza, jak zwykle, gotowa była Clare. Siedziała na kamiennym lwie przy frontowych schodach. Zaraz po niej pojawiły się Błękitka i Franny, a tuż za nimi rozentuzjasmowane szpice i Juliette, w starannie dobranym stroju,

kwiecistym wdzianku, sznurkach koralu i brzęczących, złotych bransoletach. Od strony wioski, podjazdem nadszedł Jake, prowadząc Zbira na kawałku sznurka zamiast smyczy, której do tej pory pies nigdy nie potrzebował.

- Więcej czasu spędza we wsi niż w domu. - Jake nieświadomie nazwał *chdteau* „domem”, tak jak nazywał go w myślach.

- Uroki swobody! - krzyknęła radośnie Juliette. - Zbir zakochał się pewnie w którejś z tych okropnych suk, wylegujących się całymi dniami koło fontanny. Możecie mi wierzyć, że jest tam jakaś maleńka francuska mademoiselle, której nie może się oprzeć.

Clare nie musiała nawet patrzeć na Franny; niemal fizycznie czuła zmysłowy impuls iskrzący między przyjaciółką i Jakiem. Niepokoił ją ten Bronson; zajmował się czymś niezwykłym, wręcz niebezpiecznym, miał tajemnice i był najwyraźniej mężczyzną z przeszłością. Miała tylko nadzieję, że tym razem Franny wykona właściwy ruch.

- Facet serio, Franny. Pamiętasz? - przypominała jej, patrząc znacząco na Jake'a.

- Och... z pewnością. - Franny promieniała.

Clare ścisnęła kciuki. Zastanawiała się jednocześnie, jaki „właściwy ruch” ona sama wykona.

W końcu przed dom wyszła Rafaella z Haighiem. Błękitka, w ślicznej żółtej sukieneczce na ramiączkach, rzuciła się na powitanie.

- *Grandmere* Rafaella! - zawołała. - Tęskniłam za tobą.

Rafaella zatrzymała się nagle. Poczuła, czym jest prawdziwe szczęście. Uśmiechnęła się radośnie i ucałowała wnuczkę.

- Ja też się za tobą tęskniłam. Chciałabym, żebyś pojechała ze mną Bentleyem. Juliette wsiądzie z nami, mam nadzieję. Franny i Clare zabiorą się z Jakiem.

Jechali krętą drogą wśród równych rzędów winorośli, obwieszonych kiściami dorodnych gron. Franny doszła do wniosku, że nie ma chyba piękniejszego widoku. Jake powiedział jej wtedy, że powinna zobaczyć winnicę zimą, kiedy bezlistne pędy, krótko przycięte, wyglądają jak czarnoksięskie różdżki.

- Czasem okropnie leje - opowiadała. - Potem nadchodzi mistral i łamie drzewa, zrzuca dachówki i przyprawia ludzi o rozstrój nerwowy. Koło Nowego Roku pojawia się mróz, choć wciąż jeszcze można jeść lunch na osłoniętym, słonecznym tarasie. W nocy powietrze jest ostre i tak czyste, że chciałoby się je pić, a człowiek dygocze pod warstwami ubrań i biegnie do Jarrego na gorącą *soup aupistou* i solidną porcję potrawy z sarny, z dodatkiem wina, którego teraz poprobujemy. - Westchnął z rozkoszą. - Naprawdę trudno wyobrazić sobie coś lepszego w życiu.

- Jak to się stało, że pamiętasz wszystko tak dobrze po tylu latach? - Franny była zdumiona.

- Jak mógłbym zapomnieć? - odpowiedział po prostu.

Scott czekał na nich w wytwórni. W popołudniowym słońcu kamienne łuki przybrały kolor miodu; stary klasztorny dzwon w Saint Sylvestre wybijał właśnie godzinę.

- Punktualni co do minuty. - Otworzył drzwiczki bentleya. - Witam panie. - Mówił z silnym australijskim akcentem. Podszedł do auta Jake'a akurat w porę, by otworzyć drzwi przed Clare.

Wystawiła na zewnątrz skromnie złożone, długie nogi. Spojrzała na Scotta i poczuła mocne uderzenie serca. Boże, świetny facet, i naprawdę serio... dokładnie taki, jakiego szuka.

- Przyjechaliście w najbardziej odpowiednim momencie - zwrócił się do Rafaelli. - Jutro zaczynamy zbiory na zachodnim wzgórzu. Wszystko gotowe, sezonowi robotnicy już są, tutejsi oczywiście też. Pierwsze tłoczenie możemy zacząć jutro wieczorem.

Rafaella zawsze uwielbiała winobranie. Było coś niezwykle ekscytującego w widoku gron, które toczyły się w wielkich urządzeniach, oddzielających je od gałązek, a potem wpadały do ogromnej tłoczni. Odurzał zapach słodkiego soku, a później smak, gdy kosztowało się gęsty płyn na próbę z kubeczka wielkości naparstka. Za słodki? Zbyt kwaśny? Za bardzo zielony? Spadał potem kaskadą do olbrzymich, wymytych kadzi fermentacyjnych, z których po kilku tygodniach czerpano go jako zaczątek nowego wina Domaine Marten. Wtedy właśnie przychodziła pora na talenty Scotta. Był „nosem”, jedyną osobą mieszącą wina w Domaine Marten; miał wiedzę, doświadczenie i instynkt - coś dodawał lub ujmował, wahał, smakował i poprawiał, aż nowe wino go w końcu zadowoliło.

Scott objaśniał gościom ten proces, kiedy wędrowali po wielkich kamiennych pomieszczeniach, oglądali wysokie stalowe kadzie i potężne maszyny. Potem zaprowadził ich na dół, do chłodnych i ciemnych szesnastowiecznych lochów. Wśród starych murów, sklepień i belek, w oparach wina poczuli zawrót głowy. Na kamiennym stole pośrodku największej piwnicy, czekała kolekcja kieliszków i kilka butelek przygotowanych do degustacji.

Scott otworzył pierwszą z nich i nalał trochę do każdego kieliszka.

- To był wspaniały rocznik - powiedział z dumą, pokazując nowicjuszom, jak najpierw obrócić kieliszkiem, żeby uwolnić aromat, potem spróbować, pozwolić, by płyn pozostał na języku i na podniebieniu. - Po czym należy to wypłuć - zakończył.

Błękitka popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Chińscy chłopci pluja, oczywiście, ale nigdy nie przypuszczała, że coś takiego zrobi jej eleganka, francuska *grandmere*. Wszyscy posłusznie powąchali, okręcili kieliszki i popili, choć Clare i Franny przełknęły swoje wino, zamiast wypluć.

- Za dobre, by marmować - stwierdziła Clare z uśmiechem.

Później pojechali do zabytkowej *village perche*, mijali stare farmy ucepięte skalistych zboczy i dziwne, kamienne budowle w kształcie małego stożka, nazywane *bories* i uważane za chaty dawnych pasterzy. Mury wiejskich domków też wyrastały ze skał, a uliczki z kocimi łbami wiły się przez maleńką wioskę, która wciąż wyglądała jak przed kilkuset laty.

Jake trzymał za rękę Franny, Rafaella szła z Błękitką, Juliette prowadziła szpice, wyjątkowo na smyczy. Scott dołączył do Clare. Natychmiast poczuła obok siebie jego smukłe ciało i swobodny krok człowieka, który nie siedzi w czterech ścianach.

- Przypomnij mi, czy tańczyliśmy razem ostatniej nocy? - spytała, udając, że zapomniała.

- Owszem.

- Hm, jeśli było tak miło, to czemu tego nie pamiętam?

Zachwycił go jej zalotny ton.

- Naprawdę nie pamiętasz, jak ci mówiłem, że jesteś piękna?

Przekrzywiła głowę, spojrzała na niego spod rzęs.

- I nadal tak sądzisz?

- Owszem - odparł poważnie, jakby składał małżeńską przysięgę.

Roześmiała się.

- Lubię facetów, z którymi dobrze się bawię - powiedziała, wsuwając mu rękę pod ramię.

Weszli do dużej kafejki na otwartym powietrzu, jedli na obiad pieczone kurczaki i wspaniałe *pommesfrites*. Pierwsze poddmuchy mistrału szarpały parasolami, rozwiewały włosy i unosiły w powietrze serwetki. Franny, trzymając pod stołem dłoń Jake'a, nie mogła uwierzyć, że jest tutaj, w raju, z mężczyzną, którego kocha. Z wzajemnością. I z którym będzie dziś w nocy w łóżku, czego nie może się już doczekać. Praktyka weterynaryjna w Santa Monica stała się nagle bardzo odległa.

Dzwon w klasztorze wybijał jedenastą, kiedy jechali z powrotem krętą drogą do *chdteau*. Tym razem i Franny mówiła sobie w myślach, że wraca do domu.

Rozdział 52

Tej nocy Błękitka nie mogła zasnąć. Martwiła się o Bao Chu. Pamiętała kaszel wstrząsający całym ciałem babci, pot ściekający po zmęczonej twarzy. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że Bao Chu może lada dzień umrzeć i dlatego właśnie nalegała, żeby dziewczynka sama poleciała do Francji.

Następnego dnia wstała bardzo wcześnie i usiadła po turecku pod drzwiami Rafaelli. Kiedy zobaczyła Haigha, który niósł do pokoju tacę ze śniadaniem, spytała, czy mógłby poprosić babcię, żeby pozwoliła jej wejść.

- Oczywiście, *mapetite*, wejź! - zawołała Rafaella.

Mała wśliznęła się do zaczarowanego królestwa babci. Przebiegła wzrokiem po wysokich regałach; nigdy nie wyobrażała sobie, że tyle książek w ogóle istnieje, zauważyła obrazy na ścianach, stoły wypełnione stosami fotografii, szal z jedwabiu przerzucony przez wygodny fotel przy oknie i ogromne łóże z czterema kolumnkami, na którym leżała wsparta o poduszki Rafaella. Obserwowała dziewczynkę.

- No i jak? Podoba ci się? - Uśmiechnęła się na widok osłupiałej miny wnuczki.

- Chyba wszystkie książki z całego świata są tutaj - powiedziała zdumiona Błękitka.

Rafaella roześmiała się.

- Och, nie wszystkie, ale na pewno kilka tysięcy. Chodź, *ma petite*, ucałuj swoją *grandmere*, a potem powiedz, o czym chcesz porozmawiać.

Błękitka wskoczyła na wielkie łóżko i bez skrępowania zwinęła się w kłębek obok babci.

- Boję się o Bao Chu - wyznała cichym, drżącym głosem.

Rafaella westchnęła. Wiedziała od Jake'a, że Bao Chu jest w złym stanie, choć przynajmniej teraz miała wreszcie doskonałą opiekę lekarską.

- Nie mogę ci powiedzieć, żebyś się nie przejmowała, *ma petite*, bo twoja babcia choruje już bardzo długo - mówiła łagodnie.

Błękitka podniosła głowę, wpatrzyła się w Rafaellę dużymi niebieskimi oczami.

- *Grandmere*, jak to jest, jak się umiera?

Rafaella głęboko wciągnęła powietrze. Nie mogła powiedzieć dziecku, że prawdziwą odpowiedź może dać tylko ten, kto tego osobiście doświadczył, choć czasami zastanawiała się, czy człowiek nie umiera też po trochu od kolejnych ciosów, które zadaje mu życie. Zamyśliła się.

- Wierzmy, że to jest tak, jakby się zasnęło. Czasem śmierć przychodzi nagle, na przykład w wypadku. Czasem odchodzi się długo. A bywa tak, że umiera się spokojnie, słodko i delikatnie, jest czas na pożegnanie, z uśmiechem w oczach. Mój tata tak właśnie umarł, jakby był szczęśliwy, że w końcu opuszcza ten świat.

- Czy Bao Chu też tak umrze?

- Mam nadzieję, kochanie.

- A ty, babciu Rafaello? Umrzesz z uśmiechem?

Rafaella znów pomyślała o śmierci, jak wiele razy w ciągu kilku ostatnich lat.

- Tak, maleńka - przytaknęła.

- A potem znów zobaczę ciebie i Bao Chu?

Jeszcze raz się zamyśliła.

- Podobno, jeśli wierzmy, wszyscy spotkamy się w niebie.

- Błękitka odetchnęła z ulgą i podziękowała. Potem razem zjadły śniadanie Rafaelli, gotowane jajka i grzanki, i na razie temat został odsunięty.

Rozdział 53

Wszyscy stawili się wcześniej rano, w szortach i podkoszulkach, gotowi do winobrania. Oczywiście poza Rafaella i Juliette, które jednak obiecały, że przyjadą na kontrolę w porze lunchu i przywiozą mały poczęstunek naszykowany przez Haigha.

Scott spotkał ich u stóp zachodniego wzgórza. Roiło się na nim już od sezonowych zbieraczy; w palącym słońcu błyskały wielkie nożyce, gdy obcinali dojrzałe kiście i układali je ostrożnie w dużych plecionych koszach.

Scott był bez reszty zajęty pracą tego ranka i prawie nie spojrzał na Clare. Zaprowadził gości do rzędu krzewów, pokazał, jak odcina się kiście i jak odróżnić idealne, okrągłe, nabrzmiałe sokiemi owoce gotowe do zbioru od mniejszych, które należy zostawić. Ostrzegł, by uważać na pszczoły, plagę każdego winobrania, życzył powodzenia i zostawił ich, by radzili sobie sami.

Clare popatrzyła na Franny.

- Wracam do korzeni - powiedziała, związując wysoko włosy. - Dokładnie tam, gdzie zaczynała moja rodzina, na pole, tyle że zbierałam wtedy cebulę, nie winogrona. Coś mi się zdaje, że to niewielka różnica, harowa zawsze jest taka sama.

Rzeczywiście. Po godzinie Franny bolał już kark, a Clare dwa razy wycierała ze skóry żądła pszczoł. Niedługo później nawet Błękitka zwolniła tempo. Po trzech godzinach w prażącym słońcu, złane potem, modliły się, by Haigh z poczęstunkiem pojawił się jak najszybciej. Robiły krótkie przerwy, by łyknąć nagrzanej słońcem wody z plastikowych butelek, po czym wlokły swoje kosze do przyczepy, gdzie grona sprawdzano i przekładano do *chai*, gotowe do obierania z szypułek i sortowania, wreszcie znów wracały na rozgrzane zbocze zbierać dalej.

Franny wiedziała, że nigdy już nie będzie patrzyła na butelkę wina tak jak dawniej. Wytarła pot z twarzy i tęsknie pomyślała, czy by nie rzucić tego wszystkiego i pójść pod prysznic. Widziała Jake'a, który nieco wyżej metodycznie posuwał się wzdłuż swojego rzędu. Był już dużo dalej niż ona, westchnęła więc i zabrała się do roboty.

Kiedy samochód z *chdteau* w końcu pojawił się na krętej drodze pod górę, Scott zarządził przerwę na lunch. Robotnicy chronili się w cieniu, rozpakowywali omlety ziemniaczane, kanapki i popijali to porządną porcją czerwonego wina. Zbieracze z *chdteau* pojedynczo, ociążonym krokiem wracali na dziedziniec, gdzie pod kamiennymi arkadami roztawiono stoły na kozłach, nakryte ceratą w czerwono-białą kratkę. Gdy cała ekipa amatorów obmyła ręce i twarze, opatrzyła miejsca uządleń, wszyscy opadli z ulgą na krzesła. Patrzyli pożądliwie, jak Haigh prezentuje swoją ofertę: kruchą sałatę nicejską, zimne omlety ziemniaczane, takie same, jakie jedli robotnicy, długie bagietki i ogromne półmiski z serem i szynką.

- Jak ci się podoba praca fizyczna? - zwrócił się Scott do Clare.

Uśmiechnęła się i wbiła zęby w kawałek omleta.

- Podoba mi się wynagrodzenie - odpowiedziała. - Fantastyczne. Proszę Jarrego, żeby mi pokazał, jak się robi omlety.

- Jarrego? - Popatrzył na nią zdumiony.

- Daje mi lekcje gotowania. Zaczynam jutro. Może kiedy wrócę do Kalifornii, zatrudnię się na stanowisku szefa kuchni.

- To znaczy, że wracasz?

Myśl o wyjeździe z Prowansji nagle zasmuciła Clare.

- Nie mówmy o tym.

- W porządku. Choć zaczynam się przyzwyczajać, że jesteś w pobliżu. I nie chciałbym usysać z tęsknoty.

- Słucham? - Zatrzepotała zalotnie rzesami.

- Claire - powiedział. - Zbiory i tłoczenie to dla mnie najbardziej pracowity okres. Nigdy nie wiem, kiedy będę miał wolną chwilę, ale jak tylko mi się uda, zapraszam cię na kolację. Zgadzasz się?

- To znaczy ty i ja? Tylko we dwoje? - Roześmiała się.
- We dwoje - odparł stanowczo i Clare kiwnęła głową.

Po lunchu trzeba było wracać na zbocze. Franny ledwo się mogła ruszyć, ale Błękitka, po posiłku odzyskała energię. Jake pracował już przy trzecim rządku, a Franny wciąż jeszcze nie skończyła pierwszego. Miała wrażenie, że ręce jej się urwą od taszczenia ciężkiego kosza, jakie sezonowi zbieracze z północnej Afryki, którzy pojawiali się na południu co roku w porze winobrania, z łatwością nosili na głowach. Złana potem, z rękami fioletowymi od soku i zmierzwionymi włosami, klejącymi się od ciągłego wpychania ich pod kapelusz, brudna i zmęczona, z ulgą przyjęła komunikat Scotta, że robotnicy z *chdteau* odrobili swoją dniówkę, choć reszta miała pracować, aż zakończy się zbiór na całym zboczu.

Nigdy jeszcze prysznic nie wydawał się tak cudowny, jak później w *chdteau*, a już myśl o cichej nocy z ukochanym mężczyzną była najbardziej pociągająca na świecie. Franny chciała tylko zwinąć się w ramionach Jake'a, czuć ciepło jego ciała, zapach skóry, dotykać go dłońmi poplamionymi sokiem. Chciała kochać się i spać spleciona z Jakiem.

Potem, po kolacji, Rafaella i Juliette miały zagrać w Monopol z Błękitką i Haighiem. Clare usprawiedliwiła się, że następnego dnia musi wstać wcześniej, żeby pomóc Jarremu przygotować jutrzejszy uroczysty lunch i poszła spać, a Franny i Jake wybrali się na spacer.

Szli objęci, w błękitnym półmroku, znów nad jezioro. Zbir buszował w trzcinach, skomlał, kiedy ześlizgiwał się do wody i moczył łapy, spląszył stadko kaczek, które zerwały się z głośnym kwakaniem. Usiedli na trawie, patrzyli, jak kaczki stopniowo wracają i zanurzają główki w wodzie, wymachując w powietrzu żółtymi nogami i szukając jakichś swoich przysmaków. Na przeciwległym brzegu urzędował łabędź, czujnie obserwował psa, gotów bronić swojej partnerki i młodych. Ten sam wiatr, który zerwał się poprzedniego wieczoru, nagle zaszumiał w wierzchołkach drzew. Jake powiedział, że to mistral, który gdzieś aż z Syberii pędzi przez północną Europę, a potem między łańcuchami gór dociera do Prowansji.

- Scott musi pospieszyć się ze zbiorem, bo będzie miał kłopoty - dodał.

Leżeli obok siebie na miękkiej trawie, całowali się od czasu do czasu, rozmawiali o wszystkim i o niczym. A potem, zmęczeni, wrócili do cichego, uśpionego domu. U szczytu schodów Jake wziął w dłonie ręce Franny. W spojrzeniu miał pytanie. Franny uśmiechnęła się, skinęła głową

i poszła z Jakiem do jego pokoju. Tam, zwinęta tuż obok ukochanego, zasnęła, zanim jeszcze dotknęła poduszki. To był kolejny z najpiękniejszych dni w życiu Franny. Ile ich jeszcze jej oferuje?

Rozdział 54

Clare była na nogach o świcie. Pobiegła drogą do wioski i zjawiła się w cafe właśnie w chwili, kiedy Jarre otwierał okiennice.

- *Bonjour*, Jarre! - zawołała, a gdy odwrócił się do niej zdziwiony, powiedziała: - Stawiam się do pracy. Zapomniałeś?

- Nie sądziłem, że mówisz poważnie. - Jarre był zaskoczony.

- A jednak jestem; gotowa do pierwszej lekcji. - Stała na baczność.

Jarre popatrzył z powątpiewaniem; wciąż nie dowierzał. Postanowił ją przetestować, zobaczyć, czy Clare przypadkiem nie nudzi się po prostu i nie chce się trochę zabawić jego kosztem.

- *Et bien*, najpierw trzeba umyć warzywa - mówił, prowadząc ją do niewielkiej kuchni, w której miejsca starczyło akurat na to, żeby z trudem pomieścili się oboje. - Potem przygotować sałatkę; pomidory, sałatę, ogórki. Czerwoną paprykę opiekamy, studzimy, zdejmujemy skórkę i drobno kroimy. A małże trzeba porządnie wyszorować. - Pokazał jej stanowisko pracy: drewniany blok do siekania obok porcelanowego zlewu, stos metalowych misek i wielki zestaw śmiertelnie ostrych noży. - Uważaj na palce - powiedział szorstko i zostawił ją z robotą.

Clare popatrzyła za nim niespokojnie. Nie całkiem tego oczekiwała. Myślała, że będzie pomagać przy gotowaniu i pieczeniu, posypywać pyszną rybę świeżymi ziołami i układać ją na ślicznych talerzach. Wzięła nóż i ostrożnie go obejrzała. Pomyślała, że czymś takim bez trudu można by zabić człowieka. Bezskutecznie rozglądała się za gumowymi rękawiczkami. Jarre najwyraźniej nie przejmował się zanadto stanem swoich dłoni. Zresztą po winobranii jej ręce też były pokaleczone i pokłute przez pszczoły. Popatrzyła na połamane paznokcie i uznała, że właściwie nie ma czym się martwić. Sięgnęła po szczotkę i wzięła się do szorowania drobnych warzyw. Zabawne. To jak kolejny powrót do korzeni; do dzieciństwa w biednym wiejskim domu.

Kiedy pół godziny później Jarre wrócił, wszystko było czyste i poukładane w miskach, zieleńca wypłukana i odwirowana, a czerwone papryki

opiekały się na grillu. Clare podniosła wzrok znad bloku do siekania, na którym starannie kroїła pomidory. Uśmiechnęła się i ta chwila nieuwagi wystarczyła, by Clare rozciąła sobie palec.

- O, do diabła - syknęła na widok krwi. - No i po pomidorach.

Jarre z krzykiem skoczył do niej, obejrzał palec, zatamował krew i z cierpieniem na twarzy lał zimną wodę na skaleczenie. Clare uśmiechnęła się. Nie sądziła, by coś jej groziło, ale troska gospodarza była czarująca.

- To moja wina - jęknął Jarre. - Takich rzeczy nie wolno dawać do ręki amatorowi. Należało się spodziewać krwawego finału.

- W porządku - powiedziała cicho Clare. Przyglądała się jego twarzy, gdy pochylał się nad jej dłonią. - Wcale nie jest tak źle i naprawdę nie boli.

- Och, po prostu jesteś dzielna. - Popatrzył jej w oczy.

Byli tak blisko, o kilka centymetrów od siebie, że Clare po prostu nie wytrzymała. Zbliżyła się jeszcze odrobinę i pocałowała go w usta.

- Od razu mniej boli. - Rzuciła mu kokieteryjne spojrzenie spod rzęs.

Jarre zarumienił się. Zdumiewające, pomyślała z uśmiechem; mężczyzna, który czerwieni się, zamiast przyciągnąć do siebie dziewczynę. To naprawdę zaczarowana kraina. Zastanawiała się, czy Prowansalcykowi spodobał się pocałunek. Miły był delikatny dotyk kłujących wąsów i jędrnych warg, leciutki zapach piżma w płynie po goleniu i aromat czystej skóry.

Jarre, zdenerwowany, popędził do apteczki. Wrócił i opatrzył skaleczony palec. Potem usiedli razem w barze i w milczeniu popijali gorącą kawę.

- Nie powinnaś tego robić - odezwał się w końcu.

- Czego? - spytała niewinnie.

- No... całować - odpowiedział. Unikał jej wzroku, gorliwie popijając kawę.

- Tak? A dlaczego?

Jarre westchnął.

- Pewnie zawsze robisz dokładnie to, co chcesz, mam rację?

- Masz - zgodziła się Clare, skubiąc kawałek posmarowanej masłem bagietki, bo w kafejce znów nie było rogalików.

- To jak ma poradzić sobie z tobą mężczyzna? Skąd może wiedzieć, co teraz zrobisz?

- Nie wiem - powiedziała Clare. -I to jest połowa zabawy.

Tym razem Jarre roześmiał się, ukazując tak mocne i białe zęby, aż Clare miała ochotę spytać, kto jest jego dentystą. Ale właśnie pojawili się pomocnicy kuchenni i trzeba było wracać do zajęć. Lunch nie mógł czekać.

Później Clare przyglądała się, jak Jarre robi sosy do ryby i do piersi kaczk. Pozwolił jej spróbować lodów brzoskwińowych domowej roboty i tłumaczył, jak sieje przyrządza. Kazał przebrać kobiałkę świeżych poziomek, kupionych rano na rynku, a potem razem nakrywali duży stół na tarasie na przyjęcie dla mieszkańców i gości *chdteau*. Zrobiło się późno. Clare pobiegła do domu zmienić ubranie.

Punktualnie w wpół do pierwszej Haigh bentleyem przywiózł do wioski Rafaellę i Juliette; młodzież przyszła piechotą. Błękitka, w nowych, wygodnych tenisówkach, skakała na przedzie. Stała na widok psów, które wylegiwały się w cieniu obok fontanny.

- Jake, patrz! - zawołała, pokazując ręką. - Tam jest Zbir.

Rzeczywiście, rozłożył się razem z innymi psami i dyszał z wywieszonym językiem, udając prawdziwego francuskiego włóczęgę. Zobaczył ich i podniósł głowę, niedbale machnął ogonem, potem znów się położył. Parsknęli śmiechem.

W cafe Błękitka usiadła, jak zawsze, obok babci. Za sobą posadziła wełnianą owieczkę, z którą nigdy się nie rozstawała, i sączyła lemoniadę jak dama, trajkocząc coś w mieszaninie francuszczyzny, angielszczyzny i mandaryńskiego, co w jakiś sposób wszyscy rozumieli.

Zjawił się Jarre, przywitał gości i nalał wina z własnej winnicy; czekał na oznaki aprobaty, choć Scott, wciąż zajęty zbiorami, nie dotrzymywał im dziś towarzystwa. Wiatr złagodniał, zmienił się w delikatną bryzę, która niosła świeży aromat *garrigue*, kamienistych zbczy wzgórz, porośniętych rozmarynem i żarnowcem.

Gawędzili, śmiejąc się i jedząc rybę przyprawioną odrobiną czosnku i estragonu, kiedy zadzwoniła komórka Jake'a. Przeprosił obecnych i wyszedł rozmawiać na zewnątrz. Rafaella odprowadzała go wzrokiem. Wiatr rozwiewał jego ciemne włosy i wtedy przypominała sobie tamtego młodzieńca, który pierwszy raz przyjechał do *chdteau*.

Skończył rozmowę, potem sam gdzieś zadzwonił i wrócił do stołu.

- Przykro mi, ale muszę lecieć na kilka dni do Nowego Jorku - powiedział. Patrzył na Franny i Rafaella wiedziała, jak bardzo nie chciał się z nią rozstawać, nie teraz, kiedy byli razem w miejscu, które kochał najbardziej na świecie. - Samolot przyleci po mnie wieczorem do Avignonu - dodał. - Wrócę najszybciej, jak tylko zdołam.

Niespiesznie kończyli lunch; Rafaella uchwyciła nad stołem spojrzenie Franny. Doskonale wiedziała, że kuzynka myśli teraz o tym, jak przetrwa kilka najbliższych dni bez ukochanego. Rafaella uśmiechnęła się do niej ze zrozumieniem - znała to uczucie aż za dobrze.

Rozdział 55

Tego samego wieczoru, po wyjeździe Jake'a, kiedy reszta towarzystwa poszła już spać, Franny i Rafaella zostały w małym saloniku. Siedziały naprzeciwko siebie przy niedużym, intarsjowanym stoliku do kart i grały w tryktraka. Mimi i Louise ułożyły się, jak zwykle, u nóg pani, a Zbir, rozciągnięty przy drzwiach, swoim zwyczajem trzymał na wszelki wypadek jedno oko otwarte.

- Pewnie już tęsknisz za Jakiem - powiedziała Rafaella, mocno zastanawiając się nad następnym ruchem, bo lubiła wygrzywać.

Franny westchnęła.

- Nie sądziłam, że można za kimsz tak bardzo tęsknić. Jak to w ogóle możliwe? Przecież znam go tak krótko.

- Och, wystarczająco długo, żeby się zakochać.

- Kochałaś ojca Jake'a, prawda?

- Tak. I przyznam ci się, że wbrew wszystkiemu kocham go nadal. - Rafaella przesunęła swój pionek i wygrała partię. Oparła się, zadowolona, i podniosła wzrok na Franny. Czuła, jak nawiązuje się między nimi nic porozumienia. - Kochałam go i straciłam - powiedziała z cierpkim półśmiechem. - Wciąż jednak wierzę w prawdziwą, trwałą miłość. A ponieważ wiem, że i ty w nią wierzysz, opowiem ci o Lucasie.

Ogień w kominku przygasł. Rafaella wstała, nastawiła płytę i usiadła w wielkim, starym skórzanym fotelu. Słuchała piosenki sprzed lat. Opowiedziała Franny o ich pierwszym spotkaniu, o romansie, o tym jak Jake przyjechał, by razem z nimi zamieszkać i jak później Lucas kazał mu się wyprowadzić. Od tamtej pory wszystko źle się układało. Kiedy skończyła, siedziała przez chwilę bez ruchu, rozmyślając o tym, jak miłość stopniowo gaśnie, a Franny obserwowała ją w milczeniu.

- Po wyjeździe Jake'a zaczęły się kłopoty - powiedziała w końcu Rafaella. - Byłam zła na Lucasa, że odrzucił syna, i nie ukrywałam tego przed nim. W odwet wyruszył na kolejne podboje. Zdobył nową kobietę zawsze dawało mu poczucie władzy. Zresztą jestem pewna, że i ty znasz takich mężczyzn, kochanie - dodała, a Franny pomyślała o Marcusie i kiwnęła głową. - Nie wiedziałam, co robić - kontynuowała Rafaella. - Kochałam Lucasa. Nie mogłam go porzucić. Powiedziałam nawet Juliette, że on jest moim przeznaczeniem. A ona na to: „Nie wiesz, że przeznaczenie to już koniec? W życiu wciąż trzeba samemu dokonywać wyboru, *ma chérie*”. - Zamilkła na chwilę. - Którejś nocy, kilka miesięcy później, leżałam sama w łóżku i zastanawiałam się, gdzie może być Lucas,

co robi, z kim jest. Wiedziałam, oczywiście, dokąd pojechał. Był wtedy w Anglii, grał w polo z księciem i hrabiami, i nagle uświadomiłam sobie, że ani chwili dłużej nie zniosę rozstania. Poszłam do garderoby, wrzuciłam parę rzeczy do walizki. Kiedy schodziłam do holu, stał tam już Haigh, w staroświeckiej nocnej koszuli w paski, spod której widać było chude nogi sterczące jak suche gałęzie. „Jedź pani do niego, prawda?” - spytał. „A jeżeli nawet, to co?” - odparłam zaczepnie. Haigh tłumaczył mi, że robię błąd, ale nie posłuchałam go. Miłość okazała się silniejsza ode mnie. Włożył walizkę do samochodu. Nie próbował mnie zatrzymać. Przypomniał mi nawet, żebym wzięła pieniądze. Sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął zwitek banknotów. Usłyszałam jeszcze, jak woła: „Szczęśliwej podróży”, ale nawet nie odpowiedziałam. Chciałam tylko odnaleźć Lucasa. - Odetchnęła głęboko. - Pojechałam nocą do Paryża, stamtąd do Calais, najbliższym promem do Dover i potem do Londynu. Byłam wykończona, czułam się fatalnie. Wiedziałam, że wyglądam okropnie, a na spotkaniu z Lucasem muszę prezentować się doskonale. Pojechałam więc prosto do Ritza, wzięłam pokój i zafundowałam sobie długą, gorącą kąpiel. Włożyłam na siebie coś ciepłego. - Rafaella popatrzyła na Franny i parsknęła śmiechem. - Możesz mi nie wierzyć, ale do dziś pamiętam, co miałam wtedy na sobie: tweedowy płaszcz od Chanel, dobraną do niego spódnicę i cienki sweterek, bo w Londynie, mimo lata, było dużo chłodniej niż w Prowansji. Potem przeszłam na drugą stronę ulicy, do Burlington Arcade, gdzie są najlepsze sklepy z męskimi ubraniami, i kupiłam Lucasowi kilka gustownych prezentów. - Nagle opanował mnie strach przed tym, co zamierzam zrobić. Nigdy wcześniej nie szukałam Lucasa, nie odważyłam się pojawiać bez uprzedzenia... wróciłam do Ritza, usiadłam w Palm Court i poprosiłam o kieliszek szampana, żeby się uspokoić. Rozejrzałam się po kąpiącej od ozdób sali z wysokim sufitem, ogromnymi żyrandolami i złoceniami. Patrzyłam też, z odrobiną zazdrości, jak inni goście, beztrudno zagłębieni w kanapach, sączyli herbatę nalewaną ze srebrnych dzbanków, zajadali kanapki z ogórkiem i grzanki z dżemem truskawkowym i śmietaną. Wydawało mi się, że nie mają żadnych trosk. W przeciwieństwie do mnie. - Znów na kilka sekund przerwała swoją opowieść. - Naprawdę, Franny, piłam tego szampana bardzo wolno, odlewając chwilę, kiedy będę musiała zadzwonić do hotelu na wsi, gdzie mieszkał Lucas. Na krześle obok mnie leżały eleganckie torby z prezentami. Próbowałam sobie wyobrazić, z jakim zachwytem będzie je otwierał. W pewnych sprawach Lucas był jak dziecko. Nawet najwykleszy podarunek budził w nim wielką radość. - W końcu wróciłam do pokoju i zamówiłam rozmowę. Recepcjonista powiedział, że telefon w pokoju

pana Bronsona nie odpowiada. Cóż, pomyślałam. Nie szkodzi, będę tam mniej więcej za godzinę. Zadzwoiłam do recepcji Ritza i poprosiłam o podstawienie mojego auta. Zamknęła oczy, przywołując wspomnienia. - Hotel Lucasa stał w lesie nad Tamizą. Wciąż go widzę, elegancki, w stylu wiejskiej rezydencji, z pięknym, białym portykiem i wysokimi oknami z epoki georgiańskiej. Pamiętam ciężkie zasłony ze złocistego aksamitu, które pewnie chroniły przed podmuchami zimowych wiatrów. I recepcjonistę. Wyglądał na emerytowanego wojskowego, był chyba koło siedemdziesiątki, miał sterczące wąsy, a na nosie połówki szkieł. Przyjrzał mi się sponad nich bacznie, kiedy spytałam o pana Bronsona.

- Ach, pan Bronson - mruknął. - Tak. Hm... - Długo sprawdzał w książce gości, jakby pisano ją w niezrozumiałym, obcym języku.

- Pokój 23 - dodałam, bo to zapamiętałam z rozmowy telefonicznej.

- Ach, tak... pokój 23. Hm... Cóż, przykro mi, madame, ale pan Bronson chyba właśnie wyszedł.

Rafaella westchnęła i opowiadała dalej:

- Rzuciłam okiem na drewnianą tablicę, gdzie trzymano klucze. Rzeczywiście, klucz do pokoju 23 wisiał na haczyku, co znaczyło, że Lucas pewnie wyszedł. Powiedziałam, że zaczekam. Recepcjonista zaprowadził mnie z lekkim ociąganiem, jak mi się zdawało, do dużego i zimnego salonu, a sam poszedł zamówić herbatę. Nigdy nie lubiłam czekać i uznałam, że nadarza mi się świetna okazja. Błyskawicznie wpadłam za kontuar recepcji, chwyciłam klucz i popędziłam po schodach wyłożonych czerwonym dywanem. Zobaczyłam tabliczkę kierującą do pokoi od 21 do 25. Uśmiechałam się, wsuwając klucz do zamka, bo myślałam o tym, jak będę czekać nago w łóżku na powrót Lucasa. Zamówię u tego zrzedliwego staruszka szampana zamiast herbaty, a poduszki spryskam swoimi perfumami z mimozą, żeby wszystko było tak samo jak w domu, w *chateau*.

- Rafaella otworzyła wilgotne oczy. - Pchnęłam drzwi i znalazłam się w mrocznym pokoju, z zasłoniętymi oknami. Poczulałam, że nie jestem sama. A jednak Lucas tu był! Cichutko okrążyłam krzesła i stoliczki. Podszłam do solidnego łóża z kolumnkami. Szeptem zawołałam Lucasa. I wtedy go zobaczyłam. Podniósł głowę z poduszki. Przez sekundę patrzyliśmy sobie w oczy, a potem odwróciłam się i gubiąc po drodze torby z prezentami, wybiegłam i zatrasnęłam za sobą drzwi pokoju 23. - Rafaella znów zacisnęła powieki. - Nie chciałam wiedzieć, kim była ta kobieta, nie chciałam słuchać jego tłumaczeń ani deklaracji, że zawsze mnie kocha. W głębi serca wiedziałam, że zdarzyło się to nie po raz pierwszy. W czasie długiej podróży powrotnej do Prowansji myślałam o tym, co Juliette mówiła o przeznaczeniu i samodzielnym dokonywaniu wyboru.

Teraz przyszła pora, bym to właśnie zrobiła. - Wiedziałam, że muszę zakończyć swój romans. - Rafaella spuściła głowę, zamyśliła się. - Problem polega jedynie na tym, że wciąż Kocham Lucasa.

- I nigdy go już nie widziałaś? - spytała Franny.

Rafaella zawahała się przez chwilę.

- Owszem, widziałam - powiedziała. Spojrzała na Franny. - Nikomu nigdy o tym nie mówiłam, nawet Juliette, i oczywiście nie Haighowi. To była moja tajemnica, ale teraz mogę ci ją wyjawić, ponieważ wierysz w prawdziwą miłość.

I opowiedziała historię, której Franny nie zapomni nigdy w życiu.

Rozdział 56

Lucas wrócił do niej w końcu. Nikt o tym nie wiedział, nawet Haigh; tylko Lucien i Janine, *guardiens willi*, bo tam oczywiście była z Lucasem, dokładnie w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło; na Cap d'Antibes.

Haigh wybrał się do Anglii w jakichś sprawach, a Rafaella nie nawykła mieszkać w *chateau* bez niego, postanowiła więc przenieść się do willi. Tylko ona i psy.

Siedziała o zmierzchu na werandzie, patrzyła na morze pobłyskujące jak błękitnawy opal i słuchała ptaków świergocących w piniach przed ułożeniem się do snu, kiedy dobiegł jej uszu jakiś inny dźwięk - kroki na ścieżce od bramy do domu. Nie bała się, choć była sama. Być może to Lucien idzie z ogrodu z koszem brzoskwiń albo Janinę po coś wraca do domu. Rafaella nasłuchiwała, czekała i wtedy pojawił się wysoki mężczyzna w białej koszuli. Rękawy miał podwinięte, a twarz i ręce tak opalone, że niknęły w mroku nocy. Nie mogła rozpoznać rysów, ale doskonale znała to ciało.

- Lucas - powiedziała szeptem.

Zatrzymał się i patrzył. Siedziała wciąż na werandzie, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu, bo kolana stały się nagle zbyt miękkie, a w głowie znów brzmiała ta sama piosenka grana na białym fortepianie tego dnia, kiedy się spotkali.

- Wróciłem do domu, Raffaello. - Głos był chrapliwy, bardziej szorstki niż kiedyś.

Natychmiast zrozumiała, że dzieje się coś bardzo złego. Pozbierała się; zbiegła do holu i stanęła u szczytu schodów. Zobaczyła cień Lucasa, jakiego pamiętała.

Był tak chudy, że sam jego widok wywoływał ból. Poruszał się z trudem, niepewnym krokiem, jakby każdy ruch sprawiał mu cierpienie. Rafaella zmartwiała. Kiedy zbliżył się, popatrzyła na wyniszczoną, mizerną twarz. Zrozumiała, że Lucas umiera. Tylko oczy zawsze te same, błyszczące, nie chciały się poddać.

- Dowiedziałem się, gdzie jesteś, i wróciłem do ciebie, Raffaello - powiedział, jakby była to jakaś zwykła rzecz.

Otworzyła ramiona i przytuliła go, tak jak kiedyś, na samym początku.

Widać było wyraźnie, że nie pozostało mu wiele czasu. Ostatnie dni spędzili razem, bliźsi sobie niż kiedykolwiek. Nie opuszczali willi. Spał obok niej, a Rafaella leżała z otwartymi oczami, nasłuchując jego ciężkiego oddechu i wspominając czasy, gdy był młody, silny, pełen życia i energii. Nie ma i nie będzie nikogo drugiego jak Lucas Bronson. Nigdy.

Karmiła go małymi porcjami, jakie mógł przyjąć, choć wydawało się, że połyka tylko po to, by sprawić jej przyjemność. Tak naprawdę nie chciał jeść, nie chciał przedłużać agonii. Siadali na werandzie, wpatrzeni w Morze Śródziemne, które zmieniało barwę z turkusowej na szafirową, aż w końcu zlewało się z niebem; sączyli wino, trzymali się za ręce i odnajdywali w sobie pogodę, której nigdy wcześniej nie zdołali osiągnąć...

- Kocham cię, Raffaello - powiedział. - Zawsze kochałem. Nigdy nie spotkałem nikogo, z kim mógłbym cię porównać. To ja byłem winien: arogant, krętacz z paskudnym charakterem. Kobiet mogłem mieć pod dostatkiem, więc je brałem. Nie ma sensu mówić, że żałuję, bo wszystko już skończone. Ale wróciłem, żeby jeszcze raz cię zobaczyć, bo jesteś moim nieprzemijającym wspomnieniem.

Spędzili razem pięć dni. Potem któregoś dnia Rafaella obudziła się sama. Lucas odszedł. Szukała go wszędzie i znalazła w prywatnej klinice w Cannes. Umarł tam nazajutrz.

Był kiedyś sławny, więc wszystkie gazety zamieściły jego nekrologi. Przed śmiercią zmienił testament; pominął w nim, jak zawsze zresztą, syna i wszystko zapisał organizacji dobroczynnej zajmującej się końmi. Zażądał jednak, by jego prochy rozsypano między krzewami dzikich róż wokół altanki przy *chateau*, „w miejscu, które zawsze przypominało mi o tobie, Raffaello”, jak kiedyś powiedział.

Zadbała, by spełniono jego ostatnią wolę.

Franny słuchała opowieści Rafaelli i czuła, jak łzy spływają jej po policzkach.

- Jesteś dzielna i dobra - wyszeptwała. - Oby moja miłość była tak mocna, jak twoja.

- Jest, kochanie, wierz mi. - Rafaella poklepała kuzynkę po ręce. - A teraz mam dla ciebie propozycję. Jake wyjechał, a tobie przydałaby się jakaś zmiana. Wybierz się do willi na Cap, zabierz ze sobą Błękitkę. Chciałabym, żebyście obie zobaczyły, jakie piękne jest Lazurowe Wybrzeże. Pojechałabym z wami, ale dla mnie to za daleko. Artretyzm zbyt mocno daje mi się we znaki.

To było drugie wspaniałe zaproszenie w życiu Franny. Lazurowe Wybrzeże migało jej tylko czasem w telewizyjnych programach podróżniczych jako kraina marzeń, a teraz właśnie na nią czekało. Rafaella nie tylko opowiedziała o swojej miłości; pokazała też sens rozstania i czekania, kiedy jej własny ukochany jest daleko.

Otoczyła ramionami starą kobietę i uściśnęła czule.

- Dziękuję - powiedziała.

Rafaella zrozumiała, że to podziękowanie za opowieść o niej i Lucie.

Rozdział 57

Scott Harris był mile zaskoczony, kiedy następnego wieczoru, o zachodzie słońca pojawiła się Clare. Z piknikowym koszykiem w ręku wkroczyła do tłoczni, kiedy maszyny pracowały pełną parą.

- Cześć - powiedziała, stając w drzwiach i zaglądając w półmrok wnętrza. - Przyniosłam kolację. Pomyślałam, że każdy facet powinien od czasu do czasu coś zjeść, nawet supermen produkujący wino.

Scott uśmiechnął się i ze znużeniem przejechał ręką po włosach.

- Chyba masz rację. Pewnie skończyłoby się jak zawsze na szynce i serze koło północy.

- Gdybym cię nie uratowała. - Clare postawiła wiklinowy koszyk na chwiejnym laminatowym stole, obok laptopa i kilkadziesiątu pustych butelek po wodzie mineralnej. - A teraz patrz, co uczyni moja czarodziejska różdżka! - zawołała. Uniosła pokrywę i teatralnym gestem wskazała zawartość kosza, jak cyrkowy magik, kłaniający się publiczności po wyjątkowo skomplikowanym numerze.

- Czy ta różdżka potrafi też zamienić mnie w królewicza? - W głosie Scotta brzmiała nadzieja.

Clare roześmiała się i pokręciła głową.

- Za wiele oczekujesz, nawet ode mnie, ale obiecuję, że przyniesie ci szczęście, choćby na krótką chwilę. Popatrz, oto czarodziejskie kurczaki z rożna, prosto od Alliera, oraz - podniosła pudełko - ziemniaki pieczone w sosie własnym. - Nadgryzła jeden z nich i jęknęła z zachwytu. - Mhmm, Boże, jakie to dobre. A także - pomachała w jego stronę bagietką, wyjęła butelkę i dwa kieliszki - tanie, miejscowe wino od mademoiselle Doritée oraz kawał sera. No i proszę, czego jeszcze może chcieć mężczyzna?

- Ciebie - powiedział Scott i pocałował Clare.

Cofnęła się, zdumiona, ale nie oburzona.

- Wszystkim dziękujesz pocałunkami?

- Tylko ładnym kobietom.

Zmarszczyła czoło podejrzliwie.

- Nie chciałabym, żebyś odniósł mylne wrażenie.

- Jedyne wrażenie, o jakim można mówić, to że jesteś śliczna i lubisz zjeść. Mam rację?

- Owszem - przyznała z westchnieniem. - Kocham jeść. Dlatego biorę lekcje gotowania. Kiedyś będę miłą starszą panią, która w wieku osiemdziesięciu lat uwielbia swoje pieczone ziemniaki i kurczaki z rożna.

- Z kieliszkiem wina, mam nadzieję - powiedział, starannie oglądając przyniesioną przez Clare butelkę białego wina, zanim ją otworzył. Rozlał trunek do kieliszków. - Coś ci powiem. Strasznie wieje na zewnątrz, zabierzmy to wszystko do *cave*. Możemy zapalić świece i udawać, że jest romantycznie.

- Niczego nie musimy udawać, jest romantycznie - stwierdziła kilka minut później, kiedy siedziała naprzeciwko niego przy kamiennym stole do degustacji, w świetle świec, nad papierowymi talerzami z zawartością piknikowego kosza.

- Co tak naprawdę tu robisz, Clare? - spytał, odcinając dla niej kawałek kurczaka scyzorykiem, ponieważ zapomniała zabrać nóż.

Odgryzła kęs, przeżuwała powoli, zamyślona. Wzruszyła ramionami.

- Podobnie jak żona słynnego JFK, towarzyszę mojej przyjaciółce w podróży do Francji. - Podniosła wzrok i popatrzyła mu w oczy. - A tak naprawdę odeszłam od niewiernego męża. Wystąpiłam o rozwód i postarałam się do końca wykorzystać jego karty kredytowe.

- Wzgardzona kobieta?

- Jasne!

- I co teraz?

Wiedziała, że za tym pytaniem coś się kryje.

- Teraz? Zostanę kucharką, oczywiście. Zatrudnię się jako pomoc kuchenna w jakiejś niezłej restauracji w L.A., będę tyrać jak wół, za darmo i jeść za friko.

- Przynajmniej nie umrzesz z głodu.

- Zmartwiłbyś się? - Zerknęła na niego z uśmiechem.

- Wiesz, że nie dopuściłbym do tego.

Skromnie spuściła wzrok na kostki kurczęcia rozsypane na papierowym talerzyku.

- Miło słyszeć, że to cię obchodzi. No, skoro już wiem, że zjadłeś dziś wieczorem coś porządnego, pozwalam ci wrócić do pracy i jadę do domu.

- Do domu? Traktujesz *chdteau* jak dom?

Zawahała się.

- Nie myślę tylko o *chdteau*, ale o wiosce, o wszystkim tutaj, o St. Sylvestre, Prowansji. - Znów wzruszyła ramionami. - Oczywiście, że nie jest to mój dom. Nie mam prawdziwego domu, ale ten tutaj bije na głowę tamten z mojego dzieciństwa. Zaczynałam od pracy z moim ojcem, drobnym dzierżawcą, na polach cebuli. Nie mam ochoty oglądać jeszcze kiedykolwiek Vidalii.

Śmiała się, ale Scott czuł, że gdzieś w głębi wciąż uwiera ją wspomnienie trudnych lat dzieciństwa. Pomógł jej spakować resztki kolacji do koszyka i wyszli po kamiennych schodach w noc przesyconą wonią winogron.

Clare głęboko wciągnęła powietrze. Stała przy samochodzie, z kluczami w dłoni.

- Samym zapachem można się upić.

- Zaczekaj, aż zamieni się w wino. I dzięki za piknik; był wspaniały. - Z lekkim zakłopotaniem odsunął się od Clare, niepewny, czy pocałować ją raz jeszcze.

Wyřęczyła go; musnęła wargami jego usta i już siedziała w aucie, włączyła stacyjkę, skręcała kierownicę i ruszała przez dziedziniec w stronę arkadowej bramy.

Wychyliła głowę z okna i obejrzała się na Scotta. Stał wciąż w tym samym miejscu i patrzył za nią.

- Jesteś świetny, Scott! - zawołała.

Usłyszał jeszcze jej śmiech, kiedy przejeżdżała, zbyt ostro zresztą, przez bramę, a potem w dół zбочza, do *chdteau*.

Rozdział 58

Clare nie była pewna, co woli: gotować z Jarrem, czy degustować wino w towarzystwie Scotta. Szczerze mówiąc, lekcje gotowania sprowadzały się do czynności, które zdaniem Jarrego Clare wykonywałyby jako pomoc kuchenna, czyli osoba z najniższego szczebla drabiny społecznej w restauracyjnej kuchni.

Bawiła się świetnie. Podobało jej się napięcie z odrobiną dreszczyku, jakie wytworzyło się między nią i Scottem, który jej nie odstępował – kiedy mógł, oczywiście, bo w końcu dla winiarza była to pora najbardziej intensywnej pracy. Przysyłał kwiaty, dzwonił, zapraszał na kawalerską przekąskę, pokazywał swój czarujący, stary dom z kamienia, z altaną otoczoną bugenwillą i figowcami. W typowo męskim wnętrzu, wśród starych mebli, leżały stopy książek i czasopism dla koniarzy, a w holu, na honorowym miejscu, królowało piękne, stare angielskie siodło na drewnianym stojaku. Pokazał Clare stajnię, a także oczywiście swojego konia, i choć nie umiała jeździć, posadził ją na niedużej, spokojnej klaczy i zabrał na przejażdżkę po skalistych wzgórzach. Była zachwycona, choć więcej już go nie pocałowała.

Ale każdego ranka, kiedy ochoczo maszerowała do wioski, uświadamiała sobie, że z przyjemnością czeka na spotkanie z Jarrém, który powita ją z zażyciem, a jego niewinne, czarne oczy będą patrzeć na nią jak na najpiękniejszą kobietę na świecie, pełne zdumienia, że jest właśnie tu i zechciała pracować w jego kuchni. Przygotuje *café grand creme*, a nawet, jak ostatnio, świeżo upieczone rogaliki. Fizycznie czuła jego obecność, kiedy wpadali na siebie w maleńkiej kuchence i gadała z nim swoją łamaną francuszczyzną, która nabrała mocnego prowansalskiego akcentu.

Problem polegał na tym, że podobali jej się obaj. Z łatwością mogła zakochać się w każdym z nich. Ani jeden, ani drugi nie należał jednak do świata Clare i zdawała sobie sprawę, że trudno byłoby im naprawdę zrozumieć, co przeszła. Chciała porozmawiać o tym z Franny, która szykowała się do wyjazdu na Lazurowe Wybrzeże. Przyszedł przecież czas, by Franny poznała prawdziwą przeszłość swojej przyjaciółki. Clare postanowiła więc, że wszystko opowie. Nie może być między serdecznymi koleżankami żadnego udawania. Tak jak i między zakochanymi. Wóz albo przewóz – trudno. Pora wyznać prawdę.

Zbir zerwał się, warcząc, kiedy usłyszał, że ktoś otwiera drzwi, ale natychmiast uspokoił się i zamerdał ogonem.

- Cześć, Zbirze, cześć, Frań - przywitała ich Clare.
- O, witam. - Franny wrzuciła do torby ostatnią podkoszulkę. - Może jednak pojedziesz z nami? To duża frajda. Poza tym jak można nie zobaczyć Lazurowego Wybrzeża?

W tym momencie Clare zrozumiała, dlaczego nie jedzie. Odkrycie było rewelacyjne, ale na razie nie mogła o tym mówić Franny. Przyszła tu z konkretnego powodu, więc lepiej mieć już to za sobą. Klapnęła na wielkie łoża pokryte biało-zielonym jedwabiem i patrzyła na przyjaciółkę.

Franny zaniepokoiła się. Po raz pierwszy Clare była naprawdę poważna; nawet we włoskiej restauracji, tamtego wieczora, kiedy opowiedziała jej o Marcusie, wyglądała pogodniej. Żartowała wtedy, bawiła się i drwiła.

- Muszę ci coś wyznać, Franny. - Zabrzmiało to tak serio, że Franny przerwała pakowanie i usiadła obok Clare.

- Wyznać?

- Nie całkiem szczerze ci powiedziałam... kim byłam. Jestem - poprawiła się. - Opowiadałam, że wybrano mnie Miss Georgii... a to nie tak. To znaczy byłam, ale w innym sensie. - Skuliła się w sobie i milczała przez chwilę, jakby szukała słów dla tego, co chce powiedzieć. - Och, niech będzie. - Z rezygnacją wzruszyła w końcu ramionami. - Chyba trzeba zacząć od początku. - Podniosła wzrok na Franny, która siedziała obok, przyglądając się jej z troską i sympatią, i nagle Clare zachciało się płakać... - To najtrudniejszy moment w moim życiu - wymamrotała ze smutkiem i dodała: - Choć może nie najgorszy, jak się za chwilę przekonasz.

Franny wzięła ją za rękę. Clare głęboko wciągnęła powietrze.

- Mówiłam ci, że byliśmy biedni. Nigdy nie miałam prawdziwego domu; wiecznie prowadziliśmy życie bez celu i sensu, wciąż w nowych miejscach, szkołach, z nowymi przyjaciółmi. Większość ludzi uważa, że bieda na wsi już nie istnieje, bo po prostu nigdy jej nie widzieli. Sądzą, że to przeszłość. Ale się mylą - powiedziała gorzko. - Krótko mówiąc, zbuntowałam się. - Znowu spojrzała w oczy Franny. - Tak jak ty - ciągnęła. - Tylko że ty wybrałaś trudną drogę, zdobywałaś wykształcenie, zarywałaś noce i tak dalej. Ja poszłam na łatwisznię. Tak przynajmniej wtedy mi się wydawało. - Przygryzła wargi, w milczeniu wpatrywała się w podłogę.

- Dobra, Clare. Nie musisz mi mówić. Rozumiem cię, naprawdę. - Franny, jak zawsze, była pełna współczucia.

- Nie. Nie rozumiesz - odezwała się Clare głuchym tonem. - Nic nie możesz zrozumieć, jeżeli tam nie byłeś. W każdym razie miałam szesnaście lat i uciekłam do Nowego Jorku. Oczywiście bez grosza przy duszy,

ech, to nawet za mało powiedziane. Ale byłam ładną smarkułą. Dodałam sobie trochę lat i wylądowałam jako tancerka w szemranym klubie, gdzie wszystkie dziewczyny były do mnie podobne, wyrzucone za nawias prawdziwego życia, przegrane, rozpaczliwie marzące o kimś, kto by je objął i powiedział, że kocha.

- O Boże - szepnęła Franny.

Clare z rezygnacją wzruszyła ramieniem.

- Nie, wszystko było w porządku. Lubiłam ubierać się w błyskotki. Lubiłam je zdejmować, żeby mężczyźni podziwiali moje ciało. Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że jestem ładna. Lokal nazywał się „klubem dżentelmenów”. To było najsmutniejsze miejsce, jakie widziałam w życiu. Występowałam jako Miss Georgii, tańczyłam na rurze, zdejmując z siebie kolejno wszystko aż do naga. Udawałam, że lubię to robić i naprawdę podobają mi się ci faceci, tylko dlatego żeby rzucali mi forsy. A jak już skończyłam, musiałam biegać goła, żeby pozbiierać dolary, a oni śmieli się ze mnie i świetnie bawili. - Znow popatrzyła na Franny. - Widziałas kiedyś striptizerkę? Nie, oczywiście że nie. - Jeszcze raz wzruszyła ramionami. - Nie znosiłam tego, tych obmacujących mnie facetów. Ale ciągnęłam dalej. Nie umiałam robić nic innego. - Westchnęła z bólem. - W końcu jednak odeszłam. Dziewczyny patrzyły na mnie jak na wariatkę. - „Rezygnujesz z dużej forsy, mała”, mówiły. A ja spoglądałam w ich prawdziwe twarze, bez makijażu, smutne, jakich nigdy nie pokazywały gościom, i widziałam w nich to drugie oblicze sztucznej urody, blasku, przypinanych włosów i sztucznych rzęs. Ogarnęła mnie rozpacz. Niektóre z tych kobiet były matkami, inne ćpały; nie miały takiej swobody wyboru jak ja. - Wzięła głęboki oddech. - Wreszcie podjęłam decyzję. I znow byłam bez grosza. Zatoczyłam koło i nic z tego nie miałam. Równie dobrze, powiedziałam sobie, mogłabym nie ruszać się z domu i pracować na polu cebuli. - Zamyśliła się na chwilę. - W końcu pozbiierałam się, wyrzuciłam błyszczące szmatki, włożyłam czarną sukienkę i znalazłam pracę jako hostessa w restauracji. Od czasu do czasu stawałam za barem. Pracowałam, chodziłam na randki, jakoś sobie radziłam... i wtedy trafił mi się Marcus. - Pokręciła głową na to wspomnienie. - Czułam się przy nim dobrze. Lubił mnie i szanował, tak przynajmniej sądziłam. Myślałam, że oświadczył mi się przypadkiem. I nagle staliśmy przed pastorem w tan-detnej kaplicy w Las Vegas. Wciąż nie mogę uwierzyć, że byłam taka głupia. Potem nastąpiło wielkie rozczarowanie. Możesz mi wierzyć, Franny, Marcus wykorzystał mnie bardziej niż ciebie. Zresztą, zburzył życie wielu kobietom. Ale doszło do naszego spotkania. Przyjechaliśmy do Prowansji. Tu poznałam prawdziwych ludzi. Nagle też zrozumiałam, że

sama o sobie decyduję i nie jestem już niewolniczką przeszłości. - Błażgalnie, z pokorą w oczach, popatrzyła na Franny. - Teraz wiesz wszystko - powiedziała niepewnie. - I jeśli nie zechcesz mnie znać, zrozumiem...

Franny wyciągnęła do niej ramiona.

- Zawsze będziesz moją przyjaciółką - wyszeptała ze wzruszeniem. - Jak mogłaś choćby pomyśleć, że to ma jakiegokolwiek znaczenie? Polubiłam cię od pierwszego wejrzenia, tamtego wieczoru, kiedy przyszłaś powiedzieć mi o Marcusie. Dziwne, a jednak tak się stało. Bo jesteś taka, jaka jesteś.

Łzy potoczyły się po policzkach Clare.

- Kocham cię, Franny - wyszlochała.

- Ja też cię kocham. - Franny gładziła przyjaciółkę po głowie.

Clare pociągnęła nosem.

- Skoro mowa o miłości... Chyba naprawdę się zakochałam.

- Clare, to fantastycznie.

- Chodzi o to, że... on może coś podejrzewać, ale i tak będę musiała powiedzieć mu prawdę. Wiesz, o przeszłości... powinnam. - Zadrżała.

Franny zacisnęła kciuki w nadziei, że Scott okaże się prawdziwym mężczyzną i wszystko przyjmie ze spokojem.

- To porządny facet - powiedziała. - Będzie dobrze. - Uśmiechnęła się, żeby dodać Clare odwagi. - Mężczyzna na poważnie, co?

- Tak jest! - Przybiły piątki, Clare wytarła oczy i poczuła się lepiej. Zrobi, co należy, i może mieć tylko nadzieję, że wszystko się ułoży.

Rozdział 59

Następnego dnia rano Franny i Błękitka wyruszyły na Cap d'Antibes, ale dziewczynka siedząca na tylnym fotelu czerwonego fiata była kimś zupełnie innym niż dziecko, które nieruchomo, w milczeniu podróżowało niedawno pociągiem do Avignonu. W eleganckich niebieskich szortach i kusej letniej podkoszulce, w słomianym kapeluszu wetkniętym na lśniące włosy i okularach przeciwsłonecznych na nosie, wyglądała jak zwykły, uśmiechnięty dzieciak, który cieszy się z wyjazdu na wakacje, nie może doczekać się lekcji pływania w Morzu Śródziemnym i zabaw na plaży.

- Długo jeszcze? - pytała mniej więcej co kwadrans, tak jak każda jej rówieśniczka podczas podróży samochodem.

Zbir siedział cierpliwie na przednim siedzeniu. Z wywieszonym językiem i swoim zwykłym, sceptycznym wyrazem pyska, obserwował ruch na szosie. Od czasu do czasu Franny zjeżdżała do cafe przy autostradzie, pozwalała psu pobiegać, a Błękitce kupowała pomarańczową Fantę i kanpkę, bo mała nabrała niepohamowanego apetytu.

W końcu, ukołysana monotonną jazdą po autostradzie słońca, Błękitka zdrzemnęła się i Franny została sama ze swoimi myślami.

Wyznanie przyjaciółki całkowicie ją zaskoczyło; Clare zawsze była w jej oczach stuprocentową damą, idealnie zadbaną, opanowaną i piękną. Doskonałą w każdym calu. Ale Franny znała ubogie dzieciństwo i rozpaczliwe pragnienie ucieczki. Nie winiła Clare; wołała tylko, by oszczędzono jej takiej drogi. Jednak Clare wychodzi teraz na prostą; przeszłość minęła, a przyszłość oznacza życie z troskliwym mężczyzną, który da jej szczęście i taką miłość, o jakiej marzyła. A nie ma na pewno człowieka bardziej odpowiedniego dla Clare niż Scott Harris. Facet serio. Jak sól ziemi. Nawet żyje z ziemi, pracuje na niej i odnosi sukcesy.

Franny stała za czarnym mercedesem, w kolejce do płacenia na którymś z punktów autostrady, i próbowała wyobrazić sobie Jake'a w Nowym Jorku, ale nie potrafiła umiejscowić go ani w wielkim mieszkaniu na poddaszu, ani w eleganckim biurze, o którym opowiadał. Dziwne, ale dokładnie za to wiedziała, jak wygląda jego chata w górach i jaki panuje tam nastrój, choć nigdy przecież nie odwiedziła tego zakątka; Jake jednak z ogromnym uczuciem mówił o swojej samotni tamtego pierwszego wieczoru, kiedy jedli razem kolację. Powiedział wtedy, że chętnie prześiaduje tam sam, a Franny doskonale go rozumiała.

Wreszcie skręciła z autostrady na boczną drogę, prowadzącą ku morzu. Cienie pini, wille dyskretnie ukryte w tajemniczych ogrodach przed wzrokiem obcych, sprawiały, że Lazurowe Wybrzeże wyglądało zupełnie inaczej niż niekończące się, urwiste brzegi Kalifornii i tamtejsze szerokie plaże, o które biją fale przyboju. Franny jechała powoli brzegiem spokojnej, niebieskozielonej zatoki, w której idealnie, jak w lustrze, odbijało się kilka obłoczków. Obudziła Błękitkę, żeby mała też mogła podziwiać widoki. Teraz dziewczynka i pies, z głowami wystawionymi przez okna, wdychali cudowne zapachy morza i oglądali rybaków na płaskich, drewnianych łodziach jak z obrazów Moneta.

Zgodnie z instrukcjami Rafaelli, Franny odnalazła wąską, wysadzaną drzewami drogę i dotarła na otwartą przestrzeń. Wielka, dwuskrzydłowa brama z drewna osadzona była na kamiennych filarach, na których wyrzy-

to napis: WILLA MARTEN.

Błękitka wyskoczyła z auta i nacisnęła dzwonek. Niecierpliwie przeskakiwała z nogi na nogę, czekając, aż brama się otworzy. Cofnęła się zdumiona, kiedy ujrzała drobnego, starego człowieka z ciemną, pomarszczoną twarzą i bezzębny uśmiech od ucha do ucha.

- *Bienvenue, bienvenue, les nouveaux Martens. Je suis le gardien, Lucien. Eh bien, c'est un beaujour... Venez, mesdemoiselles, venez*, witamy.
- Staruszek skinieniem dłoni wskazał im piaszczystą drogę, wyznaczoną rzędami sosen, prowadzącą do kremowooutynkowanej willi. Na wysokości piętra wokół całego domu biegła drewniana, pomalowana na zielono weranda, obrośnięta fioletową bugenwillą, niżej zaś rozciągało się patio z kolumnami i fontanną z kamiennym delfinem. Przez otwarte okna z zielonymi okiennicami napływało morskie powietrze, a na schodach czekała starszka kobieta w niebieskiej sukience i białym fartuchu.

Janinę była żoną Luciena blisko sześćdziesiąt lat, a Rafaellę znali oboje od bardzo dawna. Z radością witali więc teraz jej bliskich, cieszyli się, że stara willa znów będzie otwarta. Z przyjemnością patrzyli na dziecko, a nawet na psa szalejącego po ogrodzie.

Staruszkowie nie mieszkali już w domku dozorczy na terenie posiadłości; mieli dużo wygodniejszy apartament w samym Antibes. Ale Janinę obiecała Franny, że będą tu przychodzić co rano, robić zakupy i ewentualnie przygotowywać wieczorny posiłek, jeśli miłe panie zechcą jeść w willi a nie w café.

Zbir tymczasem przeprowadzał własną inspekcję. Z nosem przy ziemi, przez wykładany płytkami hol dotarł do położonej z tyłu domu kuchni. Zjawił się z powrotem już po chwili, machając ogonem, z jagnięcą nogą w zębach. Janinę wrzasnęła, Lucien rzucił się pędem, na ile mu pozwalały stare, zmęczone i zaatakowane przez reumatyzm nogi, ale Zbir wszystkich wymanewrował. Przemknął między wyciągniętymi ramionami i wpadł w zarośla oleandrów, gdzie w bezpiecznym ukryciu zajął się konsumpcją obiadu przygotowanego dla gości.

- Tak mi przykro, Janine. - Franny starała się opanować śmiech, bo Zbir swoim trybem życia wciąż potwierdzał własną reputację. - *Il est un chien méchant.*

Janine, jeszcze lekko urażona, oprowadziła je po domu. Był zaskakująco prosty: duże, chłodne pokoje na dole wychodziły na taras i ogród ciągnący się w dół do morza, gdzie znajdował się maleńki pomost, z którego widać było skrawek wąskiej plaży La Garoupe.

Janine z dumą pokazała swoją przepastną kuchnię z belkowanym sufitem i antycznym piecem kuchennym. Franny wystarczył jeden rzut oka na stan tego zabytku. Miała szczerą nadzieję, że nigdy nie będzie musiała na nim gotować obiadu.

Obejrzała jeszcze wygodne kanapy pokryte prowansalskimi tkaninami, miękkie dywany i najmniejszy telewizor, jaki zdarzyło się jej kiedykolwiek widzieć. Przy solidnym stole w jadalni mogło swobodnie usiąść dwadzieścia osób, a na tarasie, wokół prostego, wiejskiego stołu, mieściło się kolejne dwadzieścia. Był też domek gościnny w ogrodzie, ale zamknięty od wielu lat.

Błękitka, podeksycytowana, popędziła na górę wybierać sobie pokój i ostatecznie zdecydowała się na duży, narożny, wychodzący na zatokę; Franny zamieszkała z nią przez ścianę. Rozpakowały się, włożyły kostiumy kąpielowe, pożegnały się z Lucienem i Janine, i poszły na spacer na plażę La Garoupe. Zbir szarpał się na smyczy i chciał co chwilę stawać, żeby powęszyć trochę, ale panie były głodne i nie pozwalały mu na zbyt wiele. Zatrzymały się na Plage Keller. W Cafe Cezar ludzie siedzieli pod żółtymi parasolami, delektując się lunchem; obok nich w oszronionych srebrnych kubełkach chłodziły się butelki z winem, miło pachniało homarami, makaronem, *pommes frites* i oliwą.

Franny zamówiła *salade nicoise* dla siebie i *calamari frits* dla Błękitki. Zbir drzemał w cieniu. Zanim je obsłużono, mała pobiegła popatrzeć na dzieci, które skakały z drewnianego pomostu do wody, a Franny spokojnie rozsiadła się na krześle, wystawiając do słońca nagie ramiona. Ogarnęła ją cudowny bezwład. Pomyślała o miękkim, białym łóżku w chłodnym pokoju za zamkniętymi okiennicami willi i zrozumiała, dlaczego na południu Francji obowiązuje pora sjeisty. Z przymkniętymi powiekami słuchała delikatnego szumu fal gdzieś w oddali, krzyków mew i dzieci. Marzyła o sjeście z Jakiem.

Od sąsiedniego stolika obserwował ją Alain. Był sam, choć kilka kobiet przyglądało mu się z zainteresowaniem. Miał na sobie białą koszulkę polo, szorty i bardzo ciemne okulary przeciwsłoneczne, zachodzące daleko na boki. Opalony, wysportowany, z jasnymi włosami w niczym nie przypominał elegancko ubranego, ciemnowłosego mężczyzny, który tak niedawno zakłócił rodzinne spotkanie. Poprosił o drugi kieliszek Ricarda i sączył go ze smakiem, wpatrując się we Franny.

Błękitka wróciła i Franny oprzytomniała; śmiała się z opowieści małej. Dobrze się bawia, pomyślał szyderczo Alain, kiedy rozdzwonił się śmiech dziewczynki. Zamówił jeszcze jednego Ricarda i wrócił do obserwacji.

Po lunchu Franny i Błękitka poszły na plażę. Wynajęły leżaki i parasol. Mała pognęła natychmiast do wody, a Franny, piękna dziewczyna z Kalifornii, w turkusowym bikini, poszła za nią wolnym krokiem.

Alain oglądał ją od stóp do głów, jak znawca kobiet, za jakiego się uważał. Niezła, pomyślał z satysfakcją. Czasami życie podsuwa człowiekowi

właściwe okazje. Tym razem podsunęło mu jedyne dwie osoby, które stały między nim i należnym mu dziedzictwem.

Rozdział 60

Kiedy Alain opuszczał *chdteau*, wiedział, że nie ma wyboru. Jedno słowo Jake'a do FBI oznaczałoby dożywocie, jeśli nie wyrok śmierci. Broń, narkotyki; Alain we wszystkim maczał palce, ale był raczej płotką niż grubą rybą i to go irytowało. Po tylu latach powinien już mieć więcej forsy niż Felix, matka, Jake. Los sprzyścił się przeciwko niemu. Dlatego, gdy w końcu pojechał do Feliksa po pieniądze i został przez niego spławiony, niemal odruchowo wbił srebrny nóż do papieru w jego skroń. Rozśmieszyło go zdziwienie na twarzy Feliksa.

Zawinał zakrwawione ciało w plastikowy worek na śmiecie, żeby nie zostawiać śladów krwi, przerzucił przez ramię i zaniósł do szybu towarowego. Wiedział, że człowiek spadający z dużej wysokości zwykle uderza w ziemię głową. Ślady rany zadanej nożem zostały więc zatarte.

Wiedział, co powinien dalej zrobić. Byli z Feliksem na tyle podobni do siebie budową i wzrostem, że oszustwo mogło się udać. Przebrał się w jeden z eleganckich garniturów brata i włożył jego ulubione angielskie buty, zresztą odrobinę za duże. Wziął neseser Feliksa, wepchnął do niego własne ubranie, sięgnął po kluczyki, otworzył sejf i wyjął mniej więcej pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które tam znalazł. Znajac Feliksa, miał pewność, że o tych odłożonych pieniądzach nie wie nikt, dlatego też nikt nie zauważy ich braku. Postanowił jednak zostawić zegarki i biżuterię, żeby nie stwarzać pozorów napadu rabunkowego. Zjechał windą do holu i ze spuszczoną głową szybko przeszedł obok portierni. Chwilę później był już na ulicy, wolny.

Po ostatecznej rozmowie w *chdteau*, kiedy krzepki ochroniarz prowadził go do samolotu Jake'a, Alain wściekał się, że jego wróg pławi się w luksusie, podczas gdy on sam, mimo wszelkich przedsięwzięć i pomysłów na zrobienie pieniędzy, wciąż ledwo utrzymywał się na powierzchni. Polecieli do Hosziminu. W ciągu długiej podróży nie zaproponowano mu nawet drinka ani niczego do jedzenia. Osilek z ochrony przez całą drogę nie spuszczał z niego oka. Alain szalał ze złości. Jeszcze zapłaci za to Jake'owi. Wszystkim im zapłaci.

Bez słowa wysadzili go z samolotu. Natychmiast, pierwszym możliwym rejsem wrócił do Europy. Wylądował w Genewie, wynajął samochód i pojechał na południe Francji.

Willi zawsze była ulubionym miejscem Alaina. W młodości przywoził tu dziewczyny, a także chłopców. Zdecydowanie wolał orgie. Dawały mu poczucie władzy.

Wiedział, że teraz do willi nikt nie przyjeżdża, może więc ukryć się tam bezpiecznie. Najpierw sprawdził jednak, kiedy dokładnie przychodzi Lucien, żeby doglądać posesji; ostatnio był to właściwie już tylko pobieżny rzut oka w sobotnie ranki.

Wprowadził się do domku gościnnego: odbił deski z tylnego okna i wyważył staroświecką zasuwę. Schował vespę w pobliskich zaroślach, a małego wynajętego renault zostawił na parkingu w Antibes. Rozjaśnił włosy, za pieniądze zamordowanego brata kupił sobie nowe ubranie i poczuł, że znów jest sobaj odporny na rzeczywistość i gotów do zemsty. Pytanie brzmiało tylko: jak tego dokonać, ale teraz, dzięki zrządzeniu losu, znalazł odpowiedź.

Rozdział 61

Kiedy Franny i Błękitka wróciły z plaży, słońce już zachodziło. Stojąc pod prysznicem, Franny zastanawiała się, dlaczego zawsze po dniu spędzonym na plaży natrysk wydaje się fantastyczny - chłodny i delikatny w zetknięciu z rozgrzaną słońcem skórą. Wytarła ręcznikiem włosy, zawięła się w pareo i zajrzała do małej. Dziewczynka leżała rozciągnięta leniwie na łóżku.

- Zjadłabyś omlet? - spytała Franny. Miała nadzieję, że zdoła opanować ogromny zabytkowy piec i nie wysadzi domu w powietrze. Błękitka stwierdziła jednak, że jest zbyt zmęczona, by zasiać do kolacji. Drzemała już, kiedy Franny schodziła do kuchni.

W lodówce znalazła mleko, sok, wino i kawałek złocistego masła. Na blacie leżał bochenek chrupiącego chleba, a obok stał wiklinowy koszyk nakrapianych jajek i głęboki, niebieski półmisek pełen owoców. Franny wyjęła brzoskwinie, powąchała ją z zachwytem i zjadła, ocierając z brody kąpiący sok. Na chłodnej płycie w spiżarni czekał talerz ostrych serów. Zabrała je do kuchni, odkroiła kawałek chleba, posmarowała masłem

i położyła na to kilka plasterków sera. Jeszcze kieliszek chłodnego wina - i właściwie do szczęścia nic jej już nie brakowało.

Usiadła przy blacie, delektując się każdym kęsem. Zbir ułożył się obok. Wzrok miał czujny i pełen nadziei. Franny nie potrafiła wytrzymać tego błagalnego spojrzenia; rzuciła psu kawałek sera. Połknął go w locie. Pewnie nawet nie wiedział, co dostał. Szkoda, bo ser był cholernie smaczny.

Przez kuchenne okna sączył się zmierzch; koralikowa zasłona w drzwiach drżała w podmuchach wieczornej bryzy. Franny próbowała sobie wyobrazić, jak żyło się tutaj w czasach świetności domu, wypełnionego młodymi, szczęśliwymi ludźmi, dziećmi i zwierzętami. Willa Marten też czekała, aż ktoś przywróci ją do życia, tak jak *chateau*, ale Franny wiedziała, że Rafaella nigdy tu już nie przyjedzie.

Wstała i wyszła do ogrodu. W ciszy słychać było tylko ćwierkanie ptaków układających się do snu w gałęziach pinii i cichy chrzęst piasku na ścieżce pod jej gołymi stopami. W ciepłym powietrzu rozchodziły się nocne zapachy jaśminów, róż, owoców i mnóstwa innych roślin. To dobrze, że Lucas wrócił do tego rajku, żeby odszukać Rafaellę, pomyślała.

Wreszcie weszła do domu i zamknęła za sobą duże, frontowe drzwi. Zbir znalazł sobie chłodne miejsce na ceramicznej podłodze w kuchni, padł tam na grzbiet, z czterema łapami w górę, i zasnął. Na piętrze Błękitka też spała na plecach, z rozrzuconymi rękami i nogami, pochrapując cicho.

Franny zostawiła uchylone drzwi na werandę, żeby wpuścić trochę morskiej bryzy, i naga położyła się do łóżka. Zamknęła oczy, ukołysana odgłosami nocy i ciepłym powiewem wiatru; spała, w błogim poczuciu, że jutro przyjdzie kolejny, wspaniały dzień, który znów przybliży ją o krok do spotkania z Jakiem.

Zasnęła tak głęboko, że nie słyszała cichych kroków na werandzie i nie widziała mężczyzny stojącego w otwartych drzwiach. Patrzył na nią, naga, i uśmiechał się. Nie zobaczyła tego uśmiechu. Obudziło ją dopiero szczękanie naczyń i zapachy płynące z kuchni, gdzie Janinę przygotowywała śniadanie.

Rozdział 62

Wróciły właśnie z kolejnego słonecznego dnia spędzonego na plaży i szykowały się do sjeisty, kiedy zadzwonił telefon. Franny podniosła słuchawkę po trzecim dzwonku.

- Tęskniłem za tobą - usłyszała głos Jake'a i natychmiast zmiękła jak wosk.

- Ja też - powiedziała cicho. - Tu jest pięknie - dodała. - Ale podobałoby mi się tysiąc razy bardziej, gdybyś był ze mną. - Potem opisała mu dzień na plaży, mówiła że go kocha i chciałyby, żeby razem z nią spędził tę sjęstę.

Jake obiecał, że jak tylko skończy swoje sprawy w Nowym Jorku, przyłeci do Nicei i nie opuści Franny podczas żadnej sjęsty.

- Chciałbym ci pokazać tam jeszcze jedno miejsce; elegancki hotelik w pobliżu Saint-Tropez. Nazywa się Riviera. Właścicielami są świetni ludzie, Lola i Jack Farrarowie. Na pewno ich polubisz. Wiesz Franny, zabierz Błękitkę i same sięprzekonajciejak tam pięknie. Pojedźcie, choć- by na jedną noc. Zobaczysz, że się zakochasz.

- Już jestem zakochana - powiedziała, gdy odkładała słuchawkę.

Następnego dnia wyruszyły do Saint-Tropez. Franny jechała szosą na Ramatuelle, szukając skrętu przy ozdobionej kwiatami tablicy z napisem WITAMY W HOTELU RIVIERA.

Wąska droga między szpalerem drzew biegła niewielką mierzeją i prowadziła do starej, różowej willi z tarasem wychodzącym na morze. Bujny ogród schodził aż do piaszczystej plaży, usianej granatowymi parasolami i żółtymi leżakami, na których kilka opalonych na złoto postaci leniwie rozkoszowało się słońcem. Przy drewnianym mołu kołysała się mała, drewniana łódka, a kilkadziesiąt metrów dalej, w zatoce, stał zakotwiczony stary, czarny słuł.

Na stopnie budynku wyszła ładna kobieta, mniej więcej w wieku Franny, z szopą rudych włosów. Uśmiechała się do nich.

- Cześć, a może raczej *bonjour!* - powiedziała. - Jestem Lola Farrar. Szuka pani pokoju?

Franny przytaknęła, a potem przedstawiła się i powołała na Jake'a.

- Szczerze mówiąc, stwierdził, że musimy tu przyjechać - dodała.

- Ach, przystojny i tajemniczy Jake Bronson. - Lola roześmiała się. - Każdego wieczoru daje łupnia mojemu mężowi w tryktraka, a oni naprawdę grają na pieniądze, po pięć euro partia. Słowo daję, że Jake nigdy jeszcze nie musiał płacić za pobyt, kiedy stąd wyjeżdżał. - Spojrzała przenikliwie na Franny. - Dobrze się znacie? Poznałam po oczach - powiedziała, kiedy Franny kiwnęła głową. Weszły do środka; Lola pokazała im dół willi, potem sprawdziła, które pokoje są wolne. - Mam dwa - oznajmiła znad książki. - Colette i Bardot. Nadaję im nazwy od francuskich artystów i pisarzy, co nie znaczy, że jest ich tak dużo... - pokoi, oczywiście. Konkretnie osiem, za to każdy inny.

Błękitka wpadła wielkimi susami do środka ze Zbirem, który szarpał się na smyczy. Lola Farrar stwierdziła, że oczywiście przyjmują psy, zwłaszcza Jake'a.

- Pewnie dogada się z naszym - uznała. - Nazywa się Niedobry Pies z powodów oczywistych, i coś mi się zdaje, że oba są równie dobre w swojej kategorii. No, w każdym razie Colette będzie dla pani w sam raz. Pokój jest odrobinę większy i ma dwa pojedyncze łóżka. Chodźmy obejrzeć.

Morelowe wnętrza z mosiężnymi łóżkami pod baldachimami z muślinu, nieskazitelna pościel, wyłożona płytkami podłoga i miękkie dywany - pomieszczenie wydało się Franny szczytem doskonałości. Brzęknęły metalowe okiennice pchnięte przez Błękitkę.

- Och, patrz! - krzyknęła dziewczynka. - Figa! Figa rośnie pod oknem. I dzieci są na plaży... Och, Franny, chodźmy tam, szybko.

Lola poradziła, żeby poszły od razu. Obiecała nakarmić psa i znaleźć mu chłodne miejsce w kuchni. Włożyły więc kostiumy kąpielowe i pobiegły w dół, tarasami ogrodu, pełnego kwitnących roślin i ocienionego wspianymi parasolami sosen południowej Francji, po wąskich drewnianych schodkach, nad skałami, na miękką, piaszczystą plażę.

Franny zostawiła Błękitkę chlapiącą się bezpiecznie z innymi dziećmi przy brzegu, a sama popłynęła dalej, rozkoszując się chłodną, jedwabistą wodą. Westchnęła z zadowolenia, odwróciła się na plecy, spojrzała w nieprawdopodobnie błękitne niebo i pomyślała o Jake'u; o tym, jak kiedyś przyjadą tutaj oboje. Podpłynęła do czarnego słupa. Roześmiała się na widok nazwy ZŁY PIES. Wyczuła pokrewną duszę; Jack Farrar musi być porządnym facetem.

Tego wieczoru razem z Błękitką jadły kolację na tarasie hotelowym z widokiem na morze i na światła Saint-Tropez błyszczące wokół zatoki jak brylantowy naszyjnik. Franny, szczęśliwa, o lata świetlne od swojej kliniki weterynaryjnej, sączyła lodowate rose Paul Signac, które zaproponowała Lola, dodając, że Signac był znanym artystą, a w młodości mieszkał w Saint-Tropez. Zjadły krewetki z grilla, duże, przez Lolę nazywane *bouquets*, po nich łopatkę z jagnięcia, a na koniec lawendowy *creme briilee*, niebiański, jak obie stwierdziły. Natychmiast po kolacji Błękitka dała nurka do łóżka pod oknem i kilka minut później już spała.

Franny usiadła z Lolą na tarasie i tam poznała jej przystojnego męża, Jacka Farrara.

- Proszę powiedzieć Jake'owi, że następnym razem, kiedy nas odwiedzi, wygram z nim w tryktraka jak nic. Niech się strzeże - zapowiedział Jack.

Ponieważ w tej właśnie chwili z kretesem przegrywał z wysoką kobietą z fantastycznie rudymi włosami, pogróżka nie wydała się Franny zbyt poważna.

Potem gawędziła z panną Nightingale, Angielką, która wyglądała jak sobowtór królowej Elżbiety. Rozmawiały ni mniej, ni więcej tylko o detektywach Scotland Yardu. Okazało się, że panna N., jak tu na nią mówiono, była żoną jednego z nich. I to ona właśnie opowiedziała Franny historię sprzed paru lat, kiedy Lola omal nie straciła hotelu Riviera, na rzecz bezwzględnego miliardera.

Oszołomiona winem i opowieściami, Franny spała tej nocy jak suseł. Z wielkim smutkiem odjeżdżała następnego ranka w stronę Cap d'Antibes, żegnana uściskami, pocałunkami i zaproszeniem do przyjazdu z Jakiem.

Alain obserwował, jak ładują bagaż do samochodu, i głośno zaklął, kiedy odjechały w kierunku Saint Tropez. Obawiał się, że stracił okazję przeprowadzenia swojego planu. W panice wbiegł na werandę na piętrze, a stamtąd do pokoju Franny. Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył jej rzeczy. Zszedł potem na dół obejrzeć piec gazowy w kuchni. Dokładnie sprawdził palniki, żeby się upewnić, czy dochodzi do nich gaz z sieci, czy z butli. Wyprowadził wespę z kryjówki, pojechał do Antibes i odebrał swoje auto z wielopoziomowego parkingu. Pełnym gazem ruszył w stronę Cannes, do kasyna i klubów. Skoro myszy nie ma w domu, kot może poharcować, uznał, przekręcając z zadowoleniem stare powiedzonko. Zabawi się przynajmniej, czekając na właściwą okazję.

Rozdział 63

Clare wiedziała jedno: teraz albo nigdy. Jej przyszłość rozstrzygnie się dzisiaj. Wzięła prysznic, przebrała się w najprostsze rzeczy, jakie miała: białą bawełnianą sukienkę, skromnie wyciętą z przodu, za to głęboko z tyłu, z szeroką, kloszową spódnicą, która miękko układała się wokół kolan, a na nogi wsunęła espadrile na koturnie. Włosy zebrała w koński ogon i przewiązała pomarańczowym sznureczkiem pozostałym po paczce ciastek z cukierni, gdzie nawet dwa herbatniczki zawija się w elegancki papier. Dokładnie przyjrzała się sobie w lustrze.

- To jest to, moja droga - powiedziała do siebie.

Bez makijażu, w dziewczobiałej sukience, wyglądała trochę jak niewinna Franny. Wpięta w uszy złote kółka, ale za chwilę z nich zrezygnowała. Skropiła się leciutko wodą lawendową kupioną w sklepiku made-moiselle Doritee, produkowaną w okolicy. Kosztowała parę euro i Clare nigdy w życiu nie użyłaby jej w domu, ale tu, na wsi, zapach pasował doskonale. Przymierzyła słomkowy kapelusz, potem odłożyła go i zawiązała na głowie niebieską chusteczkę w stylu Jackie O.

Schowała do kieszeni mały słowniczek angielsko-francuski i notes, w którym zapisywała zwroty stosowne w różnych okolicznościach.

Wahała się jeszcze. Dobra. W porządku. Jest gotowa. Jeśli będzie się jeszcze dłużej tu kręcić, może zmienić zdanie. Złapała kluczyki i zbiegła do holu, gdzie zatrzymała się, żeby zobaczyć, czy nie ma kogoś w pobliżu. Odetchnęła z ulgą, że nikt nie będzie jej pytał, dokąd się wybiera.

Nie zauważyła Haigha, który wyrzął z jadalni właśnie w chwili, gdy uruchamiała samochód i trochę zbyt ostro ruszała podjazdem. Ciekaw był, dokąd pojechała, ale miał pewne przypuszczenia. Haigh zawsze wiedział, co się dzieje w *château*.

Właśnie minęła druga i, jak to we Francji, wszystko pozamykano. Większy placyk opustoszał, w Café des Colombes też było pusto. Nawet dziadkowie zniknęli z ławek, a psy schroniły się w chłodzie alejki.

Clare zaparkowała pod drzewami, wysiadła, przyglądała białą spódnice, wzięła głęboki oddech i zdecydowanym krokiem pomaszerowała po kocich łbach do café.

Jarre wycierał właśnie ładę, gdy zabręczał dzwonek przy wejściu. Na widok zjawiska w bieli otworzył szeroko oczy i nastroszył wąsy. Odłożył ścierkę, wyszedł zza baru, wycierając ręce w fartuch wiszący mu na biodrach.

- Clare - powiedział z nieukrywanym zachwytem w czarnych, cygańskich oczach. - Już po lunchu, ale może coś znaleźć, jeśli jesteś głodna.

Clare potrafiła już doskonale zrozumieć prowansalski akcent Jarrego.

- Nie, dziękuję.

- *Eh bien*, to może drinka? Kieliszek wina? Ricard? Szampan? - Otworzyłby dla niej wszystko, co najlepsze, dał cokolwiek by zechciała.

Clare pomyślała, że za wcześniej na szampana, pokręciła więc głową.

- *Non, merci*. Jarre, muszę z tobą porozmawiać.

Spojrzał na nią ze zrozumieniem, aż Clare poczuła w środku jakiś skurcz.

- *Bien sur*, madame Clare.

- Clare - poprawiła go stanowczym tonem.

Kiwnął głową.

- Clare.

Przysiadła na zielonym, plastikowym stołku, oparła łokcie na barze, zastanawiając się, od czego zacząć. Jarre usiadł obok, duży, dobry i ciepły mężczyzna z wielkim sercem... facet serio. Sól ziemi.

W momencie, gdy sobie to uświadomiła, gesty stały się ważniejsze od słów. Wyciągnęła do niego rękę. Ujął ją w obie dłonie i nachylił się bliżej.

- Pocałuj mnie, Jarre - poprosiła, uśmiechając się na widok zdumienia w jego pięknych oczach. Jak na tak dużego mężczyznę usta miał delikatne i słodkie; dotykał nimi jej warg, jakby próbował najlepszego wina.

- Clare - wymruczał, potem wziął dziewczynę w ramiona i jeszcze raz pocałował. Przytulił ją mocno do siebie. - Och, Clare - powtórzył między kolejnymi pocałunkami. Niebieska chusteczka zsunęła się na bok; Clare ściągnęła ją i potrząsnęła włosami. Jarre przeczesywał palcami gładkie pasma, nie odwracając wzroku od jej oczu. Clare umarłaby ze szczęścia, ale nie wiedziała jeszcze, czy ono naprawdę stanie się jej udziałem.

- Pokochałem cię od pierwszego wejrzenia - mówił po francusku, ale Clare sercem rozumiała wszystko.

- A ja kocham ciebie - wyznała.

Ku jej zdumieniu, zmarszczył czoło.

- Clare, jesteś bogatą kobietą z wielkiego miasta w Ameryce - zaczął ponury tonem. - A ja tylko właścicielem wiejskiej cafe. Nigdy nie byłem w Paryżu. Jak mogę cię prosić, żebyś za mnie wyszła? Poza tym, masz męża - dodał ze smutkiem.

- Już niedługo - odparła zdecydowanie. - I z całą pewnością nie jestem bogata. Więc oczywiście możesz mi się oświadczyć, ale zanim to zrobisz, chcę, żebyś o czymś wiedział.

Odsunęła się, stała teraz ze sztywno opuszczonymi rękami i zadartą wysoko brodą, starając się zachować godny wygląd.

- Popatrz na mnie, Jarre. Zrozum, pozory mylą. - Urwała, wyjęła z kieszeni notes i zajrzała do francuskich zwrotów, których teraz potrzebowała. - Jarre - zacięła, z trudem łapiąc powietrze ze zdenerwowania. - Kiedy byłam bardzo młoda, cierpiałam biedę taką, jak ci sezonowi robotnicy tutaj, i pracowałam w polu. Nie mogłam tego wytrzymać, marzyłam o ucieczce. Wiedziałam, że jest mi pisany inny świat, piękny i radosny. Ale żeby uciec, potrzebowałam pieniędzy. - Przerwała i popatrzyła na niego. - A niewykształcona, ładna dziewczyna mogła zarobić pieniądze tylko w jeden sposób. - Spojrzała mu w oczy. - I ja to zrobiłam.

Jarre milczał; przyglądał się Clare z powagą.

Mówiła dalej. Trochę po angielsku, trochę łamaną francuszczyzną opowiedziała wszystko dokładnie, jak wcześniej w rozmowie z Franny. Niczego nie pominęła. Kiedy skończyła, wciągnęła głęboko powietrze i stała z zamkniętymi oczami, czekając na jakiegokolwiek słowo, choć była pewna, że może paść tylko jedno: żegnaj. Ale Jarre milczał. Zrozumiała, że to koniec. Zacisnęła wargi, żeby nie płakać, obróciła się i ruszyła ku drzwiom.

Poczuła go za sobą. Położył dłoń na jej ramieniu, ale wyrwała się, usiłując założyć ciemne okulary, żeby nie widział łez, które napłynęły. Jarre obrócił Clare ku sobie, zdjął jej okulary i delikatnie starł łzy wielkim palcem, na którym zostało jeszcze wspomnienie zapachu czosnku siekanego tego ranka.

- Nigdy w życiu nie spotkałem kogoś takiego, jak ty - powiedział bardzo cicho.

Clare wpatrywała się niemo w swoje espadrile. Jasne, że nie spotkał. „Takie, jak ona” nie pojawiają się zbyt często w małych wioskach Prowansji.

- Clare, nie jesteś już biedną, małą dziewczynką. I nie tańczysz nago w barach. Robiłaś to, co musiałaś, żeby przeżyć. Jesteś piękną kobietą i masz charakter. Jesteś tym, kim jesteś teraz. - Cię nadziei błysnął w jej zapłakanych oczach, gdy podniosła na niego wzrok, a on dodał cicho: - Kocham cię, Clare. Ale masz przed sobą zwykłego człowieka, który prowadzi cafe w wiosce. Uprawiam ogródek i gotuję. Moje życie jest i zawsze będzie zwyczajne. Nie mogę cię prosić, żebyś je ze mną dzieliła. - Ze smutkiem wzruszył ramionami. - Nie mam nic do ofiarowania takiej kobiecie, jak ty.

Nadzieje Clare runęły. Znow padły te słowa: „Taka, jak ty”. Odsunęła się od niego.

- Do widzenia, Jarre... - zaczęła, ale jej przerwał.

- Niczego nie zmienię. - Jego twarz była teraz zaledwie kilka centymetrów od niej. - To moje życie, mój świat. Ale czy chciałabyś dzielić je ze mną?

Patrzyła na niego osłupiała, nie wierząc własnym uszom.

- Całym sercem - odparła, zarzucając mu ręce na szyję.

Zapewne nie pojął słów, ale doskonale zrozumiał spojrzenie.

- Więc wyjdiesz za mnie, moja cudowna, kochana Clare?

- Tak - odparła bez wahania.

Rozdział 64

Jake zrobił coś, co mu się zdarzało bardzo rzadko - przekazał robotę współpracownikowi. Nie dlatego, żeby nie obchodziły go sprawy klientów, ale w jego życiu ostatnio zmieniła się hierarchia spraw, a w ślad za tym zanosilo się, czego był pewien, na zmiany w trybie życia. Nie zadzwonił do Franny i nie uprzedził, że jest już w drodze, bo chciał zobaczyć zdumienie w podłużnych, niebieskich oczach; pragnął usłyszeć ciche, radosne westchnienie, widzieć uśmiech rozjaśniający twarz tej słonecznej dziewczyny. Każdy taki szczerzy, dobry uśmiech Franny był mu drogi, pragnął schować go w swoim banku pamięci jak niepisany dziennik ich wspólnego życia.

Przed wyjazdem podjechał jeszcze do Tiffany'ego i kupił pierścionek zaręczynowy. Uznał, że Franny jest romantyczką, wybrał więc wielki brylant staroświecko oprawiony w platynę. Postanowił, że wręczy jej prezent w willi. Późnym wieczorem pójda razem do ogrodu. Gdzieś w tle będzie szumiało morze, wiatr zaszeleści w drzewach, a świerszcze choć raz powstrzymają się od cykania. Roześmiał się; chyba sam staje się romantykiem. Zamówił już szampana; Janinę ma dopilnować, by był dobrze schłodzony. I oczywiście gigantyczny bukiet lilii.

Leciał swoim Gulfstreamem IV nad południową Francją. Za sterami, jak zawsze, kiedy Jake był na pokładzie, siedział Johnny Lang, jego pilot i stary przyjaciel. Towarzyszył im steward i kucharz. Samolot mknął pod niebem z powrotem do Francji.

Jake zerknął na zegarek, potem sprawdził, gdzie dokładnie się znajduje. Wypił jeszcze jedną filiżankę kawy. Nie spał, kręcił się niespokojnie, rzucając okiem od czasu do czasu na stół, na niebieskie pudełeczko od Tiffany 'ego przewiązane białą wstążką. Uśmiechał się za każdym razem, gdy na nie popatrzył. Miał nadzieję, że Zbir pilnuje jego dziewczyny. W przeciwnym razie będzie miał kłopoty.

W domku gościnnym Alain słyszał, jak podjeżdża samochód, a potem trzaskają drzwi. Pies szczeknął, radosne głosy witały Janine. Alain leżał na wznak, z rękami pod głową. Uśmiechał się. Plan był gotowy. Za kilka godzin zostanie zrealizowany. Wystarczy poczekać.

Na ulubione miejsce drzemek Zbir wybrał sobie werandę na piętrze, choć jako rasowy włóczęga trzymał zwykle jedno oko otwarte, żeby ani na chwilę nie tracić kontroli nad wydarzeniami. Teraz stęknął z zadowoleniem,

rozłożył się z tylnymi łapami wyciągniętymi za siebie, na przednich oparł łeb i zapadł w sen.

Na dole Franny podeszła do telefonu. Chciała zadzwonić do Clare i podzielić się z nią cudownymi wrażeniami. Ze zdziwieniem odsunęła od ucha słuchawkę, w której panowała martwa cisza. Franny wzruszyła ramionami. Zadzwoni jutro.

Poszła na górę poczytać Błękitce przed snem. Zbir usłyszała ich głosy, powoli wszedł do środka, ułożył się obok i bardzo szybko oboje z Błękitką spali głębokim snem. Franny wzięła prysznic, założyła lekką bawełnianą sukienkę i wyszła na werandę. Oparta o balustradę patrzyła na gwiaździste niebo i błyszczące światła wybrzeża. Noc była niespodziewanie wilgotna, świerszcze ucichły, ale gdzieś nad morzem strzelały fajerwerki, opadały migoczącymi kaskadami barw, obłoczkami złotych, błękitnych i szkarłatnych gwiazdek. Franny poczekała do końca pokazu, po czym wsunęła się do łóżka i zgasiła światło. Jutro ostatni dzień pobytu w willi, a potem - powrót do „domu”, do *chateau*. I Jake'a.

Jake telefonicznie dostał wiadomość od swojego człowieka w Nicei, zanim jeszcze samolot zaczął podchodzić do lądowania. Alain Martena widziano w kasynie w Monte Carlo. Wygrał dużą sumę, trzydzieści tysięcy euro. Tym właśnie zwrócił na siebie uwagę. Włosy znów miał jasne, ale to na pewno on. Jeździ białym renault laguna. Nie wiadomo niestety, gdzie mieszka.

Jake'owi serce podskoczyło do gardła na myśl o Franny i Błękitce. Alain mógł zatrzymać się tylko w willi. Jake wystukał numer telefonu do Franny, ale odpowiedziała mu głucha cisza. Poczuł, jak włosy stają mu na głowie. Wiedział, że zaczynają się prawdziwe kłopoty. Skontaktował się z Interpolem w Cannes, przedstawił się i powiedział o Alainie. Przekonał też, że dwóm osobom grozi poważne niebezpieczeństwo. Potem zamówił śmigłowiec Sikorsky; miał być gotowy na lotnisku. Zdecydował, że sam zasiądzie za sterami.

Alain czekał na kamiennej ławce w ogrodzie, aż w domu pogasły wszystkie światła. Skrupulatnie posprzątał po sobie gościnny domek; nawet deski zasłaniające okno w sypialni umocował tak, jak je zastał, zanim włamał się tamtędy do środka. Sprawdził, czy nie zostawił po sobie żadnych śladów. W plastikowej torbie trzymał kawałek befsztyka. Cicho przeszedł pod werandę, modląc się, by ten przeklęty pies go nie usłyszał, a potem przerzucił mięso ponad balustradą i cofnął się w ciemność. Usłyszał psie pazury na podłodze werandy, potem węszenie i radosne sapnięcie, kiedy zwierzę poczuło smak przynęty.

Usiadł przy długim stole, gdzie w dzieciństwie, razem z przyjaciółmi matki, jadał tyle pysznych rzeczy. „Cudowne czasy”, mówiła o tamtych latach Rafaella. Alain zawsze wiedział, że różni się od innych. Zdawało mu się czasem, że istnieje poza własnym ciałem; odsuwał się i obserwował towarzystwo, drwiąc z niego w myślach; wyobrażał sobie, że pozbywa się ich wszystkich po kolei, aż zostawał sam, jak władca. To właśnie zrobi teraz. Musi postępować bardzo sprytnie, dopilnować, żeby wszystko wyglądało na nieszczęśliwy wypadek. Nikt nie będzie przypuszczał, że mogłoby być inaczej. Poza Jakiem, oczywiście. Tylko Jake i Rafaella domyśla się prawdy, ale wtedy Alain będzie już daleko. Poza tym nigdy nie zdołają mu niczego udowodnić.

Pies zaczął się dławić, potem rozległo się głucho uderzenie, kiedy zwałił się na podłogę. Alain okrążył dom i otworzył tylne, kuchenne drzwi kluczem, który zachował z lat dzieciństwa. Podszedł do starego pieca i zdmuchnął kontrolny płomyk. Otworzył drzwiczki piekarnika i włączył gaz. Odkręcił wszystkie palniki. Poczul charakterystyczny zapach i zmarszczył nos. Potem szybko wyszedł na zewnątrz i zamknął za sobą drzwi, wskoczył na kamienną ławkę, podciągnął się na balustradę i wspiął na werandę.

Różnym krokiem obszedł dom i znalazł się przed wejściem do pokoju Franny i Błękitki. Miękkie tenisówki tłumiły odgłos stóp. Zatrzymał się i popatrzył na psa. Zbir leżał na boku, z rozwartymi szczękami i wywróconymi do góry oczami. Alain trącił go nogą. Zwierzę było martwe.

Alain stanął w drzwiach do pokoju Franny. Spała jak dziecko z rękami wyrzuconymi nad głowę, cicha i spokojna. Zamknął drzwi na werandę, przekręcił i wyjął klucz. Przemknął do pokoju dziewczynki.

Leżała zwinęta w kłębuszek, z aureolą krótkich, czarnych włosów na poduszce. Uśmiechnął się na myśl, że wkrótce mała dołączy do grona aniołków. Zamknął i jej drzwi. Klucz schował do kieszeni.

Zszedł z piętra, czuł już gaz napływający z kuchni. Szybko wpadł do salonu i zapalił świece na kominku. Wkrótce willa Marten razem z jej mieszkankami przestanie istnieć.

Ruszał już vespą w stronę Antibes, kiedy usłyszał warkot śmigłowca nad głową i wycie policyjnych syren. Był pewien, że absolutnie za wcześnie, by go szukano, ale, ostrożny jak zawsze, zjechał z głównej drogi. Znał tu każdy zakamarek, przejazd i skrót.

Dźwięk syren obudził Błękitkę. Przez chwilę wydawało jej się, że znów jest w Szanghaju; usiadła więc i rozejrzała się za Bao Chu, ale nie znalazła babci. Nie było też Zbira, który zawsze spał w pobliżu. Poczula dziwny zapach. Znała go z palnika gazowego w swoim domu.

- Franny, Franny! - krzyczała, biegnąc do sąsiedniego pokoju. - Obudź się, obudź, coś złego się dzieje.

Franny wychwyciła panikę w głosie małej, zanim jeszcze poczuła gaz i usłyszała wycie syren. Wskoczyła z łóżka, złapała dziewczynkę za rękę i szarpnęła klamkę, próbując wyjść na werandę. Przecież zostawiła drzwi otwarte. Jak to możliwe, że są zamknięte? Zmroził ją strach.

Stała tak przez sekundę, sparaliżowana lękiem, potem złapała pantofel i z całej siły walnęła w szybę tuż obok zamka. Szkło pękło, ale nie rozprysnęło się i wtedy Franny z rozpaczą uderzyła w nie gołą pięścią. Usłyszała, jak Błękitka krzyczy na widok krwi, ale zdołała otworzyć drzwi. Wypadły obie na werandę i potknęły się o Zbira. Stanęły... nawet mała zrozumiała, że pies nie żyje; krzyczała teraz jeszcze głośniejszym głosem, tak jak i Franny. Potem cały świat zniknął w szalonym, pomarańczowym wybuchu.

Rozdział 65

Śmigłowiec terkotał nad pustym parkingiem w pobliżu plaży; właśnie siadał ostrożnie na ziemi, kiedy powietrzem wstrząsnęła gigantyczna eksplozja. Kilka sekund później Jake pędził już w kierunku willi.

Znów ten sam koszmar. Wybuch. Bieganie. Zmasakrowane ciało kobiety, którą kochał.

Dobiegł do ruin willi Marten. Za sobą słyszał wyjące syreny, pisk opon, krzyki. Przed nim było piekło. Rzucił się w tamtą stronę.

Jakieś głosy wołały, żeby wracał. Szczękały okucia węży straży pożarnej, strażacy biegli za nim, złapali go i odciągnęli do tyłu. Weranda na piętrze zniknęła; płomienie lizały teraz resztki drzwi prowadzących do sypialni, gdzie zapewne spały Franny i Błękitka. Wyrwał się z rąk mężczyzn i skoczył przed siebie. Wołał głośno jedną i drugą. Zobaczył skręcone ciała, gmatwaninę zakrwawionych rąk i nóg. Padł na kolana obok nich. Lekarze byli tuż za nim. Franny leżała na Błękitce; Jake słyszał, jak mała jęczy. Delikatnie dotknął jej ręki.

- W porządku, maleńka - wymamrotał. - To ja, Jake. Jestem tutaj. Zaraz ci pomożemy, obiecuję. - Wciąż nie mógł popatrzeć na Franny. Osaczyły go wspomnienia wybuchu, w którym zginęła Amanda.

- To gaz... ulatniał się. Proszę usunąć stąd wszystkich, aż to sprawdzimy! - krzyczał ktoś, ale Jake się nie poruszył. Obserwował lekarzy.

- Żyją - powiedział jeden z nich i serce Jake'a znów zaczęło bić.

- Gdyby były wewnątrz, nie miałyby szans. Podmuch wyrzucił je z wandy. Psa też, ale nie miał tyle szczęścia, jeśli można to nazwać szczęściem - odezwał się ktoś inny.

Jake spojrzął na siwe, zakrwawione ciało swojego wiernego przyjaciela i towarzysza. Odwrócił wzrok.

Franny, unieruchomiona, leżała na plecach, lekarze pracowali w skupieniu. Błękitka była już na noszach. Straciła przytomność, ale małe dłonie drgały, jakby z kimś albo z czymś walczyły.

Nie chciał... nie mógł znieść tego jeszcze raz. Tylko nie to. Zmusił się, żeby spojrzeć na Franny i myślą natychmiast wrócił do tamtych chwil. Patrzył na Amandę. Leżała na poboczu; jej twarz rozerwał wybuch. Nie żyła i nie żyło też ich dziecko. Jake zdołał już zepchnąć to wspomnienie w zakamarki pamięci, ale teraz wszystko wróciło jak żywe. Franny... Wargi miała niebieskie... jak jej oczy, pomyślał Jake, ale twarz była nietknięta. Leżała spokojnie, jakby zasnęła. Nałożyli jej aparat tlenowy, unieruchomili kręgi szyjne; wszędzie było pełno krwi. Franny miała jedną opaskę uciskową na ramieniu, drugą na nodze. Zawinięto ją w folię, potem bardzo ostrożnie przeniesiono na nosze i wsunięto do karetki.

Jake podniósł psa. Szedł za sanitariuszami, niosąc Zbira na rękach. Nie chcieli wpuścić go do karetki, ale rzucił się na nich tak gwałtownie, że przestraszeni pozwolili mu wsiąść. Siedział i wciąż trzymał psa na kolanach.

Pół godziny później tkwił na szpitalnym korytarzu, wpatrzony w zegar na ścianie, który wolno odmierzał wlokące się minuty. Być może ostatnie w życiu Franny i Błękitki. Od czasu do czasu ktoś z pracowników podchodził i zwracał mu uwagę, że naprawdę nie wolno tutaj trzymać psa, ale ignorował ich i w końcu odchodzili.

Minęła godzina, potem dwie. Pojawił się pilot jego samolotu z resztą załogi. Od firmy wynajmującej śmigłowce dowiedzieli się, co się stało. Przyszli z kawą, której nie tknął, i ze słowami pociechy, na które nie mógł odpowiedzieć; gotowi byli też zająć się Zbirem. Jake nie odezwał się ani słowem; wciąż znieruchomiały, zatopiony w myślach, przeżywał na nowo piekło śmierci żony i koszmar strachu przed utratą ukochanej.

Kilka godzin później podszedł do niego chirurg.

- Mamy szczęście, panie Bronson - powiedziała, zdobywając się uśmiech mimo zmęczenia. - Nie zostały poparzone. Wybuch wyrzucił je z tarasu. Mała doznała wstrząsu mózgu, musimy obserwować, czy nie doszło do poważnych urazów neurologicznych, choć ze zdjęć nic takiego nie wynika. Ma też złamaną nogę, jest pokaleczona i posiniaczona, ale wyjdzie z tego.

Jake poczuł lekki skurcz serca i pomyślał, że będzie biło przynajmniej dla Błękitki.

- Mademoiselle Marten dużo bardziej ucierpiała; nadal jest nieprzytomna. Przy wypadku złamała sobie czwarty krąg. Straciła dużo krwi z przeciętej arterii. Zrobiliśmy, co w naszej mocy. Najbliższe dwadzieścia cztery godziny zdecydują o wszystkim.

Lekarz znów się uśmiechnął i wyciągnął rękę, ale Jake nawet tego nie zauważył.

- Żyje? - powiedział, jakby nie był w stanie pojąć tego, co usłyszał. - Żyje - powtórzył z taką ulgą, że obecni się uśmiechnęli. A potem ukrył twarz w szorstkim futrze martwego psa i zapłakał.

Rozdział 66

Alain leżał na łóżku w pokoju taniego hoteliku w Cannes i oglądał wiadomości telewizyjne. Czuł się rozczarowany. Willa została zniszczona, ale ofiar nie było.

Miał jednak rację. Nikt nie mógł trafić na ślad odkręconych kurków kuchenki, bo wszystko rozleciało się w kawałki. W willi od dawna nikt nie mieszkał, podejrzewano więc nieszczelną instalację gazową; po prostu kolejny nieszczęśliwy wypadek.

Długo zastanawiał się, co teraz robić. W końcu wstał, wziął prysznic, potem poszedł po samochód. Pojechał do Le Suquet, w pobliże starego portu w Cannes, usiadł w barze z widokiem na basen jachtowy, pełen dużych, trzydziestometrowych jednostek i luksusowych statków wycieczkowych. Popijał Ricarda i użalał się nad sobą. Stracił pieniądze wygrane w kasynie i był bez grosza. Nie miał nawet dostępu do forsy Feliksa, bo Błękitka odziedziczyła cały jego majątek. Zastanawiał się, dlaczego ten cholerny Felix to zrobił. Nigdy za życia nie uznał dzieciaka. Oczywiście nie dociekał prawdy, bo bał się, że ojcem okazałby się Alain.

Przez całe lata Alain miał Feliksa na oku. W każdej chwili wiedział, gdzie brat się obraca. Mało tego, wiele razy wykorzystywał jego dane, choć Felix nigdy go o to nie oskarżył. Zbyt dumny z rodowych tradycji, pomyślał Alain i skrzywił się.

Wyrównał z nim jednak rachunki przed laty. Odnalazł bar, w którym pracowała dziewczyna Feliksa. Musiała pracować, bo Felix odzegnał się od wszelkich zobowiązań wobec ukochanej, a nie miała pieniędzy. Ale Alain

uparł się, że dowie się o niej wszystkiego. Obserwował ją. Wcześniej niż Felix dowiedział się, że dziewczyna jest w ciąży. Uśmieł się. Zabawne, jak historia się powtarza. Kobieta w ciąży i oni dwaj. Który z nich jest ojcem?

Zadzwoił do Feliksa i zażądał spotkania. Nigdy nie zapomni komicznego wyrazu twarzy brata, kiedy uciekł się do blefu i powiedział mu, że jego dziewczyna spodziewa się dziecka, ale to nie Felix, a on, Alain jest ojcem. Felix na początku nie wierzył, potem nie wykluczał... wreszcie... nie, to niemożliwe.

- Nie jest w ciąży. - Felix mówił spokojnym, obojętnym tonem. Jak to możliwe? Zawsze tak bardzo uważał, gdy uprawiali seks.

- Sam ją spytaj. - Alain był pewny siebie. - A potem zastanów się, skąd miałbym wiedzieć, gdyby to nie było moje dziecko.

Felix nigdy już nie spotkał się z tą kobietą. Zapłacił Alainowi za milczenie, a kiedy dziewczyna umarła, wysłał co miesiąc niewielką sumą dla uspokojenia własnego sumienia; mała żyła w biedzie, razem z chorowitą babcią. I tak już zostało.

Dopóki nie pojawił się Jake Bronson z zaproszeniem od Rafaelli na wielki rodzinny zjazd Martenów, i to akurat wtedy, gdy Alain był zmuszony znów prosić Feliksa o pomoc finansową. A kiedy jej nie dostał, w przypływie wściekłości go zabił.

Tamtej nocy miał szczęście, ale tym razem go zabrakło. Taki wybuch powinien zabić każdego w pobliżu, a jednak stało się inaczej.

Alain zamówił jeszcze jednego Ricarda i pomyślał o matce. Gdyby tylko Rafaella dała mu to, czego chciał, winnicę i *chdteau*, które mu się prawnie należą, miałby wystarczająco dużo pieniędzy, by żyć tak, jak lubił, i nie doszłoby do żadnej tragedii. To Rafaella jest wszystkiemu winna.

Wypił drinka i poprosił o następnego. Kupił „Nice-Matin”. W miarę czytania relacji z pożaru w willi Marten ogarniała go coraz większa furia. Długo siedział przy barze, popijając, myśląc o swoim życiu i o tym, co dalej, aż stało się to nie do zniesienia. Podjął decyzję. Wraca do domu. Tym razem Rafaella już go nie wyrzuci.

Rozdział 67

Fanny leżała nieruchomo, ale miała wrażenie, że z ogromną szybkością leci przez długi tunel. Unosiła się jak w stanie nieważkości, czuła na policzku delikatny powiew i zapach lilii w powietrzu.

Otworzyła oczy i rozejrzała się. Światło było białe, ostre i rażące. Próbowwała usiąść, ale nie mogła wykonać żadnego ruchu. Nagle ogarnęła ją panika; zdrzała, przerażona, że jest w więzieniu. Jednak zapach lilii może oznaczać raczej ogród, nie celę.

Zobaczyła nogę w gipsie, zawieszoną na wyciągu. To była jej własna noga. Popatrzyła w prawo, na otwarte okno; usłyszała cichy powiew gdzieś w mroku... ten sam, który czuła na policzkach, gdy we śnie pędziła tunelem. Przesunęła wzrok na lewo. Na stole stał ogromny bukiet lilii. Pomyślała, że sen trwa nadal, ale kwiaty wyglądały całkiem realnie. Wyciągnęła rękę, żeby ich dotknąć, i wtedy plecami szarpnął ból, ostry jak sztylet. Franny bezwładnie opuściła dłoń na pościel. Coś zamigotało. Powoli podniosła rękę i zobaczyła piękny brylant na środkowym palcu. Wybuchnęła śmiechem.

To była pierwsza rzecz, jaką usłyszał Jake, idąc szpitalnym korytarzem. Franny się śmiała. Wróciła. Jego dziewczyna znów jest przy nim.

Popatrzeli sobie w oczy z dwóch krańców surowego, szpitalnego pokoju.

- Mogłeś mnie najpierw zapytać - powiedziała chrapliwym szeptem, bo dawno do nikogo się nie odzywała.

Uśmiechnęła się.

- Pytałem, ale milczałaś. Chciałem, żebyś wiedziała, gdziekolwiek byłaś, że jesteś moja i nigdy nie opuszczę cię ani na chwilę.

- Dobra - odparła. - W takim razie chodź tu i pocałuj mnie.

Tak zrobił. Delikatnie, czule i z miłością.

Rozdział 68

Natychmiast, kiedy usłyszeli o „wypadku”, Clare pojechała do Cannes. Przez wszystkie długie dni i noce, gdy Franny leżała w śpiączce, siedziała cierpliwie przy jej łóżku, a teraz była naprawdę rozwścieczona, że ominęło ją przebudzenie. Ale kiedy zobaczyła przyjaciółkę, przytomną i uśmiechniętą, pękła w końcu.

- Boże mój, omal cię nie straciłam -jęknęła, chlipiąc w chusteczkę. - A przecież, do cholery, Franny, dopiero co cię odnalazłam.

- Nie martw się. Nigdzie się nie wybieram. - Franny wciąż miała na sobie wielki plastikowy kołnier, który unieruchamiał szyję. Zdaniem Jake'a wyglądała jak owczarek niemiecki. - Mam dla ciebie niespodziankę - powiedziała i pokazała Clare pierścionek.

- Jesteście z Jakiem stworzeni dla siebie. To zaproszenie było zrządzeniem losu. A tak przy okazji - dodała od niechcienia. - Ja też się zaręczyłam, choć na razie nie mogę poświadczyć tego pierścieniem.
- Scott! - Franny zmrużyła oczy. Uśmiechała się z satysfakcją. - Idealny dla ciebie.
- Hm, szczerze mówiąc, nie. To nie Scott. - Clare starała się zrobić niewinną minę.
- Tylko nie mów, że wracasz do Marcusa! - wykrztusiła z przerażeniem Franny.
- Oczywiście, że nie. Rozwiódę się z tym sukinsynem jak najszybciej, a potem wychodzę za mąż. Za Jarrego - dokończyła ze śmiechem na widok osłupiałej miny przyjaciółki.
- A ja cały czas myślałam, że po prostu uczysz się gotować - chichotała Franny.
- Ja... będę mu pomagać w prowadzeniu cafe. Jako pomoc kuchenna, zastępca, kelnerka, pomywaczka... - cokolwiek zechce. Także jako kochanka. - Clare popatrzyła z wahaniem. - Prawda jest taka, Franny, że wcale dotychczas się nie kochaliśmy. - Ze spuszczoneym wzrokiem oglądała swoje lekko zaniedbane dłonie, pokancerowane nożem kuchennym.
- Zaczekam z tym do ślubu. Naprawdę chcę być dla Jarrego prawdziwą panną młodą. Nigdy nią nie byłam i... to dobry człowiek, delikatny, troskliwy, jak...
- Facet serio. Sól ziemi - dokończyła za nią Franny.
- Popatrzyły na siebie i parsknęły śmiechem.

Rozdział 69

Jake nie zapomniał widoku z tamtej nocy. Ani Zbira. Tak naprawdę miał pewność, że nie był to żaden wypadek. To Alain próbował zabić Franny i Błękitkę. Jake kazał przeprowadzić sekcję psa; w żołądku znaleziono ślady trutki na szczury. Zbir nie żył już w chwili wybuchu. Najwyraźniej Alain najpierw pozbył się psa, żeby zwierzę nie podniosło alarmu.

Jake skremował ciało swojego ukochanego przyjaciela. Później zabierze jego prochy do samolotu. Stanie na zboczu góry i odda naturze, a wiatr targający wierzchołkami drzew poniesie ducha psa przed siebie, by znalazł w końcu wieczną wolność w miejscu, które kochał.

Ale Alain wciąż żył. Nadal groźny. Wcielenie zła. Będzie próbował raz jeszcze. Póki chodzi po świecie, nikt nie jest bezpieczny. Zwłaszcza Rafaella.

Ta myśl olśniła Jake'a tak nagle, że stanął jak wryty; jakby sam Alain osobiście mu ją przekazał. Alain oskarżał Rafaellę o wszystko, co mu się w życiu nie udało. To ona będzie jego następnym celem.

Jake wiedział, że Alain nie mógł uciec daleko. Ostrzegł policję na południowym wybrzeżu - od Marsylii po Mentonę, a także w Prowansji - i wszystkich ludzi, z którymi współpracował w wywiadzie. Alain, podobnie jak Felix, był szczupły, smukły i bardzo wysoki - miał około metra dziewięćdziesięciu wzrostu. Nawet gdyby przefarbował włosy, założył okulary i zapuścił brodę, wyróżniałby się charakterystycznym, zdecydowanym krokiem i pewną arogancją w sposobie bycia. Uważał się za kogoś lepszego od innych. Jake wiedział, że to właśnie charakter będzie przyczyną klęski Alaina.

Dość szybko dostał wiadomość, że Alaina widziano w pobliżu Avignonu. Prowadził białe renault laguna i zaszył się w motelu przy autostradzie na peryferiach miasta. Dwie godziny później Jake był w Avignonie, ale ptaszek zdążył już wyfrunąć. Białe renault namierzono na krętej drodze w wąwozie, która też, tyle że dłuższą trasą, prowadziła do Saint Sylvestre, a więc i do Marten de Provence.

W ciągu kilku minut Jake siedział już w śmigłowcu. Sam go pilotował. Zawisł nad wąwozem, tak blisko skał, że trawy i krzaki kładły się pod nim płasko, a króliki i dzikie zwierzęta uciekały w popłochu. Dostrzegł w końcu renault, które w wyścigowym stylu pokonywało zakręty. Okno samochodu było otwarte. Jake widział, jak Alain patrzy na helikopter. Najwyraźniej zorientował się, że jest śledzony, dodał gazu i pognął serpentynami, między kilkudziesięciometrową przepaścią z jednej a pionową ścianą skalną z drugiej strony. Tam gdzie kończył się wąwóz, zaczynała płaska droga.

Alain upajał się ucieczką. Adrenalina ogarniała jego ciało jak ogień. Był teraz na równinie, pędził prostą szosą między topolami. Po jednej stronie ciągnął się tor kolejowy, po drugiej cichy kanał, którym co jakiś czas przesuwali się łodzie urlopowiczów. Do akcji włączył się policyjny śmigłowiec. Terkotał nisko nad głowami, tworzył wielkie wiry na spokojnej wodzie kanału i wprawiał w zachwyty dzieci. Nadbiegały ze wszystkich stron i machały do pilota.

Alain skręcił w wąską leśną drogę, potem porzucił samochód między drzewami. Wskoczył na nasyp kolejowy. Przed nim wyłonił się wlot tunelu.

Wbiegł do środka, przywarł płasko do ściany. Helikoptery zahuczały mu gdzieś blisko nad głową, ale po chwili się oddaliły. Uśmiechnął się, ruszając w głąb tunelu. Znow ich wyrolował. Znał drogę. I tak dotrze do *chdteau* i dopadnie matkę.

Jake połączył się przez radio z helikopterem.

- Nie mógł odjechać daleko, pewnie schował się gdzieś w lesie - powiedział, a potem znów zniżył lot tuż nad wierzchołki drzew.

Nadjeżdżający pociąg gwizdnął na niego wściekle, wpadając w tunel. Nagle Jake pojął, co się stało. I zrozumiał, że w grze o życie Alain wyłożył ostatnią kartę.

Rozdział 70

Błękitka już od kilku tygodni była z powrotem w *chdteau*, kiedy Franny pozwolono wreszcie opuścić szpital i wrócić do domu z Jakiem.

- Chyba nigdy się do tego nie przyzwyczaję - powiedziała onieśmieszona luksusowym wyposażeniem jego samolotu.

- To dobrze - odparł. - Bo niedługo się go pozbędę. - Gdy popatrzyła zdezorientowana, wyjaśnił: - Sprzedaję firmę, żeby w końcu kupić rancho. Chcesz zostać wiejskim weterynarzem?

- Hm. - Wyniosłe odwróciła wzrok. Z rozbawieniem przedłużała tę chwilę niepewności. - Jak to, koniec z odlotowym apartamentem w Nowym Jorku? Prywatnym samolotem? I żadnych brylantowych pierścionków? Podróży dookoła świata?

- Żadnych - oznajmił. - No, co najwyżej jeden czy dwa pierścionki.

- Och... no dobrze. - Udawała, że się namyśla. - Jakoś wytrzymam. Może nawet to zabawne być weterynarzem na wsi.

- Dzięki Bogu - mruknął i bardzo ostrożnie chwycił za rękę roześmianą Franny.

Haigh czekał na nich w starym, wygodnym bentleyu. Powitał Franny ze łzami w oczach, krzepko ją uściśnął i pocałował trzykrotnie w policzki. W drodze przez wieś Franny wyglądała przez okno, a mieszkańcy rozpoznawali ją i machali z radością. Potem, kiedy auto skręciło na znajomy podjazd, patrzyła z przejęciem przed siebie, czekając, aż spoza drzew wyłoni się fasada domu.

Stał, lśniący złotem w promieniach zachodzącego słońca. Ogarnęła ją czułość jak na dźwięk znanej melodii sprzed lat. Rafaella czekała na

schodach z Mimi i Lousem, obok niej Juliette ze szpicami, a od domu pędziła w stronę auta Błękitka w towarzystwie dwóch hałaśliwych, kudłatych szczeniaków.

Franny mocno trzymała Jake'a za rękę. Wiedziała teraz, że gdziekolwiek się znajdzie, ten stary prowansalski *chdteau* zawsze będzie jej domem.

RS

*O, piękne życie w starych zamkach,
Któraż dusza nie popełnia błędów?
O, piękne życie w starych zamkach,
Poznawałem czar szczęścia,
Który każdemu powinien być dany.*



Część 4

Epilog

*Ó saisons, 6 chateaux!
Quelle ame est sans defauts?
Ó saisons, o chateaux.
J'aifait la magique etude
Du Bonheur, qui nul n'elude*
Arthur Rimbaud, 1874

Minał rok. Rafaella stała w holu wpatrzona w cudowny widok, który Murzekał ją przez całe życie. Plama popołudniowego słońca kładła się ciepło na wytartym parkiecie pod jej gołymi stopami, a czerwona spódnica wirowała wokół szczupłych kostek, gdy kobieta szła do drzwi, w towarzystwie Mimi, Louisa i kosmatego, moregowatego szczeniaka, który nie przypadkiem odznaczał się uderzającym podobieństwem do Zbira.

Wełniana owieczka, zawinięta przez Błękitkę w koc, siedziała na krześle, deskorolka leżała porzucona na schodach obok swetra niedbale przewieszzonego przez poręcz. Błękitka nauczyła się być małą dziewczynką, choć chwilami bywała to nauka bolesna.

Franny i Jake polecili z nią z powrotem do Szanghaju. Przez dwa dni siedzieli przy łóżku Bao Chu i słuchali, jak mała radośnie opowiada chorą babci o swoim nowym życiu w Prowansji.

Shao Lan rozpaczliwie broniła się przed myślą o odejściu Bao Chu. Z bólem serca patrzyła na drobną i słabą staruszkę, bardzo zmęczoną życiem. Dała jej na pociechę swoją wełnianą owieczkę. Pamiętała rozmowę z Rafaellą o umieraniu i wypatrywała ostatniego uśmiechu w oczach Bao Chu. Kiedy go zobaczyła, wiedziała, że babcia jest już szczęśliwa, i choć płakała po niej, to jednocześnie cieszyła się jej szczęściem.

Kiedy wrócili do domu, Rafaella na wszelkie sposoby pocieszała wnuczkę, spędzała z nią dużo czasu, ale musiało upłynąć wiele dni, zanim Shao Lan znów stała się Błękitką.

Z kuchni dobiegał wyniosły ton Haigha i srebrzysty głosik dziewczynki; nagle rozdzwonił się radosny śmiech - drugi z niesfornych szczeniaków wypadł z kuchni z kotлетem w zębach. Przemknął obok Rafaelli, w dół po schodach i zniknął w wysokich zaroślach. Wierna kopia starego Zbira.

Pojawił się Haigh z tasakiem w dłoni, ze złości czerwony jak burak.

- Cholerny pies! - ryknął. - Zawsze mnie załatwi.
- Mam nadzieję, że nie zamierzasz użyć wobec niego tasaka - powiedziała łagodnie Rafaella.

Haigh, naburmuszony, odparł, że owszem chciał, ale się rozmyślił. Na razie.

- Najwyższa pora, żeby pan Jake nauczył tego psa dobrych manier - stwierdził z goryczą. - W przeciwnym razie codziennie będzie omlet na kolację.

- Nie przejmuj się! - zawołała Rafaella do jego pleców, kiedy zrędcząc, wracał do kuchni. - Pojedziemy na kolację do café. I tak chcę się zobaczyć z Clare.

Ślub Clare odbył się przed kilkoma miesiącami w wiejskim kościele. Na jej prośbę Haigh poprowadził ją do ołtarza. Kamerdyner wyglądał tego dnia wspaniale, w cylindrze, szarych prążkowanych spodniach i żakiecie, pod który włożył jedwabną kamizelkę od Juliette. A Clare prezentowała się olśniewająco w prostej, aksamitnej sukni, z polnymi kwiatami w błyszczących, czarnych włosach.

Franny była druhną, delikatną jak dzwoneczek w zwiewnej sukience koloru lawendy, podkreślającej błękit jej oczu. Shao San rozsypywała kwiatki, ubrana w bladeżółtą bawełnianą kreację.

Rafaella widziała, jak Jarre z zachwytem patrzył na Clare czarnymi, cygańskimi oczami, kiedy szła do niego krótką nawą kościoła; cieszyła się z ich niezwykłego szczęścia, gdy składali przysięgę głosami drżącymi z nadmiaru szczęścia i emocji.

Rafaella proponowała, żeby przyjęcie weselne urządzić w *chateau*, ale Clare podziękowała: ich dom jest w café, zaczną więc wspólne życie tam, gdzie będzie potem prowadzić, i wszystko przygotują sami.

Goście w odświętnych strojach wysypali się z małego tarasu na placyk, gdzie ustawiono stoły na krzyżakach, pełne koszy kwiatów i butelek wina. Znów uroczyste powiewały flagi, a w zakurzonych platanach pobłyskiwały bajkowe światełka. Psy spod fontanny, łącznie z lubą Zbira, która urodziła dwójkę miniaturowych wersji tatusia, wyproszone na tę noc, dla bezpieczeństwa łopatek jagnięcych piekących się na ogromnym grillu. Wszyscy sami częstowali się daniami z bogatego bufetu, do tańca grał mieszcowski zespół, a zabawa trwała do białego rana.

Scott Harris jako jeden z pierwszych pospieszył do Clare z gratulacjami.

- Najlepszy zwyciężył - oznajmił smutnym tonem, a Clare pocałowała go delikatnie i powiedziała, że nie ma najlepszych, tylko serce chodzi własnymi drogami.

Była tam oczywiście także Juliette, wspaniała w błyszczącym, złocistym kaftanie, złotych naszyjnikach i bransoletach wartości niejednego bankowego skarbcu. Szpice też miały złote wstążeczki; nawet Mimi chodziła z różową kokardą na czarnym, kudłatym łbie; tylko Louis dąsał się z powodu kompromitującego różowego krawata. Przynajmniej raz wszystkie psy zachowywały się bez zarzutu, choć zauważono, że bufet interesował je znacznie bardziej niż ceremonia.

Rafaella wyglądała wspaniale w czerwieniach, rzecz jasna. Jedwabna suknia w kolorze wina, dopasowaną w pasie, kupiona u Valentina, wciąż leżała znakomicie, co napawało Rafaellę dumą. Głęboki dekolt eksponował zarówno jej długą, smukłą szyję, jak i sznury rubinów. W uszach migotały rubinowe kolczyki, na twarzy promieniał uśmiech. Rafaella była szczęśliwa.

Clare i Jarre doczekali do odejścia ostatniego z gości. Rafaella pocałowała pannę młodą na dobranoc i powiedziała:

- Mam nadzieję, że przynajmniej nie będziesz teraz myła naczyń.

Clare roześmiała się:

- Jarre dał mi wolne tej nocy. - Po czym ucałowała jeszcze Franny i Błękitkę i poszła do swojego nowego domu wsparta na ramieniu męża.

Po weselu Juliette wróciła do Nowego Jorku, ale zapowiedziała, że wróci, razem ze szpicami, na rychły ślub Franny, i tym razem zostanie dłużej. Rafaelli miłe będzie jej towarzystwo, bo wkrótce Franny i Jake zabrają Błękitkę. Jake sprzedał swoją firmę; zamieszkali na nowym ranchu i żyją tam zwyczajnie, hodując konie, które Jake uwielbia.

Rafaella wiedziała, że będzie tęsknić za wnuczką, ale obiecali, że będą odwiedzać *chateau* każdego lata; w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że lepiej, by dziecko wychowywało się z młodymi ludźmi.

Ślub Franny miał odbyć się w przyszłym miesiącu, w altance nad jeziorem. Zaplanowano skromną uroczystość.

- Tylko rodzina - powiedziała Franny.

Rafaella uśmiechnęła się. Pomyślała, że nic na świecie nie brzmi dla niej piękniej niż te właśnie słowa.

Czy naprawdę zaledwie rok temu stała tu, w pustym domu, wśród zamkniętych pokoi i mebli otulonych w pokrowce, słuchając tylko ciszy, która dzwoniła w uszach?

Zabytkowy zegar mężnie zazgrzytał i głucho wybił godzinę. Szósta. Wszystkie okna były otwarte; Rafaella słyszała śpiew ptaków i szczekanie naczyń w kuchni. W rurach bulgotała woda, a od strony basenu dochodziły radosne okrzyki. I oczywiście ktoś puścił starą płytę *As Time Goes By*. A może tylko tak jej się zdawało?

Ach, Lucas, pomyślała. Któregoś dnia się spotkamy. Ale ta historia nie należy już do mnie ani do ciebie, tylko do młodych. To opowieść o Franny i Jake'u, Clare i Jarrém, i o przyszłości mojej wnuczki. Miłość i rodzina, powróciły do Chateau des Roses Savages. I znów jestem szczęśliwa.

RRS

Podziękowania

Dziękuję, jak zawsze, mojej przyjaciółce Annę Sibbald, która jest jednocześnie moim agentem, oraz pracownikom Janklow & Nesbit za ich serdeczną troskę. Mojemu redaktorowi, Jenowi Enderlinowi za to, że jest po prostu najlepszy. Mojemu mężowi Richardowi za mnóstwo różnych rzeczy. A także Victorowi i Carmen Bacigalupe 'om, Francesce Bowyer, Warrenowi i Betty Formanom, Billowi i Sandy Phillipsom oraz Rossowi i Barbarze Salamone 'om -przyjaciołom, których miłość i wsparcie ogromnie sobie cenię.